

**Masaż ręczny czy Punkt-Roller**

*Znana jest skuteczność masażu. Rezultaty najwyższanielsze osiągamy jednakże wtedy, jeśli masujemy nie sami, za pomocą aparatu „Punkt-Rollera”*

Prof. Dr. med.  
J. Ferrua

## „M A S A Ż”

wszakże to najbardziej uznany środek, by ciału zapewnić młodość, a mięśnie zmusić do wysiłków wprost rekordowych. Czy zdajemy sobie jednak z tego sprawę, podług jakiego systemu pracuje zdolny masażysta?

Masażysta wygniata ciało i stwarza coraz to nowe próżnie powietrzne na skórze, wywołując przez to naprzemian ssanie i nacisk, co podnieca obieg krwi.

Kształt ręki ludzkiej jest jednakże za mało określony, skutkiem czego działanie ręki, na poszczególnie części skóry, jest niedostateczne.

Aparat „PUNKT ROLLER”, wytworzony z kauczuku, a posiadający okrągłą powierzchnię, nadaje się na ten cel o wiele lepiej.

Krzyżujące się ssawki aparatu wnikają równomiernie w poszczególne punkty powierzchni skóry, pompują krew na powierzchnię i podniecają w ten sposób cyrkulację jej w całym niezmiernie delikatnym systemie żył.

Poszczególne miejsca ciała naszego należy masować lokalnie, a ponieważ aparat działa o wiele silniej, niż masaż ręczny, przeto, wywołuje już masaż 5—10 minutowy zapomocą aparatu „PUNKT ROLLER” odpowiednie rezultaty.

Przytem należy uwzględnić, że masując się sami, oszczędzamy kosztów na masażystę i uniezależniamy się od niego co do czasu.

Otyłość, reumatyzm, cukrzyca i zwapnienie żył są to wszystko niedomagania, powstające na tle złej wymiany materji i leniwego obiegu krwi.

Jedynie przy wartkim obiegu krwi możemy z ciała naszego usunąć składniki chorobotwórcze i trucizny, oraz kwas moczowy i zbytńi tłuszcz.

Dzisiaj wiemy, że nietrudno uchronić się od tych chorób.

Wystarczy masaż 10-ciominutowy zapomocą aparatu „PUNKT ROLLER”.

Cena aparatu zwykłego wynosi **Zł. 38.—**, a ulepszanego — **Zł. 48.—**.

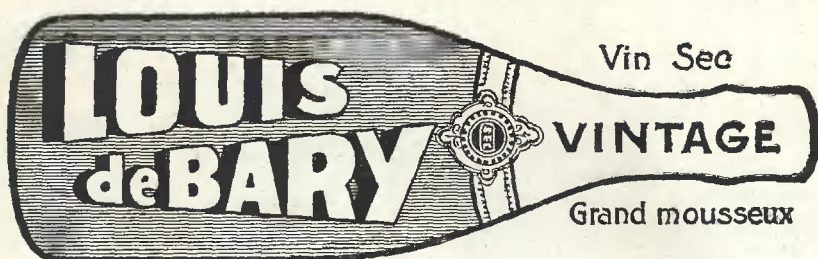
Prosimy żądać jedynie oryginaln. aparatu ze znakiem ochronnym „KROPKA NA CZOLE” 3 patenty niemieckie.

24 patenty zagraniczne.

Nagrodzony na zeszłorocznej wystawie „Kultura Ciała i Stroju” w Warszawie srebrnym medalem.

**B. PRUSIEWICZ, Poznań, pl. Nowomiejski 7.**

ŻAŁAĆ BEZPŁATNIE PROSPEKTÓW Z OPINIĄ LEKARZY.



# ALMANACH POLONAIS

une vraie encyclopédie des renseignements sur la Pologne  
Octaw, 850 pages, 2 cartes en couleurs

## Contenu:

HISTOIRE	STATISTIQUES
INDUSTRIE	ARMÉE
COMMERCE	SCIENCE
DROITS - CONSTITUTION	ARTS
POLITIQUE	LITTÉRATURE

Les événements du mois de mai c. a. Prix — Frs. 30— Rel. Frs. 38.—

## Dernièrement parus:

E. MALISZEWSKI — La Pologne d'aujourd'hui . . .	Frs. 5.—
A. SIEBENEICHEN — La Pologne et le développement du Port de Dantzig . . . . .	„ 5.—

## En préparation:

L. WASILEWSKI — Les Frontières de la République de Pologne

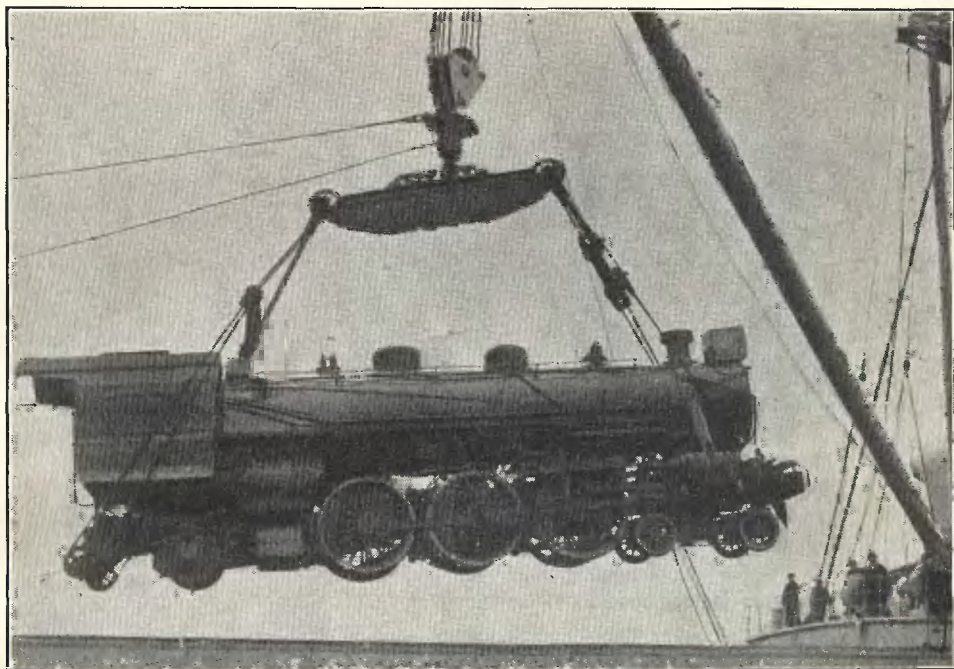
CENA ZŁ. 13.50

GEBETHNER & WOLFF

Librairie franco-polonaise et étrangère 123. Bd. St. Germain. Paris, VI-e

Dépôt pour la Pologne: GEBETHNER & WOLFF. Varsovie.





*Zakłady mechaniczne Ameryki Północnej otrzymały zamówienie na parowozy, które obecnie przesyłane są drogą morską do Ameryki Południowej. Wartość zamówionych parowozów wynosi 20 milionów dolarów*

---

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

### USUWANIE ZBYTECZNYCH WŁOSÓW

Nadchodzi lato i ciepłe dni, a z nimi lekkie i przewiewne suknie. Moda i estetyka jednak wymagają, aby przebijająca dyskretnie karnacja ciała była możliwie doskonała, i wszystkie panie dążą do tego.

Jednym z największych „defektów” ciała kobiecego jest często zbyt obfite owłosienie, które wielu Paniom przyczynia dużo kłopotu i zmartwień, a pozbyć się go tak łatwo.

Jest doskonały środek na „wygubienie” włosów, mianowicie *Epil-Max*, który nabywać można we wszystkich perfumerjach i drogerjach, a którym bez kłopotu w ciągu 5 minut, można usunąć zbyteczne włosy, przytem ciało pozostaje gładkie i czyste, bez jakichkolwiek śladów owłosienia. Włosy zniszczone *Epil-Max'em* bardzo powoli odrastają, tak że wystarcza stosować ten środek raz na 5 — 6 tygodni.

*M-me ERCÈDES.*

Skład główny *Epil-Max'u*: Warszawa, *Perfumerja Perfection*, Szpitalna 10.

## Treść Numeru 36-go

	Str.
<i>Jan Kwietniewski:</i>	
Goście Warszawy w dawnych wiekach (5 ilustracji). <i>litt.:</i>	5—14
Odyssea Homera w mumii egipskiej (4 ilustracje) . . .	15—20
<i>Aleksander Czaplicki:</i>	
Adam i Ewa (4 ilustracje J. Mucharskiego) . . .	21—40
<i>J. B—r.:</i>	
Roślina z tysiąca i jednej nocy (7 ilustracji). . . .	41—52
<i>Ryszard Ordyński:</i>	
Dwaj panowie jadą za ocean (8 ilustracji) . . . .	53—74
<i>Antoni Urbański:</i>	
Portrety pięciu Elżbiet (4 ilustracje) . . . . .	75—84
Port litniczy na równiku (1 ilustracja M. Walentynowicza). . . . .	85—86
<i>K.:</i>	
Jaki pracownik najwydajniej pracuje? . . . . .	87—88
<i>Stefan Niewiadomski:</i>	
Jak ludzkość mieszka (20 ilustracji). . . . .	89—100
<i>K.:</i>	
Niebezpieczeństwo pożarów na morzu . . . . .	101—102
<i>Jerzy Borycki:</i>	
Filmy sezonu (8 ilustracji) . . . . .	103—118
<i>January Kołodziejczyk:</i>	
Legenda o lubczyku (5 ilustracji J. Bobińskiej-Paszkowskiej). . . . .	119—132
<i>Jerzy Tereszczenko-Podberewski:</i>	
Niezawodny środek (4 ilustracje J. Zaruby) . . . .	133—148
<i>Stanisław Małachowski-Lempicki:</i>	
Saint Germain, Cagliostro i Casanova jako wolnomularze i alchemicy (6 ilustracji) . . . . .	149—166
Rozrywki umysłowe (8 ilustracji) . . . . .	167—176
Z teki humorysty (2 ilustrację J. Zaruby) . . . . .	177—180

*Okładkę trójbarwną wykonał X. Koźmiński*

Wyjaśnienie: Autorką noweli p. t. „Historja bez tytułu” (godło Femina), umieszczonej w Nrze 35 Naokoło Świata, jest dziennikarka, pracująca pod pseudonimem *Well*.

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 122—14

Telefon ekspedycji 104-32

Redakcja przyjmuje interesantów codziennie od godz. 13 do 16

Administracja czynna od godz. 9 do 15

Prenumerata kwartalna wraz z przesyłką wynosi 6 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.







Most na Wiśle według szkicu z XVII wieku



# Goście Warszawy w dawnych wiekach

Napisał

Jan Kwietniewski

Za najdawniejszy stwierdzony pobyt przybyszów cudzoziemskich w Warszawie uważać należy przyjazd posłów papieskich, którzy w r. 1339 sędzić mieli zatarg króla Kazimierza W. z Krzyżakami. O znaczeniu ówczesnem Warszawy świadczy fakt, że ona właśnie wybrana została na miejsce sądu. Zjechali wówczas delegowani przez papieża Galhandus de Carceribus i Piotr Gerwazy. Po zbadaniu sprawy, wydali oni wyrok, w którym tak piszą o Warszawie: „Książę Mazowiecki najczęściej tam mieszka, sądy świeckie i duchowne tam się odbywają, mieszkańcy Warszawy są bezpieczni od napaści w mieście murami opasanym i sprawiedliwością księcia warownym, mającym wiele domów do umieszczenia wygodnego przybywających i rynek dla targów, tak, iż na dostatku wszystkiego nie schodzi”. Oto najdawniejszy opis naszego miasta. Później przez długie lata żaden z podróżnych nie wzmiankował o stolicy Księstwa Mazowieckiego. Uczynił to dopiero w drugiej połowie w. XV poseł wenecki do Persji, Ambroży Contarini. Wyślany on został w r. 1474 na dwory europejskie, dla skłonienia ich do wojny przeciw Turcji. Przez trzy lata przebywał w Persji, a w r. 1477, w drodze powrotnej, zjawił się w Polsce i spędził kilka dni w Warszawie. O stolicy Mazowsza pisze on, że w Warszawie panują dwaj książęta, którzy go przyjęli uprzejmie i dali przewodnika na dalszą drogę. Dalej czytamy, że poselstwo „dla znużenia w wygodnej kwaterze i w obfitem mieście” zabawiło przez kilka dni, a następnie, opatrzeni we wszelkie podróżne potrzeby i w konie, udali się w dalszą dro-

gę. O zewnętrznym wyglądzie miasta, niestety, nic nie znajdujemy.

W czasach późniejszych jeszcze, w w. XVI, mamy początkowo relacje o Warszawie tylko podobnie lakoniczne. Geograf z pierwszej połowy w. XVI, czerpiący informacje od podróżników, pisze na ich podstawie, w swym podręczniku geografii, że Warszawa słynie z wyrabianego tam miodu, zwanego przez ludność miejscową „trojniakiem”. Autorowie późniejsi, z drugiej połowy tegoż wieku, notują drugą jeszcze osobliwość Warszawy, mianowicie most na Wiśle, który był wystawiony w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta.

W miarę stopniowego wzrostu znaczenia Warszawy coraz więcej autorów o niej pisze. Wymienić należy przedewszystkiem dwu polskich autorów, którzy jednocześnie prawie wydali opisy Polski, gdzie niewiele słów poświęcają Warszawie. Autorowie ci to Jan Krasieński, kanonik gnieźnieński, późniejszy sekretarz Stefana Batorego, i Marcin Kromer, znakomity kronikarz. Wydali oni w języku łacińskim p. t. Polonia w r. 1574 i 1575 podręczniki do poznania Polski. O Warszawie dowiadujemy się tylko, że to jest miasto główne na Mazowszu, odbywają się tam sejmy i król Zygmunt August zbudował most. Opisy Krasieńskiego i Kromera jeszcze w w. XVII służyły autorom cudzoziemskim za źródło wiadomości o Polsce i Warszawie.

Bardziej szczegółowe relacje podróżników o Warszawie zaczynają się dopiero pod koniec w. XVI, gdy Warszawa, zostawszy stolicą państwa, zaczęła gościć u siebie dyplomatów obcych. W r. 1596, przybył do Pol-

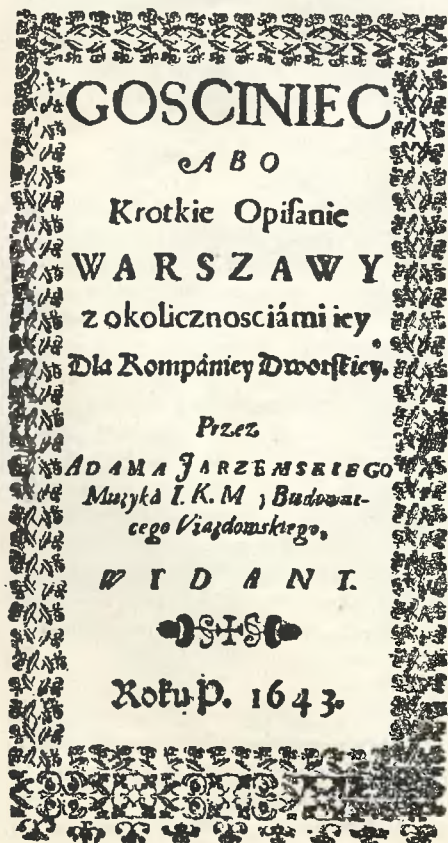
ski i Warszawy legat papieski, Henryk Gaëtani. Sekretarz legacji, Jan Paweł Mucante, prowadził bardzo starannie dziennik podróży. Dowiadujemy się z niego, że wjazd legacji do Warszawy nastąpił od strony południowej, a pierwszym gmachem, który przybyśże poznali, był pałac Ujazdowski. Zbudowany on był z drzewa, ale bardzo porządnie, pokoje w piękne ustrojone obicia, z potężnymi przedniami kobiercami. Dalej czytamy, że podróżni zastali nie tylko przedmieścia, ale i ulice samego miasta pełne błota, tak, iż nieraz konie po brzuch zapadały. Było to w drugiej połowie września. Według słów naszego autora miasto Warszawa jest szczupłe i wokoło otoczone murami. Wygód mało mieli członkowie legacji: musieli się po trzech i czterech w jednej izbie mieścić. „Gospód gościnnych nie było zupełnie, mieszczanie bowiem za rozkazem królewskim dawać muszą przedniejszym senatorom, a nawet w czasie sejmów posłom

i cudzoziemcom tyle izb, ile potrzeba, nieraz i domy całe, zostawiając sobie tylko jedną lub dwie stancyjki”. Ciekawa jest wiadomość następująca: „Dla tej to ciasnoty w domach kucharze kardynalscy gotować musieli na ulicy; toż samo czynią wszyscy senatorowie, mieszkający w czasie sejmu na rynku, tak dalece, że znaczniejsza część rynku zajęta jest różnemi kuchniami; zrobione są one naprędce z tarcic, przez połowę bez dachów”.

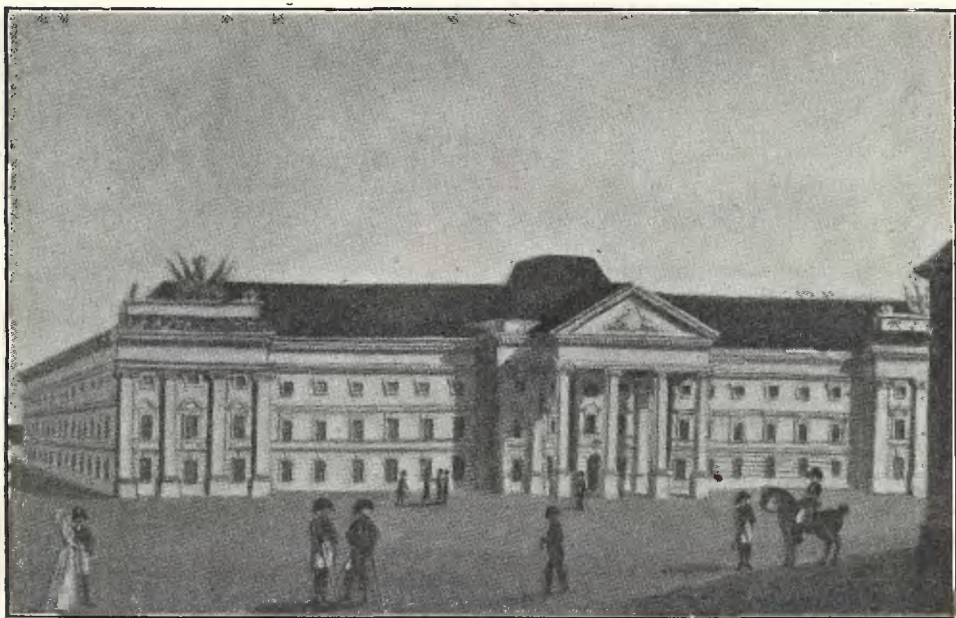
Położenie Warszawy podobało się Mucantemu. O przedmieściach pisze, że są obszerne, ale błotniste. Nowe Miasto posiada obszar większy, niż Stara Warszawa, ale w tej ostatniej, wszystkie domy są murowane, w Nowej zaś drewniane. Starą Warszawę otaczają dwa mury naokoło: mniejszy i większy, z niewielkimi basztami. Nowe Miasto nie było murami otoczone. Po wylczeniu kościołów Mucante pisze o rynku, że jest dość wielki, lecz zavalony sklepami rzemieślników. Następnie narzeka na zły bruk warszawski z cegieł, pomiędzy którymi są kamienie czerwonego granitu. Zwiedził zamek i pisze, że wewnątrz pokoje są wspaniałe i wygodne, a widok z okien bardzo piękny. W niewielkiej od miasta odległości widać mnóstwo ogrodów z wybornymi owocami. Gruszki warszawskie są znacznie lepsze od tych, które członkowie legacji dostali w Krakowie.

Z porównania tych wiadomości o Warszawie, szczególnie o stosunkach mieszkaniowych, z tem, co pisał Contarini, widać, że Warszawa w r. 1596 nie zdążyła jeszcze przystosować się do nowej roli, jaka jej przypadła, mianowicie roli stolicy wielkiego państwa.

Na nowo Warszawa opisana została prawdopodobnie w początkach w. XVII w języku łacińskim przez Andrzeja Święcickiego. Opis ten przez kilkadziesiąt lat spoczywał w rękopisie i dopiero po śmierci autora został przez jego syna wydany, r. 1634. Książka ta zawiera opis całego Mazowsza, a o Warszawie czytamy, że „od Czerska o dwadzieścia tysięcy kroków, jest odległa. Leży na wyniosłym pagórku, który do samej docierając Wisły, impetu bystrej rzeki ani kamieniami, podmywanemi i wypadającemi ciągle, ani czem innem powstrzymać nie może. Od północy zwraca oczy





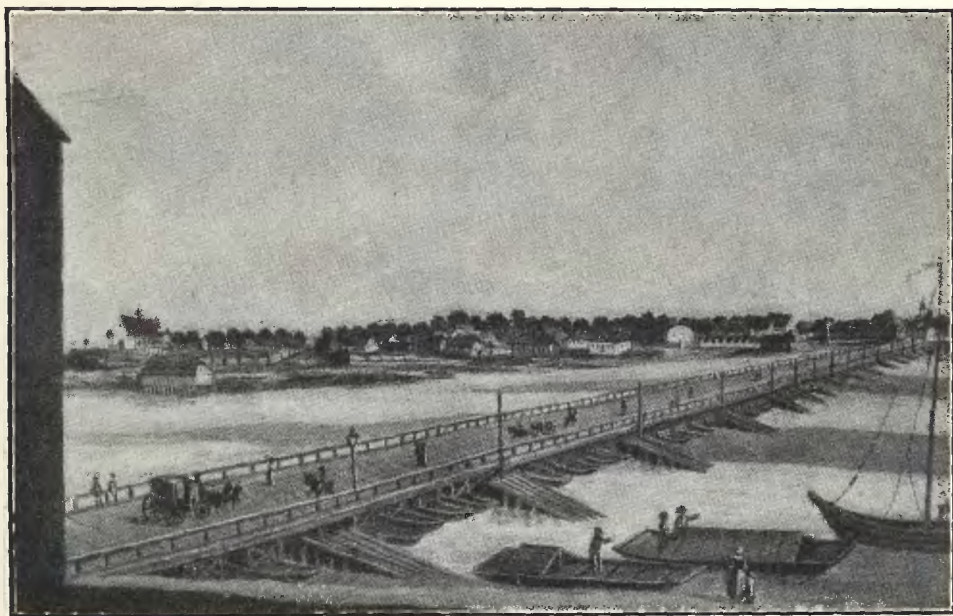


*Koszary Artylerji Koronnej*

przechodnia najwspanialsza z budowli i wieżami najeżone świątynie. Część miasta nad Wisłą jest bez obwarowań, gdyż mieszkańcy korytem rzeki są zabezpieczeni od napaści. Przedmieścia są obszerniejsze od samego miasta. Są na nich wspaniałe ogrody szlacheckimi drzewami owocowymi zasadzone. Po ogólnikowym wyliczeniu kościołów nasz autor pisze o zamku: „Sam pałac królewski był wprawdzie niegdyś staroświeckiej budowy, lecz za naszych czasów odnowiony został staraniem króla Augusta. Dziełem tegoż króla jest most pałowy na Wiśle, niepospolicie pięknej budowy. To miasto, że dla przybywających leży w miejscowości bardzo dogodnej, bo w środku prawie tak dla Polski, jak i dla Litwy, król August przeznaczył do roztrząsania spraw ważniejszych; później zapowiedziane w niem zostały sejmy dla całej Sarmacji, a i sam król, dopóki nie umarł, niechętnie gdzie indziej bawił”.

W w. XVII już stał się potrzebny nie tylko zwykły opis Warszawy, ale szczegółowy przewodnik dla coraz liczniejszych turystów, odwiedzających stolicę Polski. Książkę taką napisał wierszem polskim, muzyk nadworny i architekt królewski, Adam Jarzębski i wydał r. 1643, pod tytułem: „Go-

ściu albo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami jej. Dla kompanij dworskiej”. Całe to „opisanie” bardzo dobitnie świadczy, jak się Warszawa rozrosła od czasu, gdy pierwsze lakoniczne o niej wzmianki zaczęły się pojawiać w książkach podróżniczych i geograficznych. Jarzębski sam wyruszył konno na objazd miasta i opisuje wszystko, co po drodze widział. Marszruta jego była następująca: wyjechał przez bramę Krakowską na końcu Krakowskiego Przedmieścia, dojechał do ówczesnego pałacu królewskiego, zwanego później Kaziemińskim. Tu się Warszawa kończyła, dalej, gdzie Nowy Świat obecnie, były tylko pola i domki szlachty okolicznej. Dalej Jarzębski zjeżdża na Powiśle i dostaje się do pałacu Ujazdowskiego. Po obejrzeniu Ujazdowa, podmiejskimi niezabudowanymi okolicami powraca do miasta na terazniejszą ulicę Królewską. Stąd nasz autor jedzie ulicą Wierzbową ku Senatorskiej, następnie zaś Bielańską za miasto zwiedzić Bielany. Z Bielan wraca do miasta polami i skręca ku ulicy Zakroczymskiej, następnie przez Nowe Miasto ku ulicy Długiej, później Miodową, Senatorską i Podwale, wreszcie Mostową dojeżdża do Wisły i tu wycieczkę kończy. Cały ten obszar był już za czasów



*Most Ponińskiego*

Jarzębskiego zabudowany. Wszystkie spotkane po drodze budynki autor mniej albo więcej szczegółowo opisuje.

Po niedługim czasie autor mógł przekonać się o praktycznej wartości swej książki. W r. 1646 przybyła do Warszawy „kompanija dworska” francuska, towarzysząca przybywającej do Polski nowej królowej Marji Ludwice z rodu Gonzagów. Pierwsza żona Władysława IV, Cecylja Renata umarła r. 1644, i w r. 1645 król żenił się po wtórnie.

Ślub odbył się w Paryżu, przyczem króla reprezentował Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański. Królowej, przybywającej do Polski, towarzyszył bardzo liczny dwór pod wodzą Renaty de Guebriant. Sekretarz tej wyprawy, Laboureur Jan, opisał szczegółowo przyjęcia u magnatów polskich, c Warszawie zaś pisze niewiele. Zwrócił tylko uwagę na to, że Warszawa, odkąd została stolicą Polski, rozrasta się bardzo, dzięki temu, że osoby, stykające się z dworem królewskim, budują sobie domy, przeważnie drewniane, na przedmieściach stolicy.

Nieco nowych szczegółów o Warszawie mamy w książce podróżnika i geografa niemieckiego, Marcina Zeillera. W swym opisie Polski powiada on o jej stolicy, że to

miasto, choć samo jest niewielkie, ale ma rozległe przedmieścia. Są tam piękne domy i kościoły, a także dwa niewielkie pałace królewskie. Na sejmy zgromadza się niekiedy do 60.000 ludzi; rozbijają oni namioty w polu i mieszkają w nich. O kwadrans drogi przed Warszawą stoi w miłym położeniu pałac drewniany, w którym król latem lubi przemieszkować. Wewnątrz wszystkie ściany obwieszono tapetami z wytłaczanej i złoconej skóry. We wschodniej części miasta znajduje się zamek królewski z kamieni i cegły. Za miastem stoi kaplica św. Trójcy dla zasłużonych i starych żołnierzy, którzy dostają tam utrzymanie.

Przez dłuższy czas nie było relacyj podróżniczych o Warszawie, dopiero, gdy w r. 1668, król Jan Kazimierz abdykował, zaczęli zjawiać się w Polsce ajenci kandydatów na króla polskiego. Jednym z takich ajentów był hr. Chavagnac Kaspar, Francuz w służbie austriackiej. Wysłany on został przez cesarza Leopolda, by przeprowadzić wybór Karola księcia Lotaryńskiego. Chavagnac opisuje obszernie i barwnie życie przedsejmowe Warszawy, szczególniej warstw zamożniejszych, z którymi się ciągle stykał, miastu zaś samemu niewiele uwagi poświęca, podaje tylko jedną ciekawą





*Koszary Ujazdowskie*

wiadomość, u innych autorów niespotykaną, że w Warszawie nad Wisłą są domy z drzewa, gotowe do złożenia, które tylko należy przenieść na właściwe miejsce, tam złożyć, a w ten sposób można w ciągu trzech tygodni wystawić pałac książęcy.

Jeszcze za panowania króla Michała, w r. 1671, przybył do Warszawy podróżnik niemiecki, Ulryk Werdum. Opisał on miasto szczegółowiej niż Chavagnac, jednakże do opisów autorów dawniejszych nic nie dodaje. Godzien tylko powtórzenia jest opis pola elekcyjnego, o którym czytamy, że jest to piaszczysta równina, w niej jakoby mała forteca w podłużny czworobok usypana na długość strzału muszkietowego. Naokoło zewnątrz ciągnie się niski wał i sucha fosa. Wewnątrz dzieli ją mały poprzeczny wał na dwie części czworoboczne niejednakiej wielkości; mniejsza przeznaczona dla senatorów, większa dla szlachty.

W kilkanaście lat później, już za Jana III, jesienią r. 1683, odwiedził Warszawę w podróży po Europie, kamedjopisarz francuski, Jan Franciszek Regnard. Warszawa nie podobala mu się, pisze o niej, że jest brudna i bardzo mała, składa się bowiem z jednego tylko placu, na którym stoi ratusz, naokoło z czterech stron otoczony sklepami

kupców ormjańskich. Pałac Kazimierowski był w opuszczeniu; w pokojach tamtejszych podziwiał turysta krzesła, przy pomocy których można było zjechać na dół albo do góry a także przejechać z jednego pokoju do drugiego. W zamku królewskim najbardziej podobały mu się pokoje izby senatorskiej i pokój marmurowy. Najbardziej ze wszystkich gmachów warszawskich Regnard chwali świeżo wówczas wystawiony pałac Andrzeja Morsztyna (późniejszy Saski), były tam piękne malowidła na ścianach i bogate sprzęty. W Ujazdowie, należącym wtedy do Stanisława Lubomirskiego, widział turysta bardzo wiele ciekawych osobliwości. W ogrodzie pałacowym pracowano nad budową łaźni i pięknych altanek.

W kilka lat później w r. 1688 i 1689, był w Warszawie nieznanym podróżnik narodowości francuskiej, który całą swą podróż opisał bezimiennie. O Warszawie podaje nieco nieznanych szczegółów. Wogóle Warszawa mu się nie podobała, pisze, że jest bardzo mała, otoczona trzema murami kamiennymi i lichymi. Turysta kończy uwagę, że całe miasto i przedmieścia są tak błotniste w ziemię, że nie można chodzić pieszo; Polacy mają na błoto ciężmy skórzane, które myją po wejściu do mieszkania.

# Odyssea Homera w mumji egipskiej

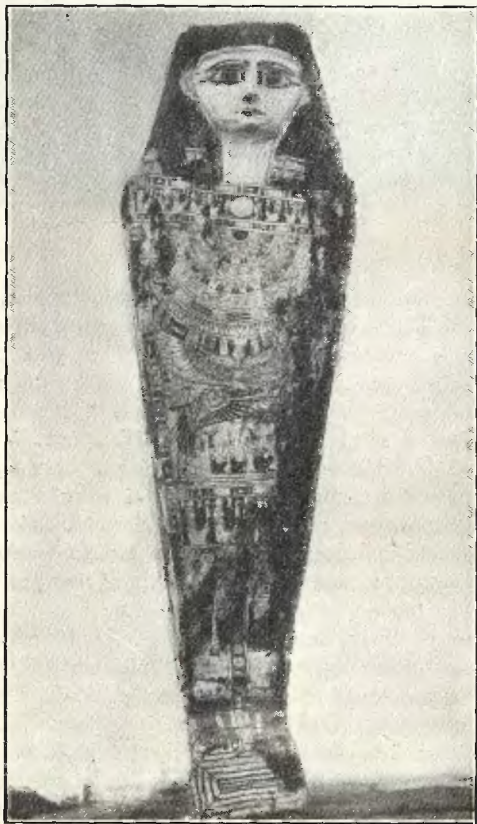
Już to wiekowi naszemu przyznać trzeba, iż pod względem nadzwyczajnych odkryć i wynalazków prześcignął wszystkie poprzednie wieki razem wzięte. Co zaś najbardziej zdumiewające, to dziwna korelacja, istniejąca między poszczególnymi zdobyczami nowoczesnego ducha ludzkiego. Gdy w jednej dziedzinie uda się coś nowego odkryć, wnet przyczynia się to do jakiegoś postępu w innej dziedzinie. Tak miała się ostatnio rzecz z przedsięwzięciem przez archeologów angielskich na szeroką skalę odnalezieniem grobowców faraonów w Egipcie. Wydobyte przez nich po tysiącach lat na światło dzienne, cudownie zakonserwowane, zabytki prastarej kultury egipskiej naprowadziły na pewne odkrycie, które olbrzymie posiada znaczenie dla wiedzy zupełnie innej, a mianowicie dla t. zw.

filologii. Oto przy badaniu niektórych mumii stwierdzono, że starożytni Egipcjanie do wytwarzania t. zw. plastronów, w które owijano ciała nieboszczyków, używali — papyrusu zapisanego, czyli, jakbyśmy to

dziś nazwali, — „makulatury”. Oczywiście, że co dla nich wówczas było już tylko taką „makulaturą”, dla nas dziś przedstawia war-

tość nieocenioną, jako dokument historyczny.

Wśród licznych tego rodzaju dokumentów znaleziono jeden, drogocennością swoją prześcigający — przynajmniej dla pewnej garstki prawdziwie „dobrych Europejczyków” — nawet wszystkie cuda grobowca Tutenkama. Jest to mianowicie papyrus, zawierający ni mniej ni więcej, jak jeden z największych odpisów — *Odyssei Homera*! W ten to „odpis” właśnie owinięta była mumja jakiegoś dygnitarza faraonów. Niezwykle drogocenny skarb ten byłby jednak z pewnością dla ludzkości cywilizowanej stracony, gdyby nie owa, na wstępie wspomniana, dziwna korelacja między poszczególnymi zdobyczami no-

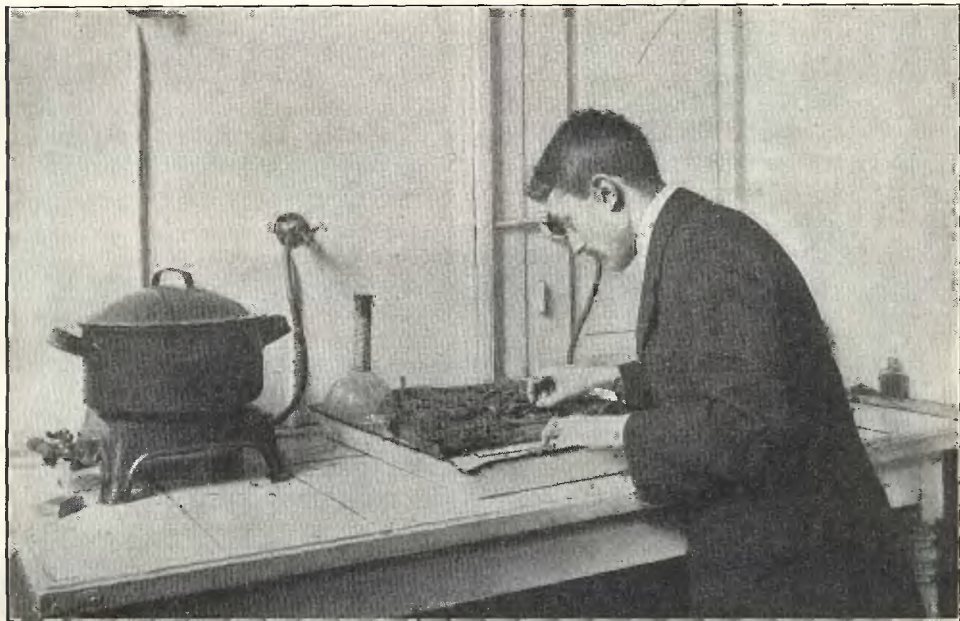


*Mumja, która była owinięta w odpis „Odyssei”*

woczesnego ducha ludzkiego.

Taki „plastron” bowiem, w który owijano staroegipskich nieboszczyków, jest dopiero wyrobem z papyrusu. Zapiski więc jakie się na papyrusie znajdowały, nie dają





*Chemiczne preparowanie „plastronu” z papyrusa*

się w prosty sposób odczytywać. Udać się to może tylko po niesłychanie mozolnym procederze, jakiemu poddać należy ów, w jaknajostroźniejszy sposób z mumii odłupany, „plastron”. Tym zaś procederem zajmuje się od szeregu lat jedynie w swoim rodzaju „Institut de Papyrologie” w Paryżu.

Ale uczeni tego instytutu, na którego czele stoi prof. Pierre Jouget, niewiele zdolaliby wiedzą swoją filologiczną zdziałać, gdyby im nie przyszła z pomocą tak wysoko dziś rozwinięta chemja. Jej to bowiem mają do zawdzięczenia ów dość zawikłany proceder, zapomocą którego udaje im się taki „plastron” z mumii egipskiej w ten sposób spreparować, że zapiski na papyrusie stają się widoczne. Z chwilą dopiero, gdy ten proceder szczęśliwie został dokonany, zaczyna się właściwa, niesłychanie mozolna, praca filologiczna. Uzbrojeni w szkła powiększające, uczeni tygodniami całemi z niebywałą cierpliwością układają przede wszystkim niezliczone kawałki papyrusa w porządku, umożliwiającym odcyfrowanie znajdujących się na nich zapissek. Naklejając wiersz po wierszu na długich arkuszach papieru, uczeni z czasem „rekonstruują” cały tekst papyrusa. Po skończeniu zaś tej



*Fotograficzne zdjęcie jednej strony odpisu Odyssei*

prawdziwie syzyfowej pracy, wszystkie te arkusze z naklejonym na nich tekstem pa-

papyrusu uczeni — zdejmują fotograficznie, oczywiście w znacznym powiększeniu. Będąc zaś w posiadaniu tych zdjęć, uczeni mogą z całą swobodą odczytywać treść prastarych dokumentów egipskich i ogłosić je później z odpowiedniami komentarzami w rozprawce lub książce. Płyty fotograficz-

który sporządzał tę kopję arcydzieła homerowskiego, nie władał dostatecznie tak trudnym językiem greckim, a w szczególności nie odczuwał pewnych finezyj językowych wielkiego poety. To też popełnił mnóstwo iście „barbarzyńskich” błędów. I nie może nic świadczyć bardziej o wysokim po-



*Odcyfrowywanie i naklejanie poszczególnych kawałków papyrusa.*

ne zaś ze zdjęciami tych drogocennych papyrusów przechowuje się w specjalnem archiwum.

W opisany tu sposób uczonym „Institut de Papyrologie” w Paryżu udało się odcyfrować papyrus, zawierający najstarszy z dotychczas znanych odpisów Odyssei Homera. Okazało się, iż ten papyrus pochodził z epoki grecko-rzymskiej starożytnego Egiptu. Po dokładnem zbadaniu zaś odpisu „Odyssei” wyszło na jaw, że Egipcjanin,

ziomie kultury naszej, jak fakt znamienny, że te błędy, popełnione przed kilku tysiącami lat przez starożytnego Egipcjanina, który o tyle bliższy był dawnej Grecji niż my, poznane zostały przez francuskich uczonych doby naszej. Ma się rozumieć, że papyrus z najstarszym odpisem „Odyssei” Homera, mimo tych „błędów”, posiadać będzie po wszystkie czasy wartość nieocenioną.

*litt.*



# Adam i Ewa

Napisał

Aleksander Czaplicki

*Ilustrował J. Mucharski*

— Żyję już od tysiąca lat — powiedziała królowa Ewa.

Pieśniarz Adam rozwarł ze zdziwieniem powieki. — Jesteś tak stara, królowo, jak niewielu mężczyzn — zauważył.

— Byłam pierwszą kobietą w Międzyrzeczu, której wielki uczony Amduah wlał w żyły cudowny płyn wiecznego żywota. Mówisz prawdę, pieśniarzu; niewielu mężczyzn pamięta tysiąc lat swojego życia, chociaż z początku ich tylko umiano odmłodzić. Jestem najstarszą kobietą świata.

— I najpiękniejszą — dorzucił Adam szeptem.

Ewa nie odpowiedziała nic. Zmęczonym ruchem oparła głowę o wezgłowie karła, ozdobione znakiem dwóch rzek świętych.

Noc rozpięła nad miastem gwiaździsty namiot. Na dole, jak stokroć większe gwiazdy, pałały olbrzymie latarnie elektryczne, a srebrne węże światła reflektorów, umieszczonych na szczytach wysokich stalowych wież, pełzały między niebem i ziemią, oświetlając w powietrzu drogę aeroplanom i wielkim sterowcom, płynącym z miasta i ku miastu. Jedna z tych świetlnych smug musnęła w przelocie wysoko wzniesiony taras, na którym siedziała Ewa i młody pieśniarz.

Oboje byli młodzi, a jednak na twarzy królowej owe tysiąc lat życia położyło nieuchwytny jakiś cień, zgęszczony jedynie w oczach, jakby przyćmionych, i w kątach czerwonych ust. W tej kobiecie ciało tylko było młode, ale dusza stara i znużona. Ro-

zumiała to widać sama, bo nagle ocknęła się z zadumy i spytała:

— A ty, ile masz lat?

— Dziewiętnaście — odparł pieśniarz.

Ledwie widoczny uśmiech przewinął się po ustach królowej. Była w tym uśmiechu macierzyńska nieledwie tkliwość, ale jednocześnie drapieżny jakiś skurcz, odślaniający białe, piękne zęby.

— Dziewiętnaście — powtórzyła zcicha. — I ja bym mogła tak powiedzieć, — głos jej zadźwięczał głębokim żalem, — gdybym umiała nie pamiętać. Wielki uczony Amduah zwyciężył śmierć i sprawił, że razem z nami wszystko stało się wieczne: nasze rozkosze i nasze... grzechy.

Pieśniarz Adam potrząsnął głową. Od dwóch zmian księżyca był już na królewskim dworze, pieśni i serce oddał tej pięknej kobiecie, ale dotychczas nie mógł pojąć jej smutku, czy znudzenia. Roześmiał się i przez ten śmiech naprawdę młodzieńczy zawołał:

— Jeśli sądzono mi być przy tobie, królowo, to zgadzam się żyć wiecznie.

— Kastar zabiłby cię, gdyby słyszał te słowa — odrzekła.

Adam zacisnął wargi i uśmiechnął się drwiąco. Ale zaraz uśmiech zgasł mu na wargach, a na twarzy pojawił się wyraz bolesnej zadumy.

— Który on jest? — zapytał cicho.

— Kto?

— Mąż!

Jakaś struna u lutni, szarpnięta gwałtownym skurczem dłoni, zadźwięczała w ciszy.

Ewa uważnie spojrzała w twarz chłopca, ale nie mogła z niej nic wyczytać przez ruchomą maskę światła i cieni.

— Drugi — odparła.

— A z tamtym co się stało?

Olbrzymi kształt sterowca, przelatującego prawie na poziomie tarasu, przesłonił na chwilę mocne światła miasta. Postać kobiety zasunęła się w mrok i z tego mroku wypadło jedno krótkie, jak pchnięcie sztyletem, słowo:

— Zginął!

Adam rozwarł usta, jakby do pytania, ale zamilkł.

Nad nimi pod usianem gwiazdami niebem rozległ się warkot motoru i rozplynął się w oddali. Było bardzo cicho, tylko miasto szumiało u stóp pałacu, jak spokojne morze.

Przez taras przebiegł lekki podmuch wiatru, pochwylił koniec jedwabnego zawoju królowej i odrzucił go na poręcz karla. Zuchwała dłoń pieśniarza dotknęła materji, kuszącej miękkim połyskiem, i poczęła ją gładzić ruchem niespokojnym a rytmicznym jak bicie serca. Królowa widziała tę pieszczotę i czuła, jak do jej duszy wsącza się jad nienasyconych pożądań. O! nie chodziło jej o tego młodego i pięknego chłopca — wiedziała, że może go mieć każdej, choćby tej jeszcze, nocy — więc nie pragnęła tego. Kaprys będzie jego sprzymierzeńcem — myślała. Nie, nie było w pożądaniach królowej Ewy pragnienia miłości. To było co innego. Olbrzymiem, przygniatającem brzemieniem kładło się na jej duszę jej tysiącletnie życie. Była przecież królową wspańskiego państwa i piękną kobietą, więc wyczerpała wszystkie rozkosze, o jakich można pomyśleć — od miłości do nienawiści, od poświęcenia do zbrodni. I oto teraz nie napoczęła jeszcze prawie wieczność jej istnienia straszyla ją swoją płytką, nawskroś przenikniętą głębią. Więc tak już zawsze — zawsze — myślała, więc to już wszystko — wszystko... Buntowała się jej ludzka dusza przeciw temu rozwarciu wszystkich tajemnic, przeciw tej beznadziejnej pewności jutra. Stłumionym, ale coraz wybuchającym i ogarniającym całą jej istotę, płomieniem paliło się w niej wielkie pożądanie nieznanych, nieprzeczuwanych przeżyć, jakichś

odmian, jakichś rzeczy obcych, któreby mogła po raz pierwszy dopiero brać w siebie na własność. Ale wiedziała, że to jest niemożliwe — wszystko, wszystko już należało do niej.

Powiodła oczami po nierównych zarysach miasta: jarzyły się tam wielkie kule elektryczne, białe węże pełzały ciągle nad szczytami budowli, olbrzymi głośnik radiofoniczny, ustawiony na środkowym placu, rozwierał czarną paszczę. Za chwilę miała zabrzmieć odwieczna pieśń północy, docierająca na skrzydłach elektrycznych fal do najdalszych zakątków Międzyrzecza.

Ewa przymknęła powieki — obraz miasta znikł. Pustka, pustka — pomyślała, czując, jak wzbiera w niej serdeczny, dziecięcy żal. I wtedy spostrzegła, że czyjaś dłoń dotyka jej ręki, i usłyszała po tysiącokroć znany, gorący szepet męskich warg:

— Ewo!

Rozwarła powieki i spojrzała prosto w świecące źrenice pochylonego nad nią pieśniarza.

— Ewo! — powtórzył i pochylił się tak nisko, że poczuła na twarzy jego oddech i zapach namaszczonych włosów.

Uśmiechnęła się.

A był to uśmiech pełen gorzkiej mądrości. Jeszcze raz oto stanęła w obliczu kochana, które — jak wierzyła głęboko — jest tylko płomieniem krwi i niczem więcej. Jeszcze raz miała przeżyć święto pożądań, dosytu i — przesytu. Lekki skurcz niesmaku wykrzywił jej usta.

— Ewo! — szepnęły męskie wargi tuż przy jej twarzy.

Ale to daje zapomnienie — pomyślała — zapomnienie...

I w nagłym przypływie niechęci do tego, co ją otacza i zawsze otaczać będzie, zarzuciła oba ramiona na szyję pieśniarza Adama. A uczyniła to takim ruchem, jakby zsuwała zasłonę, gasząc w ten sposób świecącą w dali wizję miasta.

Na wargach poczuła gorąco.

Ale w tej bardzo krótkiej chwili narodził się pocałunku duszę jej, zapadającą już w słodki bezwład, przeszłyja myśl nagła, jasna jak mocne światło reflektorów.

Maszyna!

Jest, jest jedno na całym świecie miejsce, gdzie mieszka jeszcze możliwość odmiany.





*Ewo!... szepnęły męskie wargi...*

Jest jedna rzecz, w której czai się niezbadana dotychczas tajemnica. Po wielokroć myślała o tem królowa Ewa, a myślała coraz śmielej, coraz drapieżniej, tłumiąc w sobie resztki zabobonnego lęku. Ale nigdy nie czuła dość siły, aby stanąć do otwartej walki z odwiecznym wrogiem. Bo wrogiem jej była maszyna Amduaha. Dlatego, że kryła w sobie tajemnicę, strzeżoną przez uczonego starca tak zazdrośnie, iż nawet ona nie zdołała jej przeniknąć. Ale jednocześnie był to królowej sprzymierzeniec — wcielenie jej snów, jedyna, ostatnia nadzieja. Ewa myślała o maszynie Amduaha, jak się myśli o kochanku: chciała ją zdobyć, aby się oddać zamkniętej w niej, cudownej a nieznanej, potędze. Jakże mały, jakże śmieszny był pieśniarz Adam.

Cofnęła usta i odsunęła go zlekka od siebie.

Biały wąż światła przepełnzał znowu nad nimi i na chwilę rozświetlił twarz Adama. Ewa ujrzała młode, zwarte rysy, pełne głębokiego wyrazu, i oczy, w których paliło się zuchwałstwo. Odparła to spojrzenie spojrzeniem królewskiej dumy. Walka trwała krótko — oczy pieśniarza zgasły, a na wargach pojawił się niepewny uśmiech. Wyprostował się i tak stał, nie wiedząc, co czynić.

W ciszy zadzwonił przenikliwy śmiech królowej. Jakże mały, jakże śmieszny był pieśniarz Adam. Ale zaraz zrobiło jej się żal jego dziecięcej ufności, więc wyciągnęła rękę i lekko pogłaskała nagie, bezradnie opuszczone ramię. Poczowała gładką skórę, a pod nią żywy, ruchomy kształt mięśnia.

Mocny jest — pomyślała.

Adam niechętnie usunął ramię, a potem usiadł na dawnym miejscu i, oparłszy głowę na dłoń, milczał.

Tak trwało chwilę.

Nagle cisza nocna napełniła się akordem potężnej muzyki. Olbrzymie fale powietrzne wydarły się z czerniejącego w oddali głośnika i polały się przestrzenia, jak fale rzeki. Była to odwieczna pieśń, wyrzucana co nocy przez wszystkie głośniki radiofoniczne Międzyrzecza. Śpiewał ją wielki chór królewski na cześć dwóch rzek świętych, otoczonych ongi przez przodków boskim kultem, a dziś jedynie w owej pieśni wspomnianych i zdobiących czasem sprzęty i stroje.

Bo mieszkańcy Międzyrzecza póty mieli bogów potężnych a łaskawych, póki nie zwyciężyli śmierci.

Królowa Ewa chciwie słuchała pieśni. Dusza potężnych dźwięków spływała ku niej jasną smugą i napełniała ją tajemniczym ciepłem, w którym, jak kwiaty w słońcu, bujniej rozkwiatały jej tęsknoty. Opadające zwolna powieki zgarniały pod siebie czarną głąb nieba, a na jego tle, jak na olbrzymim ekranie, pojawiła się świetlista wizja tajemniczej maszyny. Stalowe jej członki paliły się krwawym płomieniem — rozwierało się wnętrze jej tajemnicy i ukazywało olśnionym oczom rzeczy dziwne, nigdy nie przeżywane, otchłań jakiegoś nowego, innego życia.

W objęciu tych dwóch płomieni: pieśni i tęsknoty, spalała się dusza królowej Ewy. Tak trwało, póki nie ucichła pieśń.

Wówczas w głąb jej świadomości, pełną

jeszcze słonecznych blasków, wdarty się, wypowiedziane wzburzonym głosem, wyrazy:

— Więc dlaczego uratowałaś mi życie?

Ocknęła się i spojrzała. Spotkały ją dwie źrenice, pełne posępnego ognia, oczy dziecka, ale zmaczone do dna męskim bólem.

— Więc dlaczego uratowałaś mi życie? — powtórzył. — Wolałbym zginać, jako ci wszyscy, nieprawnie urodzeni, których Kastar każe mordować, aby nie zabierali powietrza i jadła innym — od wieków żyjącym. Dlaczego — dlaczego uratowałaś mi życie?

W głosie jego była prawdziwa rozpacz.

Ewa patrzyła nań chwilę zmrużonymi oczami drapieżcy. Zrozumiała, że Adam kocha ją naprawdę, więc spojrzeniem tem brała na własność duszę, którą jej tak ufnie oddawał.

Jesteś mi potrzebny — pomyślała.

— Kocham cię — odrzekła.

Chwilę obejmował świadomością nieprawdopodobne, oszołamiające wyrazy, a potem jednym skokiem znalazł się tuż przy niej. Dwa mocne ramiona uniosły ją tak łatwo, jak małe dziecko, gorące wargi spadły drapieżnie na jej oczy, ogarnął ją sobą, jak letnia burza ogarnia wyniosłe, królewskie drzewo.

Wbiła zimne źrenice w płomienną głąb jego oczu.

— Twoją będę. Czy jesteś gotów uczynić, czego zapagnę?

— Tak — odszepnął.

— Więc puść i chodź za mną.

Adam usłuchał. Odstąpił od niej i patrzył na nią tak, jakby ją pierwszy raz dopiero widział. Spojrzenie jego przenikało lekki zawój aż do głębokiej czerni włosów, spalało prostą suknię z ciężkiego, złotego jedwabiu i po smukłej linii ciała spływało do bielejących w dole nagich stóp, objętych wąskimi paskami sandałów. Była w niem miłość i podziw.

Ewa widziała to i uśmiechnęła się zlekka. Ale zaraz pochyliła głowę, aby nie ujrzał, że uśmiechnęła się do swojej własnej piękności, odbitej na jego twarzy.

— Chodź za mną — powtórzyła i sama poczęła iść ku drzwiom, wiodącym w głąb pałacu.

Adam poszedł za nią.

Zanurzyli się w łagodnym świetle elektrycznych kul, umieszczonych na suficie we wklęsłych lustrach, które rozsiewały wszędzie jednakowe światło. Puszyste dywany, miękkie karły, stopy barwnych poduszek, aksamitne obicia ścian mówiły o spokojnym dosycie. Przesuwali się przez wielkie komnaty i coraz inne zasłony u drzwi zamykały się za nimi, falując w objęciu lekkich kolumn.

U jednej ze ścian zatrzymała się królowa Ewa i nacisnęła ukryty w fałdzie obicia guzik radjoskopu. Rozwarła się w wielkiem, ciemnem lustrze głąb obrazu. Adam ujrzał salę, w której jeszcze nigdy nie był. Złoty jej strop jarzył się mocnem światłem wielu lamp, ściany zdobiły wspaniałe makaty. w głębi wznosił się podwójny tron, nad którym świecił, z drogich kamieni uczyniony, symbol dwóch rzek świętych. Na pierwszym planie obrazu ujrzeli bladą twarz Kastara. Patrzył na nich, wychylony ku lustru radjoskopu, a ze zmrużonych oczu i ściągniętych brwi wyglądała zła, mściwa dusza.

Ewa roześmiała się drwiąc. Obraz, pod dotknięciem jej dłoni, zgasł. Tak zgasiła w duszy obraz królewskiego małżonka już wiele, wiele lat temu.

Poszli dalej.

Królowa prowadziła Adama ku tarasowi, leżącemu po przeciwległej stronie pałacu, wzniesionemu nad połacią ziemi uprawnej, stanowiącej olbrzymie laboratorium, gdzie uczeni ze sztucznych, w ciągu wieków wykształconych, roślin czerpali dla mieszkańców stolicy ożywcze substancje. Północna strona tego tarasu kończyła się wyniosłą, krągłą wieżą, panującą nad pałacem króla i nad miastem. Można było z niej ujrzyć olbrzymi okrąg ziemi aż hen, po brzegi świętej rzeki Eufratu. Na tym tarasie stanęła Ewa i, wyciągnawszy ramię ku wieży, powiedziała cicho:

— Tam!

Adam wyteżył oczy. Posępne zarysy kamiennego olbrzyma, tonące w nocnym mroku, co chwila rozświecały się białymi plamami błazących światel reflektorów. Zapalały się wówczas migotliwe iskierki w sieci drutów, rozwieszonych na wysokich masztach, zbudowanych na szczycie wieży. Pod



samym szczytem palił się czerwono kwadrat małego okienka.

To było wiecznie czuwające oko strażnicy Amduah.

Ewa patrzyła prosto w czerwone światło. Nie czuła lęku, chociaż wiedziała napewno, że tej nocy stanie się rzecz oddawna marzona, a przez tajemnicę — groźna. Myślą, przymgloną nieco przez szumiące fale krwi, błogosławiła wszystko święte Międzyrzecza za rozkoszny niepokój oczekiwania, za prze-czucie nieznanego cudu — odnalezione skar-by prawdziwej młodości.

Odwrociła się ku pieśniarzowi i, chwyciwszy jego dłoń, ścisnęła ją boleśnie mocno.

— Czy uczynisz wszystko, czego zapagnę? — powtórzyła.

Adam skinął głową.

Wówczas powiodła go tarasem aż do miejsca, gdzie łączył się z wieżą. Zapadli oboje w cień wysokiej balustrady. W jej wnęce stała kamienna ława, na której królowa usiadła, pociągając Adama za sobą.

Od podmiejskich plantacji napływał słodki zapach wielu kwitnących roślin — zapach mocny, jak wino. Adam wciągnął powietrze, szeroko rozwierając nozdrza, a potem pochylił się ku królowej i głodnymi wargami począł szukać jej ust.

Położyła mu rękę na twarzy i szepnęła:

— Potem.

Warcchnęła głęboko. Tak, był gotów uczynić, czego pragnęła.

Białe, miękkie ramię otoczyło jego szyję. Królowa, dotykając prawie ustami jego twarzy, mówiła:

— W tej wieży mieszka Amduah, strzegąc swojej maszyny. Zbudował ją wiele, wiele lat temu. Zamknął w niej olbrzymie, cudowne siły wszechświata, ujarzmione przez siebie, bo chciał odebrać władzę królom Międzyrzecza i stać się panem kraju. Ale nie uczynił tak, nikt nie wie, dlaczego. I odtąd strzeże swojej tajemnicy. Kastar drżał przed nim i długo był powolny jego żądanom. Bo Amduah chce obcyzać nasze odmienić i cześć bogów przywrócić. Ale maszyna milczy, i dziś nikt już jej się nie lęka, nie wierzy w nią nikt — oprócz mnie. Amduah nie kłamie: w maszynie jest zamknięta tajemna potęga — chcę ją wyzwolić — chcę ją poznać.

Szept królowej palił twarz Adama, jak ogień — białe ramię zaciskało się coraz mocniej.

— Co mam zrobić? — zapytał.

— Pójdziemy tam — odrzekła. — A ty uczynisz, że Amduah nie będzie nam mógł przeszkodzić.

Spojrzał na nią. Twarz jej białała zaledwie w mroku, ale oczy świeciły zimnym, zielonym ogniem, jak oczy kota. Wzdrygnął się. Poczuł, że na duszę kładzie mu się cień jakiegoś, wielki, jak cień posępnej wieży Amduah.

— Dobrze — odpowiedział.

Na chwilę objął go płomień jej pocałunku. Potem wstała i, ujawszy mocno jego dłoń, powiodła go ku drzwiom wieży.

Rozwarła je i zaraz same cicho się zamknęły.

Ogarnął ich mrok.

Poczęli wchodzić po stopniach, biegnących wokół wieży ku szczytowi. W równych odstępach czasu pojawiały się jasne kwadraty małych okienek, pod stopami czuli gładką powierzchnię, a w bladym świetle czerniały wielkie, żelazne drzwi do niższych izb wieży.

Zatrzymali się na najwyższym z tych pomostów.

— Tutaj — szepnęła Ewa.

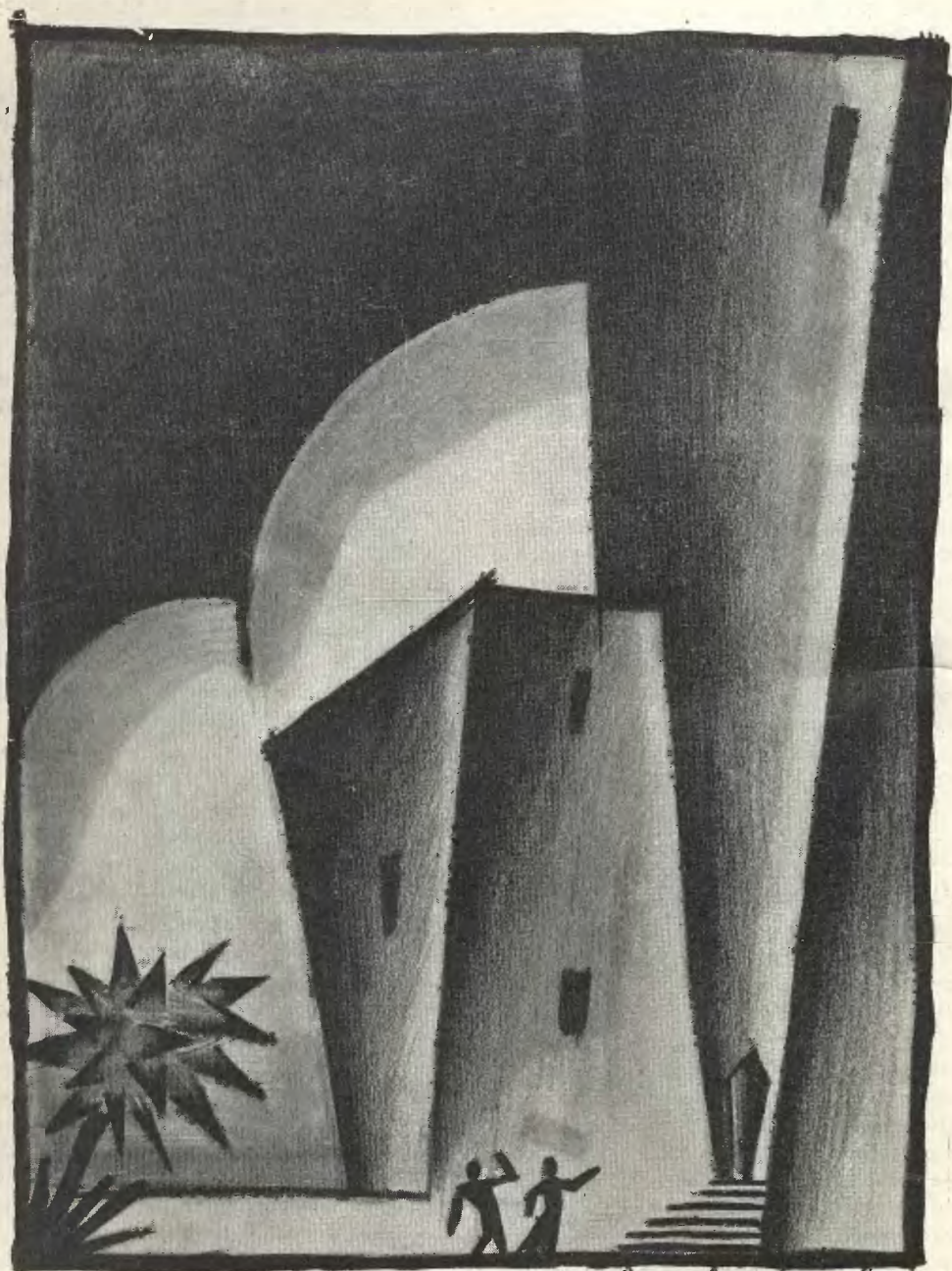
Było zupełnie cicho. W tej ciszy słyszeli nawzajem bicie swoich serc i szybkie, tłumione oddechy.

Ewa dłonią mocno przycisnęła serce. Głowę odrzuciła w tył i oparła o twardą ścianę. Skąpe światło, płynące zzewnątrz, nie pozwalało Adamowi widzieć jej twarzy, więc mogła oddać się ogarniającym ją przemożeniu uczuciom. Oto za ścianą, do której przyciskała głowę, kryła się jedyna tajemnica. Wkrótce miała spojrzeć w jej cudowną głębię, miała stać się panią oszołamiających skarbów odmiany. O chwilo! Nieświadomie złożyła ręce, jak się je do modlitwy składa, i zagłębiła się w ekstazie ostatnich mgnień tęsknoty, rozplywającej się już, jak mgła w gorącym słońcu spełnienia.

O! chwilo! chwilo!

— Królowo — szepnął pieśniarz, dotykając lekko jej dłoni.

Ocknęła się. Złoty płomień uniesienia zapadł na dno duszy. Zwarły się surowo mię-



*Jan Lechowski/26*

...powiodła go tarasem...



śnie twarzy — a ciało ogarnął kojący chłód krwi. Była gotowa do walki.

Wyciągnęła ramię ku drzwiom.

— Uderz, zanim spojrzysz na ciebie — szepnęła. — Pamiętaj, zanim spojrzysz.

Poczem ją uchylić drzwi bez szelestu.

Ukazał się czerwony pas światła, który stawał się coraz szerszy, kładąc na twarzy Adama i Ewy krwawe piętna.

Adam nie patrzył na królową. W boleśnie ścisniętym sercu nie czuł dla niej w tej chwili nic — nic, okrom chłodnego podziwu i cienia lęku.

A czerwony pas rósł i stał się już tak szeroki jak ramiona człowieka.

Wówczas z za ciemnego ekranu drzwi wyjrzał ku nim na izbę wysunięty, olbrzymi, zimnym blaskiem świecący, stalowy człon maszyny.

Ewa, ujrawszy go, jednym rzutem ciała odepchnęła drzwi ku ścianie i stanęła na środku izby. Za nią szedł Adam, torsem jak zapaśnik ku niewidocznemu wrogowi wychyłony, z oczyma zasnutymi już krwawą mgłą nienawiści.

Stanęli przy sobie i wzrokiem ogarnęli izbę.

Nie było w niej nikogo.

Na gładkich, kamiennych ścianach wisiały wielkie, białe karty, pokryte rysunkami i cyframi. Niski tapczan wyzierał z za stołu ksiąg, porzucanych w nieładzie. U góry świeciła czerwona kula elektrycznej lampy. A nawprost drzwi, rozpościerając się na pół izby i sięgając jej stropu, stała maszyna.

Adam ujrzał gęstwą splecionych ramion i kół, omotaną, jakby pajęczą siecią, zwojami drutu, wspinającego się ku górze i niknącego w małych otworach stropu.

Ewa nie widziała tego. Wydało jej się, że spojrzała w słońce. Olśnił ją ogrom stałowej potęgi, nieruchomo od wieków czekającej wyzwoliń. Zbliżyła się do maszyny i zaczęła wodzić dłońmi po lśniącej, gładkiej powierzchni jej członów. Czuła, jak pod tą pieczęcią martwa stała ożywa. Oszałamiające bogactwo siły spłynęło falą żywej, gorącej krwi z utajonego we wnętrzu maszyny serca ku tysiącom wyciągniętych ramion, nabrzmiałych mięśni, cienkich, drgających nerwów, zamkniętych jeszcze oczu lamp. Milczący olbrzym pochylił się nad Ewą i

począł ją wchłaniać jak polip w tajemnicę swej głębi. Opasała zimne człony ramionami, i przywarła ustami do błękitnego, lśniącego ciała. Cała była jak uderzenie płonącego serca, jak krzyk rozkoszy.

Adam rozwierał oczy, nie rozumiejąc.

Nagle, pod ciężarem kobiety osunął się miękko jakiś trzon, z gęstwy wystający i drgnęło pobliskie koło. U góry zaświeciły białe źrenice małych lampek, zgrzytnęły zwierające się zęby i olbrzymie ramię poczęło dźwigać swój ciężar, zapalając po drodze światła, puszczając w ruch koła, wyszarpując z wnętrza maszyny zimne błyski i pojęki jakieś, westchnienia, zgrzyty... Zadygotały potężne człony, jakby od uderzeń walącego we wnętrzu serca i wraz poczęło się wszystko kłębić, zwierać, rozwierać, migotać i huczeć jak wzbierająca burza.

Maszyna Amduaha ożyła.

Ewa osunęła się na podłogę i nieprzytomnemi oczyma brała w siebie narodziny cudu. Ale nagle jakiś twardy nakaz wewnętrzny zmusił ją do odwrócenia głowy.

Uderzyło w nią dwoje czarnych źrenic, głębokich i palących. Patrzyły one z pod wspaniałego sklepienia czoła z twarzy bronzowej, suchej, jak spalona przez słońce trawa, twarzy, na której wieki położyły piętna myśli i bólów. Pod nią na chudych ramionach wisiała czarna szata, a silne, młode ramię wyciągnięte było ku Ewie ruchem groźby czy przerażenia.

To był Amduah.

— Adamie! — szepnęła królowa.

Ale pieśniarz nie poruszył się nawet. Patrzył na posępną zjawę dziecięcemi oczami, w których malowało się ufnie poddanie. Nie mógłby uderzyć tego człowieka, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

Amduah rozwarł zaciśnięte usta, a przy tym ruchu błysnęły jego białe, młodzieńcze zęby.

— Zgubiłaś Międzyrzecze, królowo — powiedział.

Poczem ogarnął wzrokiem swoją maszynę.

Przycichła jakby, zgrzyty i jęki przemieniły się w jednotonny, czysty dźwięk pracy wspaniałego, zdrowego mechanizmu. Koła, wirujące z olbrzymią szybkością, stały się mglistymi tarczami, ramiona unosiły się i spadały miarowo, — w głębi trzaskały wielkie, jak błyskawice, iskry.

Uczony uśmiechnął się z wyrazem fli-wości i dumy, poczem znów przeniósł wzrok na Ewę.

— Zgubiłaś Miedzyrzecze — powtórzył.

Królowa uniosła się z podłogi i stanęła wyprostowana. Na usta cisnęły jej się wyrazy, pełne wzdąry dla uczonego starca, wyrazy królewskiej dumy i zwycięstwa. Ale, zamiast tych słów, wybiegło na jej usta bezwolnie, ciche, jakby zalekńione, pytanie:

— Dlaczego?

Amduah podniesionem ramieniem zatoczył półkole.

— Miasto króla — odpowiedział — cały kraj nasz od końca do końca stanie się za chwilę pustynią. Upadną wzniesione przez ciąg wieków budowle, a śmierć przędka zniszczy wszystko żywe: rośliny, zwierzęta i ludzi, tak, że nie zostanie nikt ani nic okrom burzliwego powietrza, wód, zmąconych do dna i jałowej ziemi. Uczyniłaś to, królowo!

Ewa patrzyła na starca przerażonemi oczami. Rozwartła przed nią otchłań jedy-

nej tajemnicy miała się stać jej grobem. Sama tego chciała. Nigdy nie zaznany, obłądny strach przed zbliżającą się śmiercią położył na niej nagle zimne ręce.

— Odwróć zgubę — krzyknęła, wyciągając ku uczonemu ramiona.

Amduah potrząsnął głową.

Ewa spojrzła na maszynę. Oślepiąco białe iskry zapalały się nieustannie w jej wnętrzu z potężniejącym hukiem. Od ruchu potężnych kół i ramion rozdygotały się mury starej wieży i drżały, jak od uderzeń podziemnego ognia. Gdzieś nad wieżą rozpętał się nagle dźwięczący wicher, który wzmagął się z każdą sekundą, jakgdyby groza bliskiego zniszczenia ogarnęła powietrze i noc.

— Kłamiesz — szepnęła Ewa martwiejącami wargami.

Ale zaraz targnął nią nowy spazm strachu i rozpacz.

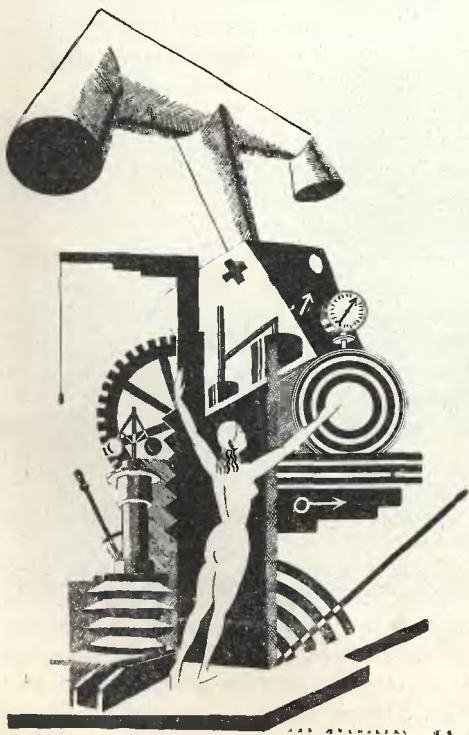
— Odwróć, odwróć zgubę! — krzyknęła, przez niewiadomo kiedy wytrysnę łyzi dziecięcego lęku.

— Nie — odpowiedział Amduah.

Ewa, oczami zasnutymi mgłą spojrzła na Adama, u niego szukając ratunku. Ale spotkały ją źrenice nienawidzące i pełne przerażenia. Adam także błagalnie wyciągał do uczonego ramiona.

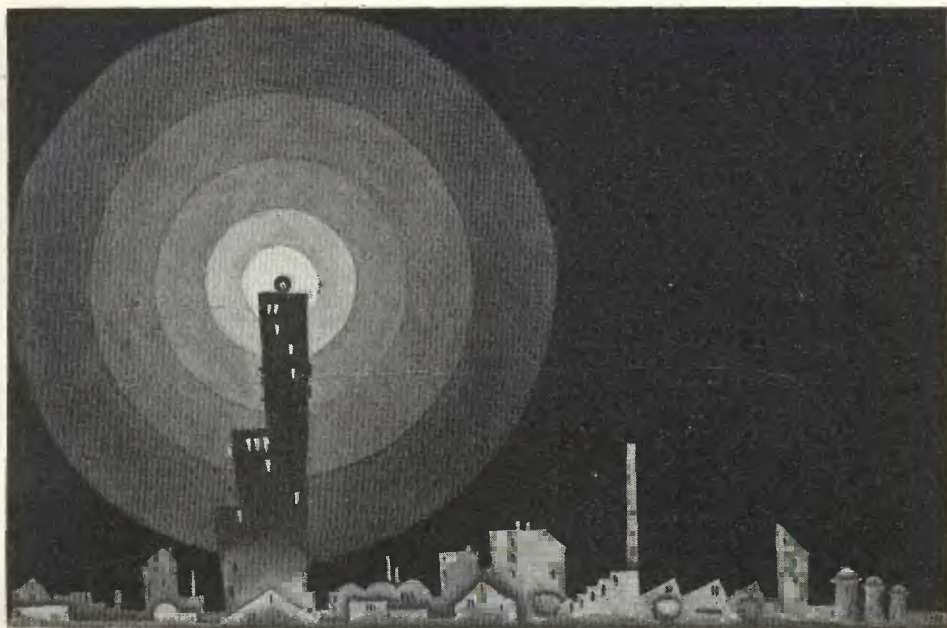
Wówczas wśród warkotu kół, wśród huku iskieł i rosnącej nad wieżą burzy, rozległ się spokojny, mocny głos Amduaha:

— Zbudowałem tę maszynę przed wiekami, aby zdobyć władzę i uczynić Miedzyrzecze krajem ducha. Zamknąłem w niej olbrzymie siły wszechświata, wydzierając niebu i ziemi ich tajemnice. Byłem pyszny. I za tę pychę ukarali mnie bogowie. Stałem się niewolnikiem mieszkających w maszynie potęg — nie mogłem ich wyzwolić, nie niszcząc ojczyzny, a nie chciałem tego. Wierzyłem, że naprawi w sobie duszę. Więc straszylem władców Miedzyrzecza maszyną: byli mi powolni, póki nie poznali, że jestem bezsilny. Grzeszyli dalej, oni i poddani ich. Ale nie ja jestem win mścicielem. Bogowie sami sprawili, królowo, że upadnie w gruzy kraj złoconych świętości i opasłych brzuchów, kraj pysznej, bluźnierczej mądrości, kraj bez wiary i świątyń, bez ducha, bez bogów! Sprawiedliwie, sprawiedliwie, po stokroć sprawiedliwie!



*Milczący olbrzym pochylil się nad Ewą*





*Tej nocy zapaliło się nad wieżą wielkie światło*

— Odejdę razem z moimi nieszczęsnymi braćmi.

— Ale was dwoje — uratuję.

— Was dwoje.

Ewa obiema dłońmi przycisnęła piersi. Coraz gorętszy oddech maszyny napełnił izbę żarem. Orkan, huczący koło niej mącił jej mózg, na serce położył się olbrzymi ciężar.

Osunęła się na kolana, a potem, pochylając się coraz niżej, dotknęła czołem zimnych płyt podłogi.

Gasnącemi oczami ujrzała bezwładnie spoczywające obok niej ciało pieśniarza.

Szum potężniał.

Powietrze parzyło jej skórę.

Szarpnął nią mocny wstrząs, a końce palców kaleczyły małe, ostre igły.

Dalekie, dalekie wyrazy:

— Was dwoje.

— Abyście się stali... źródłem... nowego... życia...

Głos ucichł.

Poczuła ogromny bezwład. Czarne zreniعة Amduaha pochylili się nad nią i, olbrzymiejąc, ogarnęły ją otchłanią bez światła.

Tej nocy, wkrótce po północnej pieśni, zapaliło się nad wieżą Amduaha wielkie światło, które rosło, potężniało i napełniało się hukiem. Mieszkańcy stolicy wylegli tłumnie na tarasy domostw i zdumionemi oczami patrzyli na niezwykle zjawisko. Było duszno jak przed burzą.

Kiedy płomienna chmura zasłoniła już pół nieba, poczęły się z niej dobywać białe wichry, które leciały górą i gasły z trzaskiem. Powietrze zapalało się miejscami białym płomieniem; po suchych włosach kobiet biegały maleńkie iskierki. Gorąco rosło. Zatrwożone tłumy wyległy na ulice. Małe świątynki, w których mieszkwały samotne pająki, poczęły się napełniać ludźmi.

Po upływie kilkunastu minut słabsi zaczęli upadać. Powietrze parzyło płuca, gwałtowne drgania przebiegały ciała.

Dzielnica, położona u stóp królewskiego pałacu, opustoszała.

Poziome błyskawice stawały się coraz dłuższe i płomienne ich miecze przecinały już całe niebo.

Wkrótce ludzie poczęli umierać nagle, jak uderzeni piorunem. Niewielu widziało przerażenemi oczami jak olbrzymia stalowa

wieża lotnicza, stojąca najbliżej pałacu, wygięła się nagle i runęła potokiem roztopionego metalu.

\*

Ewa ocknęła się z głębokiego omdlenia. Ogarnął ją chłód wilgotnej ziemi. Otworzyła oczy. Leżała na mokrej od rosy trawie u stóp odwiecznego boru, patrzącego na nią czarną głębią. W górze szarzało niebo i gasły gwiazdy. Uniosła się nieco na rękach i odgarnęła z czoła czarną falę włosów. Ujrzała Adama. Leżał obok z rozpostartymi szeroko ramionami, z białą twarzą, nieprzytomny.

Przypomniała sobie dzieje tej nocy.

I zrozumiała.

Ujrzała oczyma duszy wewnątrz tego boru, szumiącego pieśń Wiecznej Tajemnicy. Poczwała w ramionach i w nogach ciężki móżół dalekich wędrowań, w ustach cierpki sok leśnego owocu i świeżą krew zabitego kamieniem ptaka; przebiegł ją dreszcz nocnej rozkoszy w legowisku z gałęzi i mchu.

I zobaczyła także wędrującą przez leśne bagna, w cuchnących oparach i z krwawym pyskiem drapieżcy — tego boru i tego życia wielką panią — śmierć.

Rozumiała to.

I uśmiechnęła się słonecznie do rozwierających się oczu Adama.





*Kaktus „peyotl” rosnący w miejscowościach centralnego płaskowyżu meksykańskiego.*

## Roślina z tysiąca i jednej nocy

Znały ją i czcili ludy meksykańskie jeszcze przed Kolumbem. Cztery stulecia panowania hiszpańskiego i propagandy misjonarskiej nie zdołały wytępić kultu tubylców dla skromnego, szarego kaktusa, wyrastającego z pod ostrych głazów na płaskowyżach Meksyku.

„Boska roślina” jest czczona potajemnie, wyprawa po nią stanowi niemal obrzęd religijny, dla kultu jej wznosi się domy — słowo „świątynia” byłoby może za szumne dla tych małych lepianek — w których „wyznawcy” doświadczają jej dobrodziejstw. Kaktus ten zwie się *peyotl* w języku cywilizowanym, a w języku krajowców — *hilocouri*. Dobrodziejstwa jego są rzeczywiście niezwykle i ten, kto doświadczył działania *peyotla*, nie może się dziwić uporczywości jego czcicieli, których liczba stale wzrasta, pomimo prześladowań.

Chodzi o to, że *peyotl* jest jednym z najsilniejszych, a jednocześnie najmniej szkodliwych narkotyków, jakie zna ludzkość. Jak twierdzą znawcy, opjum, haszysz, kokaina, wszystko razem wzięwszy nie daje połowy tych oszałamiających wizyj, jakie stwarza *peyotl*. Wrażenia te nie dadzą się opisać i przechodzą bajki z tysiąca i jednej nocy. Zwłaszcza wrażenia wzrokowe są wprost feeryczne.

Nic też dziwnego, że walka ze zwolennikami *peyotla* nie jest łatwa, tembardziej, że z obozu prześladowców nie jeden przechodzi do obozu zwolenników, przynajmniej pokryjomu.

Jakkolwiek *peyotl* znany był już w najdawniejszych czasach, sprawa ta stała się teraz poniekąd aktualna z powodu badań naukowych uczonego francuskiego Aleksandra Rouhier, który specjalnie zajmuje się

tą rośliną, przypisując jej pierwszorzędne znaczenie w medycynie. Kaktus ten spotyka się w pustynnych miejscowościach centralnego płaskowyżu meksykańskiego, oraz w dolinie rzeki Río Grande del Norte (Texas). Plemię indyjskie *Huichol*, które zachowało obyczaje i wierzenia z epoki prekolumbijskiej niemal bez zmiany, dotychczas otacza kultem peyotl, widząc w działaniu jego emanację bóstwa. Ceremonie rytualne

krajobraz. Wyjątek stanowią mimozy, które dodają wdzięku ogólnej szarzyźnie.

Szare, pękate główki kaktusów — peyotłów tak zlewają się z tłem, że tylko sokole oko wytrawnego poszukiwacza może je odkryć pod warstwą pyłu, naniesionego przez wichry grudniowe, i skorupą błota po lipcowych „aguaceros” (ulewach). Szczęśliwy ze zdobyczy, Indjanin ścina główkę peyotla przy pomocy siekierki lub ostrego noża



*Potrójny „peyotl” zebrany na płaskowyżu meksykańskim*

nie różnią się prawie od tych, które odprawiano czterysta, czy pięćset lat temu. W dziwacznych kostiumach i nakryciach głowy, z twarzami, pokrytymi malowidłami albo tatuowaniem, wychodzi garstka wybranych na poszukiwania świętej rośliny, którą nazywają *hicuri* (peyotl). A poszukiwania te nie są łatwe. Do Santillo i Mapimi, a nieraz aż do Sierra Madre, około 400 kilometrów na wschód od Nayarit zapuszczają się Indjanie w bezpłodne skaliste pustynie, gdzie skapa roślinność zrzadka ożywia

i idzie na dalsze poszukiwania, aż nazbiera odpowiednią ilość kaktusów.

Każdą sztukę kraje na możliwie cienkie plastry, które wysusza na palącym, meksykańskim słońcu, a następnie sprzedaje aptekarzom amerykańskim.

Zalewając te wysuszone rośliny spirytusem, otrzymuje się coś w rodzaju nalewki, którą się potem przecedza i przyrządza sposobami, różniąciami się nieco jeden od drugiego, zależnie od pomysłów przygotowującego je chemika, i odpowiednio do te-





*„Świątynia ognia“ plemienia indyjskiego Huiszol; z lewej strony zawieszony jest symbol rośliny peyotl*





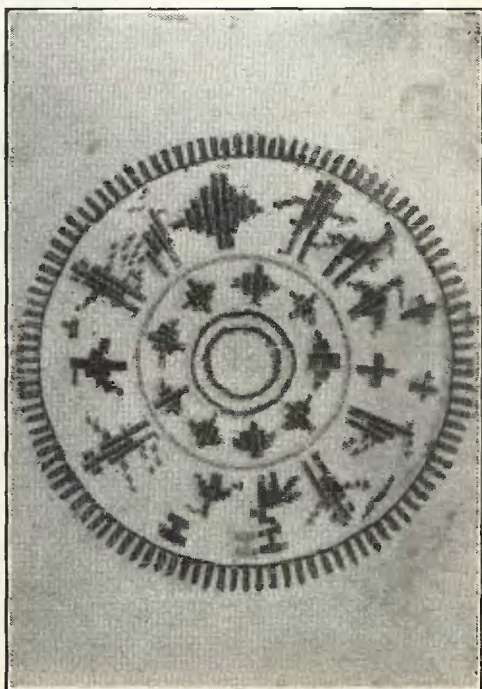
*Odmiana kaktusa peyotl*

go zmieniającymi sposób działania. Chemicy Lewin, Heffter, Kauder i Spüth doszli do sposobu przyrządzania kilku takich nalewek, które nazwali: *mescalina*, *anhalamina*, *anhalonidina*, *peyotlina*, *anhalonona* i *lophophorina*. Jakkolwiek, według największego znawcy i badacza tej rośliny, istnieje tylko jeden jej gatunek, a mianowicie — *Echinocactus Williamsii*, to jednak zmienia on nieco swe właściwości zależnie od gruntu, na którym wyrasta. Każdy więc z wymienionych gatunków narkotyków ma swe indywidualne właściwości, poza ogólnymi. Poza tem działanie *anhalaminy* jeszcze wogóle nie jest dokładnie zbadane.

Przebieg działania narkotyku da się streścić w sposób następujący. Wyraźnie zaznacza się rozłam na dwie połowy. W pierwszej, po silnem ogólnem podnieceniu nerwowem, trwającym trzy do czterech godzin, następuje uspokojenie, z wizjami kolorystycznymi niebywalej ostrości, fenomenem pomieszania odczuć zmysłowych, jak np. pojęcia kolorów w słuchu, autoskopja, rozdwojenie osobowości, zmniejszenie przedmiotów, etc.

Peyotl nie jest podobny w skutkach ani do haszyszu, ani do alkoholu. Zwiększa on w każdym razie wielokrotnie zdolności fizyczne i intelektualne.

Po kilku godzinach kończy się okres pierwszy działania peyotlu. Żrenice pacjenta rozszerzają się i nieruchomieją. Następuje okres drugi, który trwa dwadzieścia cztery godziny. W okresie tym zwiększa się niesłychanie, wrażliwość oka na światło, zarówno jak ostrość wszelkich wrażeń wzrokowych. Przedmioty stają się bardziej plastyczne, kolor ich, układ i stosunek się zmienia. W momencie, kiedy ekstaza dochodzi do maximum, „peyotlinowany”, umieszczony w zupełnie ciemnym pokoju i z zamkniętymi oczami, doznaje wrażeń, których bogactwo przechodzi wszelkie wyobrażenia. Barwy, światła, szczegóły przedtem nieznane i niespodziewane, nabierają takiej mocy, że z piersi narkotyzowanych wyrwywają się mimowoli okrzyki zachwyty i rozkoszy. „Barwy i wizje, które wywołuje peyotl, mówi dr. Rouhier, są nieopisane i nie dadzą się nigdy zapomnieć. Ich bogactwa, intensywność



*Symboliczna tarcza indyjska z godłem peyotl'u*



ności i rozkoszy ich oglądania nie wyrazi mowa ludzka". Zgadza się z nim zupełnie Weir Mitchell, drugi uczony — a trzeba dodać, że jak jednemu, tak drugiemu nie obcy jest żaden narkotyk, mają więc skalę porównawczą.

Co najdziwniejsze jednak, że „peyotlizm”, jako nałóg, prawie nie istnieje. Pomimo tak wielkich rozkoszy, używanie peyotlu nie staje się potrzebą fizjologiczną, jak to bywa przy opjum, morfinie, kokaïnzie i innych narkotykach.

Znaczenie peyotlu w medycynie ma być ogromne, przynajmniej dr. Rouhier na zasadzie długoletnich doświadczeń twierdzi, że jest to świetny środek wzmacniający (przy odpowiednim użyciu, według wskazówek lekarza) i pobudzający system nerwowy. Dalej przewiduje on olbrzymie zastosowanie peyotlu w medycynie eksperymentalnej i zaleca go zwłaszcza psychiatrom i lekarzom, zajmującym się psychoanalizą, jako środek wywołujący szybką reakcję przy badaniu pamięci, wywoływaniu wizyj, halucynacji i t. d. To „bóstwo roślinne” otwiera przed medycyną szerokie pole działania.

Czy jednak niesłychane własności narkotyku meksykańskiego nie powiększą rzeszy jego zwolenników do rozmiarów niebezpiecznych? Wobec cudów, opowiadanych przez doktora Rouhier z takim entuzjazmem, można się spodziewać, że amatorzy silnych wrażeń zapragną gwałtownie wypróbować działanie peyotlu na sobie. Dr. Rouhier odpowiada na to jednak, że niema obawy, aby to się stało nałogiem dla Europejczyka. A zresztą, dodaje — całkiem logicznie — wobec wielkiego znaczenia leczniczego peyotlu, co nas może obchodzić garstka zdegenerowanych i społecznie mało zajmujących osobników, jeśli nawet przyzwyczają się zbyt do narkotyzowania? Wiadomo, że istnieją kokaïniści, morfiniści, opjumiści — przybędzie więc tylko drobny odsetek peyotlistów, mniej szkodliwych i dla nich i dla społeczeństwa. Przytem — aptekarstwo posiada prawa i ograniczenia w sprzedaży tych artykułów bardzo surowe i to daje pewną gwarancję niedopuszczenia do nadużyć.

Tak czy inaczej kult peyotla trwa już kilka wieków wśród nawpół dzikich ludów Ameryki Centralnej. Plemiona indyjskie



*Indjanie plemienia Huiszol, poszukiwacze peyotl'u*



*Rodzina Indjan z plemienia Huiszol w Sierra Nagarit*

Huichol Cora, Tepehuana i Tarahumara, koczujące nad Pacyfikiem w okolicach Sierra Madre, uważają tę roślinę za boską i czczą ją, nawet wtedy, gdy już przyjęły chrześcijaństwo. W końcu XIX stulecia kult ten rozpowszechnił się nawet w południowych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a według statystyki urzędowej *Bureau of Indians Affairs* w Waszyngtonie z r. 1923 — jeszcze około 40 plemion indyjskich, rozproszonych w jedenastu stanach, uprawiało kult tajemniczego kaktusa meksykańskiego. Dziś jeszcze wśród plemion dzikszych, gdzieś w skalistych i prawie niedostępnych wąwozach odkryć można „Domy Boga Peyotla”. Domy te przypominają raczej schroniska górskie, albo szałas pasterskie, sklecone z desek i kryte trzcina.

Nad wejściem zwykle wisi tarcza, na której wyobrażony jest symbolicznie bóg Peyotl. Wewnątrz znajduje się mnóstwo przedmiotów kultu i obrzędów rytualnych, fetyszów, pamiątek i symbolów. Tam też odbywa się parę razy do roku Wielkie Święto bożka Peyotla, gromadzące wszystkich

jego wyznawców, polegające na ceremoniach według tradycyjnych przepisów, celebrowanych przez najstarszych i najbardziej poświęconych wyznawców, odpowiednio ubranych i wytatuowanych. Potem następują tańce rytualne, wreszcie tradycyjne pijaństwo piwem krajowym *tesquino* i wódką *sotol*, których moc nie każdy Europejczykby wytrzymał, oraz obżarstwo gromadzone przez czas dłuższy w tym celu smakołykami ludności miejscowej. Zbiorowe narkotyzowanie się peyotlem kończy te panta-grueliczne uroczystości.

Czy „boska roślina” przyniesie kiedy zbawienie ludzkości, jak tego oczekują ciemne i naiwne plemiona meksykańskie?

Dr. Rouhier zapewnia nas o oszałamiających następstwach, jakie będzie miało wprowadzenie peyotlu do medycyny. W każdym razie jest to roślina równie tajemnicza, jak ciekawa, zwłaszcza dla nas, żyjących w epoce silnych wrażeń. Oby wrażenia te dały istotnie tak pożyteczne wyniki, jak się tego po nich spodziewają uczeni!

J. B—r.



# Dwaj panowie jadą za ocean

Napisał

Ryszard Ordyński

## I. JEDZIEMY!

Tak się dziwnie złożyło, że Hipolit Wsęcki, zamożny aferzysta, i Jan Nęcki, niezamożny i nie - aferzysta, w jednej i tej samej sprawie wybrali się do Nowego Yorku. Tak się przytem złożyło, że Wsęcki, któremu nie obce były ani Paryż, ani Riwieri; który nawet kiedyś siedział w łoży „obok” łoży królewskiej w Epsom na Derby i miał zaszczyt przypatrywać się regatom nad Tamizą w towarzystwie lorda S...a, — nigdy jeszcze nie odbył dłuższej podróży morskiej. Był bardzo rad, że jego obecny towarzysz podróży znał dobrze Stany Zjednoczone, posiadał język angielski lepiej od niego i kilkanaście razy w życiu przejechał ocean.

Wsęcki objął kierownictwo podróży i jej stronę światowo-towarzyską, a Nęcki — miał mniej lub więcej wykonywać „czarną robotę”. Cichy ten pakt obie strony przyjęły z widocznym zadowoleniem.

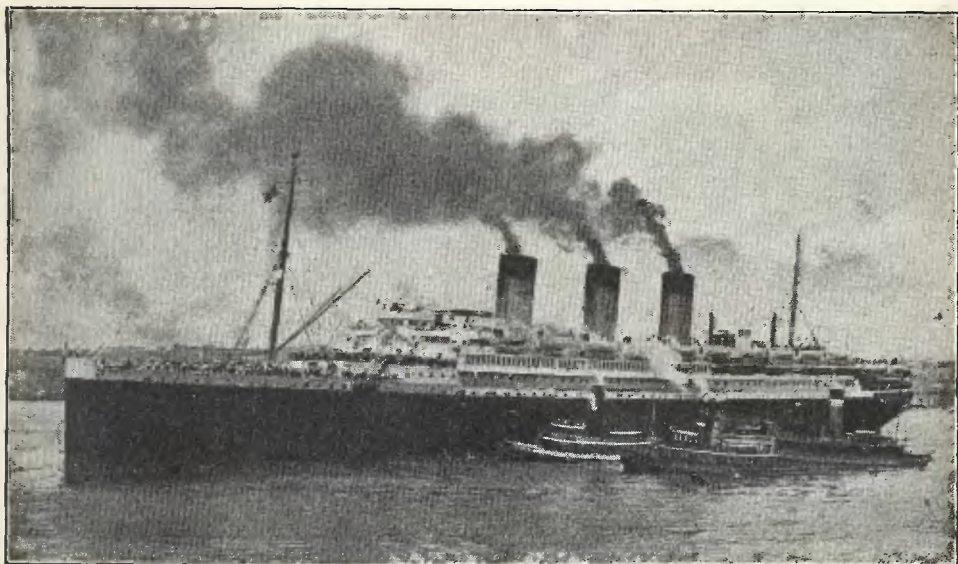
W Paryżu otrzymano ostatnie instrukcje od grupy kupieckiej, wysyłającej swoich delegowanych i bilety okrętowe. Wsęcki zasięgnął już poprzednio informacji i dowiedział się, że na to, aby być dobrze przyjętym na tamtej stronie oceanu, wypada przejechać na jednym z olbrzymów transatlantyckich. Wybór był wcale wielki, gdyż o tej samej porze mniej więcej wszystkie najbardziej znane linje okrętowe wypuszczały swoje „asy” z portów francuskich. Szykowny pan Wsęcki mógł więc wybrać pomiędzy Majestic’iem z White Star lub Aquitanią z Cunard Line, Lewiatanem amerykańskim, zresztą jak i Majestic niemieckiego pochodzenia i „Paris”, największym parowcem francuskiej linii Compagnie Generale Transatlantique. Imponowała mu wprawdzie nazwa Majestic’u i rozmiary Lewiatana, ale ktoś mu w ostatniej chwili



szepnął, że najpiękniejsze kobiety spotyka się na statkach francuskich i to zdecydowało o ostatecznym wyborze „Paris”. Bardzo poważnym atutem był również fakt, że statki francuskie wyruszają wprost z portu swego a jazda z Paryża do Hawru trwa tylko trzy godziny.

Z pełnym werwy okrzykiem: jedziemy! — przywitał Nęckiego w hotelu i w najbliższą środę — gdyż statki mają swoje stałe dni wyjazdu — pan Wsęcki i miliony jego kufrów, wraz z panem Nęckim, o dwu skromnych walizach, wyruszyli w drogę. Cała atmosfera wyjazdu od chwili nalepiania etykiet na kufrach z oznaczeniem kabiny i miejsca przeznaczenia, zaopatrzenie się w banku w zielone banknoty amerykańskie, zamówienie sobie z góry stolika w restauracji, aż do samego wyjazdu z dworca kolejowego, wydała się panu Wsęckiemu czemś szczególnym i podniecającym.

Gwar na dworcu przy odjeździe specjalnego pociągu, zmieszane głosy odprowadzających i odjeżdżających we wszystkich możliwych językach — pan Wsęcki sam miał szóstkę znajomych pań i panów, serdecznie go żegnającą — wreszcie nawoływania tragarzy, konduktorów, świsty lokomotywy, to wszystko wydało mu się jak z bajki. Pewny siebie i z miną „globtrottera” sta-



Olbrzymi pasażerski „Paris” 34.000 tonn

rał się nie dać poznać po sobie tego wzruszenia, pamiętając o tem, że najświętszą zasadą ludzi światowych jest niczemu się nie dziwić i niczem się zbytnio nie cieszyć.

Nęcki siedział schowany w kącie przedziału i czytał dziennik. Kiedy pociąg ruszył, pan Wszęcki w rozanieleniu swoim, usiadłszy nareszcie spokojnie, poklepał go po kolanach i z nieoczekiwaną poufałością krzyknął:

— Jedziemy, panie Janie!

Nęcki mruknął coś pod nosem niezrozumiale i nie bardzo zapraszająco. Formalności paszportowe i celne w Hawrze odbyły się dosyć bezboleśnie, jakkolwiek wcale dokładnie. Pan Hipolit Wszęcki wysłał jeszcze z portu kilkanaście telegramów na wszystkie strony świata, zwiastujące na różne tony ważny fakt „opuszczenia tych wybrzeży” lub „oddawania się w opiekę bogom morskim” lub czulsze, jak do żony „płynę, duszko” lub najczulsze, nie do żony „nawet głęboki ocean nie zmyje moich uczuć, najdroższa” — i dopiero energicznie wezwany świstaniem i nawoływaniem służby portowej, zadyszany pobiegł po wąskim pomoście, który natychmiast po nim spuszczone i — znalazł się na prawdziwym statku zamorskim najpierwszej klasy.

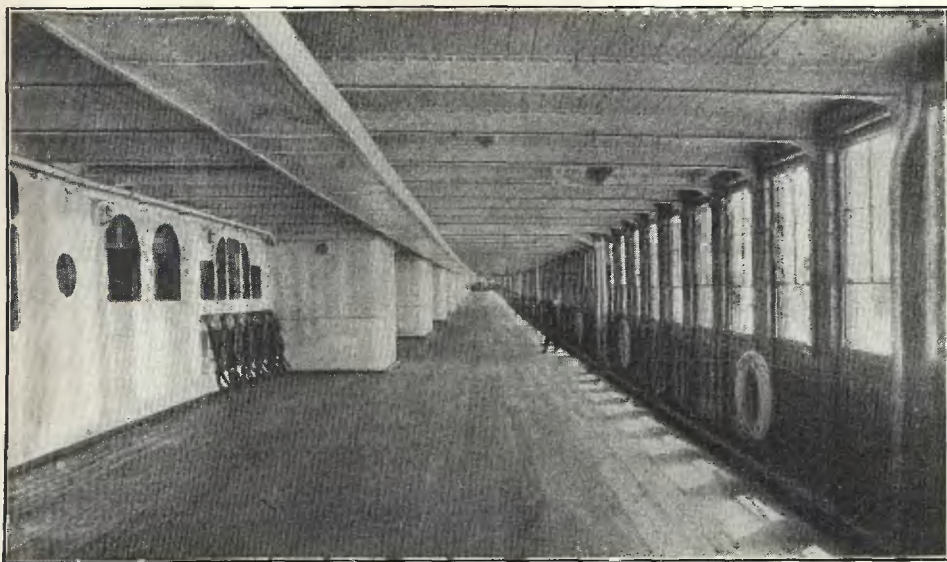
TRÈS CHIC.

Jest coś mistycznego w tej wspaniałej ciszy, wśród której ogromny budynek wypełniony rzeczami i ludźmi nocą pruje fale morskie i przecina ocean na przestrzeni tysięcy mil morskich — bez trwogi i bez przystanku. Nawet, gdy przyszłość i to może niedaleka ułatwi ludziom żeglugę powietrzną i udoskonali jej łodzie, nic nie odbierze tej tajemniczej potęgi, którą za każdym razem odczuwa jednostka zostawiona swoim myślom i zawieszona jakoby między niebem i wodą, między jednym kontynentem a drugim.

Hipolit Wszęcki nie widział ani tej potęgi, ani nie wyczuwał tajemnicy — dla niego istniał tylko podziw dla tych niesłychanych wygod i ślepe ubóstwianie zbytku, które roztaczało się przed nim na to, aby o nich mógł opowiadać za powrotem wszystkim biedakom, którym nie danem będzie może nigdy tych rozkoszy zakosztować.

Od rana do wieczora kąpał się w komforcie, który kompanje okrętowe wraz z biletem jazdy ofiarują pasażerowi, pragnąc mu dogodzić i zadowolnić jego poczucie tymczasowego szczęścia i zarazem odwrócić jego uwagę od pewnych drobnych nieprzy-





*Promenada I klasy na statku Paris*

jemności połączonych z czysto morskiem chorowaniem. Codziennie świeżo przebrany, starający się dorównać typowym okrętowym szykowcom, Wszęcki zmieniał ubrania stosownie do pory dnia, do temperatury i do towarzystwa, w którym przebywał. Nęcki musiał przy obiedzie i kolacji wysłuchiwać hymnów na cześć okrętu i całego aparatu, który jakby umyślnie istniał dla uszczęśliwienia Wszęckiego.

— Moja kabina, panie i ten służący, którego tu z angielska nazywają „stewardem”, poprostu rozkosz! Śniadanko podano mi do łóżka — czy pan czytał menu pierwszego śniadania, co panu dają i ile i jak dobrze i bez żadnej dopłaty?! Po śniadaniu wyszedłem na pokład i tam znowu na mnie czekali nowi dobroczyńcy i mam panie własny fotel - leżak i — panie, ten spryt tego pokładowego stewarda: dwie piękne kobiety po obu stronach. Co, panie?

Potem następowały pełne zachwyty opowiadania o masażu i o gimnastyce, o fryzjerze i o manikurzystce, która była przejęta jego świetną francuszczyzną i która mu już wszystko opowiedziała a jeszcze więcej opowie, gdy przyjdzie do niej drugim razem. Z jedzeniem jeszcze nie był zupełnie pewien siebie, bo około południa wiatr się

zerwał lekki i — trochę się „huštało“! Ale jutro sobie to wszystko odbije, gdy tylko nabierze więcej odwagi.

Codziennie wychodzące na statku pismo zawiadamiało o wszelkiego rodzaju zabawach i sposobach wesołego spędzania czasu na statku i Wszęcki miał cały dzień co do godziny wyliczony i zajęty. Wobec dobrej pogody ranny swój sweater około jedenastej zamieniał na lekką marynarkę i tenisowe spodnie i na najwyższym, słonecznym pokładzie — „sun-deck'u” grywał w tenisa pokładowego lub inne gry okrętowe. Zaraz po obiedzie, przy którym spożywał stale potężne porcje kawioru lub homara i popijał wino, na statkach francuskich również darmo dodawane do obiadu i kolacji, wychodził na czarną kawę z paniami, poczem panie zwykle znikwały w swoich kabinach a Wszęcki zasiadał do partji bridge'a. O piątej całe towarzystwo spotykało się na przedstawieniu kinematograficznem w salonie a następnie zasiadano w kawiarni do aperitiwu francuskiego lub cocktaila amerykańskiego. Krótka przechadzka po pokładzie, powrót do kabiny w celu przebrania się w smoking, wieczorem kolacja, poczem dancing, i wesołe, głośnie zakończenie dnia na wspólnej pogawędce.

Czwartego dnia podróży Wszęcki porobił nowe odkrycia: mały magazyn Louvre'u na statku posiadał wiele drobnostek, któremi od czasu do czasu można było sprawić przyjemność znajomym paniom i przy tej sposobności wydać trochę zbędnych franków, o ile nie poszły one na świeże kwiaty lub dodatkowego szampana, gdyż tych rozkoszy mimo wielkoduszności żadna z linii okrętowych nie dodaje bezpłatnie do biletu. Przy drugiej wizycie u manikurzystki dowiedział się jeszcze dalszych nowin, kto z kim flirtuje, kto z kim chce flirtować a wreszcie jak i z kim on sam powinien flirtować.

Łatwo się w ten sposób pan Wszęcki dowiedział, o ile weselsze i barwniejsze jest życie pasażera na „Paris” naprzykład od tych przepraw morskich, które znał tylko z książek szkolnych i historycznych. Do żadnej z owych opowieści nie byłby mógł zastosować wyrazu „chic” — a tutaj, pełen rozkosznego zadowolenia, na prawo i lewo z entuzjazmem wywoływał: très, très chic!

Nie ulega kwestji, że te wszystkie, doskonałe zresztą i na psychologii pasażera oparte wymysły nowoczesnych wygod w podróży morskiej, są zdobyczą, wobec której trudno nie uchylić głowy. Mózg ludzki w zadowoleniu człowieka cywilizowanego dokazał nadzwyczajnego dzieła a nigdzie tak bardzo nie imponuje ono jak właśnie w tem opuszczeniu na wielkich stepach morskich zdaleka od wszelkiej ludzkiej osady. W tym gmachu płynącym, wśród kilku tysięcy ludzi, rodzą się jednak jeszcze inne myśli i inne potrzeby człowieka skrzyżowane z rozlicznymi interesami, pędzącymi go za ocean.

## II. INNY ŚWIAT.

Mistyczny świat pragnień, tęsknot i nadziei kryje się w duszach tej małej gminy, przepływającej ku „krajnie złota i wolności”. Tym samym dawnym szlakiem od czterech wieków zgłodził, czy złota czy sławy, spragnieni nowych przygód, szukający świeżych barw dla swego życia lub nasyć i znudzeni, wszyscy jakiś ból albo jakieś głębokie życzenie w sobie nosząc — płyną na Zachód, wpatrzni w te nowe horyzonty, od których tak wiele wymagają.

Tej mistyki Wszęccy nie widzą. Siedzą

może owe pragnienia i oczekiwania również i w golfowych kostjumach i wydekoltowanych sukniach pierwszej klasy, ale zakłamanie i zakryte snobizmem i sztuczną obojętnością, a w każdym razie pozbawione poezji.

Nęcki, za każdym razem przejeżdżając ocean, schodził do drugiej i trzeciej klasy. Tam trochę silniej i bardziej prawdziwie biją serca ludzkie, zdobywając się nieraz na dobitniejszą formę wyrazu. Nowoczesne linie okrętowe okazują wielką dbałość pod względem czystości, higieny i pewnego bardzo sympatycznego komfortu dla tych, których przewożą za niższą opłatą: na wielkich statkach niema już zgoła tej atmosfery typowo emigracyjnej, o której słyszy się jeszcze w niedawnych opowiadaniach choćby z przed trzydziestu lat. Kabiny drugiej klasy nie ustępują pod względem czystości klasie pierwszej, na pokładzie odkrytym są leżaki do dyspozycji pasażerów, a kuchnia może mniej wyszukana, ale równie smaczna i obfita.

Nęcki spotkał się tutaj ze znanym poetą kalifornijskim S., który wracał po półrocznej podróży po Włoszech. Znali się zdawna z San Francisco, gdzie S. stale mieszkał, i przywitani się ze sobą serdecznie.

— Nie stać mnie na pierwszą klasę — bez najmniejszego zresztą żalu mówił S. — bo w kraju największego bogactwa poeci przymierają z głodu.

Nęcki wiedział, że S. jest bardzo ceniony jako poeta i że poezje jego zawsze znajdowały nakładców.

— Teraz już nikt nie kupuje u nas poezyj, czasem trafi się jeszcze jakiś mecenas lub dobrodziej wydawca, który mi da zaliczkę na podróż, pewny, że mu jej nigdy nie będę mógł zwrócić. Mamy palmy, kaktusy, wspaniałe fabryki i banki zapchane pieniędźmi — ale słońce nasze wydaje się nieraz bardzo zimne, bo ludzie zajęci „robieniem pieniędzy” ochładzają ziemię swoją obojętnością. Jeszcze nam się dzieje za dobrze, jeszcze za mało walk ludzie przechodzą, jeszcze za tani ten chleb dla wielu i masło na nim zbyt łatwe — ale za lat kilkanaście, może i kilkadziesiąt, gdy Ameryka się skończy budować i zacznie żyć życiem normalnem, bez gorączki złota, wówczas ha!

Po chwili dodał już z pewną goryczą.



— Wówczas zdobędziemy się na lepsze zrozumienie siebie samych i naszych trosk. Ale — ze smutnym zakończył uśmiechem — wtedy już mnie nie będzie.

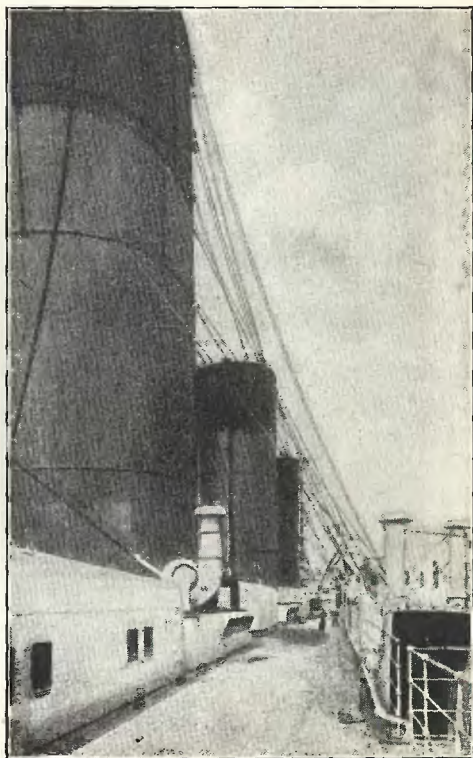
Dziwny świat, pomyślał Nęcki i zeszedł o piętro niżej do trzeciej klasy. I tu było schludnie, chociaż znacznie prościej. Około trzystu pasażerów najrozmaitszych narodowości, przeważnie Francuzów, Włochów, Greków i Czechów znajdowało się na statku. Oparta o słup, na kawałku otwartego pokładu, stała młoda, przystojna kobieta. Duże jej siwe oczy wpatrzone były gdzieś przed siebie a kasztanowate, lśniąco włosy rozwiane biegnęły jakby przed jej myślami. Z falą morską ku czemuś a może ku komuś... Ubrana była z prosta, ale czysto; wyraz twarzy inteligentny zainteresował Nęckiego. Po chwili obserwowania jej nie miał już wątpliwości, że to Polka; przemówił do niej i zapytał o cel podróży. Okazało się, że jechała do młodego męża, Polaka, mieszkającego w Ameryce, który przyjechał tego roku do kraju na odwiedzin do swoich, gdzie się poznał z Jadwigą Strugałówną, i z miejsca się w niej zakochał.

— No tośmy się pobrali, ino nie mogłam z nim jechać, bo nam potrzeba było papierów na przyjazd do Ameryki.

Opowiadała mu, jak jej było smutno wyjeżdżać, jak ją cała wieś wyszła żegnać na stację; cieszyła się, że zobaczy męża, że zobaczy nowy kraj, ale na dnie serca nie rozstała się jeszcze ze swoimi ani przestała o nich ciągle myśleć. Nęcki dodawał jej otuchy, obiecując, że przy mężu ją tęsknota opuści. Potem jej opowiadał o Pittsburgu, dokąd się kierowała od razu z New Yorku, gdzie mąż jej był starszym robotnikiem w hutach żelaznych.

— Co tam ciek wie, gdzie mu dobrze i jakie jego przeznaczenie. My ta głupie ludzie tylko se coś umyślimy i już nam się widzi, że nam tak je dobrze, a Pan Bóg za nas i lepiej patrzy i lepiej rozumie. To niech ta on już nami kieruje. Inne ludzie chcą co innego w życiu a inne znowu całkiem co innego.

Kiedy Nęcki powrócił do pierwszej klasy i zobaczył Wszęckiego wystrojonego i zamawiającego panie do tańca po kolacji, słowa Jagi Strugałówny, która właściwie już była panią Świstakową, zabrzmiały mu w



*Górny pokład na statku Paris*

myślach. Inne ludzie chcą co innego w życiu a inne...

Nazajutrz Wszęcki nie pokazał się na pokładzie ani w salonie jadalnym do obiadu. Zaniepokojony Nęcki zaszedł do jego kabiny. Nasz elegancki leżał w łóżku i miał minę, z którą wobec wystrojonych pań z ubiegłej nocy nie bardzo byłoby mu do twarzy.

— Panie, to straszne — ta burza w nocy — i ten okręt! Nie, mimo wszystko na łodzi człowiek czuje się znacznie pewniej. Statek przemiły, to prawda...

— Très chic — wtrącił nieśmiało Nęcki.

— Co panu z tego całego sztyku, gdy pan znacznie chorować. I ten ból głowy, panie — do tej pory wogóle nie wiedziałem, że mam — o, o...

Reszty pyszny pan Wszęcki dokończył w sposób nie zupełnie sztykownie dający się opisać.

Bywa i tak — morze czasem pokazuje swoje pazury.

Gdy zatonał Titanic w swojej dziewiczej podróży, ludzie mówili, że była to kara boska za zbyt wyszukane „fanaberje“, z któremi dla dogodzenia kilkunastu bogaczom puszczal się na morze.

Ludzie teraz zapomnieli o wojnie i jej grozach już w lat kilka, kto dzisiaj chce pamiętać o katastrofach na statku?

Ale na szczęście załoga okrętowa istnieje i gdy panowie Wszęccy zajądają homary i wycinają fox-troty, pod nimi i nad nimi czuwa kilkadziesiąt par oczu i mózgów, setki aparatów i myśli nieustannie skierowanej w jeden punkt: bezpieczeństwo statku i jego pasażerów. Jedź, panie Wszęcki, bez troski!

#### IV. AMERYKA.

Gdy „Paris“ zbliżała się do zatoki Hudsonskiej, Wszęcki kończył pożegnanie i wymianę kart wizytowych ze swoimi znajomościami okrętowymi. Nęcki stał na pokładzie i po raz piętnasty czy dwudziesty był cały pochłonięty tem wspaniałem widowiskiem, jakim jest wjazd do New Yorku. W słonecznej mgłę poranka drgają i błyszczą ostre cyple wybrzeża, jeszcze bezkształtne i tajemnicze. Tu i owdzie pokazują się mniejsze i większe statki, potem dochodzą do uszu ludzkich odgłosy jakiegoś pod mglistą zasłoną drzemiącego życia, szmer nieartykułowany, zwiastujący mrowisko. Gdy się statek zbliża do Pomnika Wolności, już oko ludzkie ogarnia cały pas wybrzeża na północ i na południe od samej zatoki.

Powoli zaczyna z ponad wód wyrastać miasto. Wylaniają się zgola mistycznie skaliste bloki wyniosłych, rombówo przyciętych budowli, jak szerokie ramiona olbrzymia zwolna i niemal groźnie ku górze się podnoszącego. Magnetyczna siła woli, zimna świadomość celu i piekielna potęga pieniądza wybudowały sobie zaraz tu na wstępie świątynie, przed którymi przybysz nie może się nie pokłonić.

Wielki transatlantyczny hotel wjeżdża niemal w serce miasta, wyrzuca na bruk najruchliwszej metropolii swoich przejściowych mieszkańców i czeka na nowy transport do powrotu.

Za pierwszą klasą z większą ostrożnością wypuszczają drugą i trzecią. Poeta-roman-

tyk nazajutrz wyjedzie na daleki zachód, Jaga Strugałówna tego samego dnia wsiądzie na dworcu Pennsylvania do pociągu, zabierającego ją do zadymionego, bogatego Pittsburga, a Wszęcki i Nęcki zostają w New Yorku. Wszęcki spotyka tylko jeden typ Amerykanina może w kilku odmianach: zobaczy jego prostotę, czasem graniczącą z brutalnością, polubi jego gościnność szczerą i naturalną i jego nonszalancję, odbijającą jaskrawo od przesadności pewnych manier europejskich. Zadziwi go ogrom budynków, napiętrzenie ruchu ulicznego i niewidziana nigdzie na świecie szerokość w traktowaniu produkcji i interesów, obliczonych na miliony konsumentów, gdy w Europie dziesiątki tysięcy odbiorców wydają się już poważną cyfrą handlową. W admiracji dla zbyt ku będzie głupiał wobec najzwyklejszego komfortu w hotelach, restauracjach i klubach — plackiem padnie przed ilością prywatnych samochodów.

Nęcki wie o tej niezaprzeczanej potędze wygody i zdaje sobie sprawę z majestatu tego bogactwa na tak wielką skalę, które samo przez się staje się w tysiącnych wypadkach dobrodziejstwem całego narodu i tych nawet, którzy osobiście najmniejszy w niem biorą udział. Ale zarazem świadom jest tej gorączkowej i bardzo powierzchownej cywilizacji, która go otacza i która krzykiem ulicznym i pychą swojego blichtru pragnie zasłonić fakt, że istnieją poza drapaczami nieba, poza wspaniałami bankami i hotelami inne jeszcze zadania cywilizacyjne. Schodzi do kolei podziemnej i podziwia ten rój ludzki w zbitych masach śpieszący do pracy, pamięta jednak, że w nędznej Europie widzi nieraz weselsze oblicza bezdolarowych biedaków, wchodzi do zapełnionych restauracji i smuci się, patrząc na ten paniczny pośpiech jedzących, pochłoniętych gorączką pracy. A jednak składa pokłon przed faktem groźnym, ale prawdziwym, że życie w tak wielkich centrach, wśród tak nagromadzonych interesów ludzkich musiało się stać piekłem i że ten okres przejściowy, piekielny, zabije wielu, ale stworzy nowe pokolenia może mniej wrażliwe — bo kto przejdzie obronnie nerwami przez tę Gólgotę, tego siły nerwowe stała się pokryją — może mniej romantyczne, ale zdrowe i o zdrowie fizyczne i moralne





*Klatka schodowa „Olimpic'u”*

dbać zdolne. Napróżno zwolennicy dawnego kwietyzmu wyciągają ręce, błagając o spokój i ciszę, nadarmo esteci walczą o zachowanie ostatnich finezyj życia i sztuki, gdyż nad tem wszystkim wisi ostry miecz Damoklesa, do skarbcza dziejowego odrzucający resztki wypoetyzowanej „słabości” ludzkiej.

A potem Nęcki się zastanowi nad tym magnetycznym wpływem Ameryki i jej światopoglądu — i filozoficznie się uśmiechnie. Zamerykanizowanie świata przyjść musiało i całą powłoka ludzka codziennie mu ulega. Ale pod powierzchnią tego nieuniknionego procesu i ponad nią dokonywa się inny wewnętrzny rozwój ludzkości, który nie dla wszystkich jest dostępny a dla niewielu wogóle dostrzegalny. Wypełniwszy kulę ziemską swoją głośną ruchliwością i przetkawszymi przez gęstą materję życia cały arsenał swego wynalazczego dowcipu i twórczej koncepcji, człowiek powróci do kardynalnych zapytań wobec siebie samego i zaapragnie zrozumieć swój stosunek do siły wyższej, która bez jego udziału gdzieś na

nowe wyżyny go zapędziła, dzisiaj jeszcze nieznaną i nie dającą się odgadnąć.

Na szczęście Nęcki znał Amerykę i orjentował się w placówkach, gdzie dokonywało się porozumienie między duchem a materją. Pomyślał o tych najlepiej na świecie zorganizowanych i wszystkim dostępnych bibliotekach publicznych, z których największa stoi na osobnym placu w najbardziej środkowym punkcie New Yorku — i gdy zajął do niej, wszystkie piętra i wszystkie sale wypełnione były pracującymi. Wielkie i corocznie przez magnatów kapitalizmu wzbogacane muzea, wspaniałe pracownie naukowe i medyczne, doświadczalnie, wreszcie cały długi szereg pierwszorzędnych naukowych i literackich tygodników i miesięczników, które mogą tam istnieć dzięki swoim czytelnikom — to wszystko zadatki bardziej kulturalnej przyszłości.

#### V. „SMART” I — POWRÓT.

Tymczasem Wszęcki z wyciągniętym ozo-rem biegł z jednego śniadania na drugie,

rozkoszował się herbatkami i obiadami, z nóg spadał ze zmęczenia, przekonany, że poznał do gruntu Amerykę. W każdym razie, gdy po upływie 10 tygodni należało wracać, wiedział, że tym razem pojedzie na statku angielskim, który wyjeżdża po północy i umiał już najważniejszy wyraz „chic” zamienić na domorosły równoznacznik: „smart”.

„Smart” więc było jechać na „Olympic’u”. Wsęcki był jeszcze na przedstawieniu w Operze ostatniego wieczora i wyfraczony w towarzystwie kilku pań i panów wprost z opery przyjechał na statek. Dumny ze swojego Ritz’a na statku, gdyż Olympic i Majestic posiadają swoje luksusowe restauracje dla wykwintnych pasażerów, gościł swoich nowojorskich przyjaciół doskonałym „supper” niestety bez szampana, gdyż okręty, nawet zagraniczne w samym porcie nowojorskim podlegają ostrym regułom prohibicji. Na pocieszenie „prohibicenci” posiadali przy sobie srebrne kieszonkowe butelczki z whisky i w wesołej kompanji i dobrym nastroju Wsęcki pożegnał się z krajem Yankesów. Interesa poszły może nienajlepiej, ale bawił się doskonale i był dumny z poznania tego kraju.

— Bardzo ciekawy kraj — zaczął następnego ranka prawieć Neckiemu — ale nie wiem, czy pan się dobrze bawił i czy pan miał sposobność poznać psychologję tego narodu. Co do mnie rozumiem teraz Amerykę doskonale i znam nawskroś Amerykanów.

— Czy być może? — skromnie zapytał Nęcki — w tak krótkim czasie?

— Nic prostszego, dwa miesiące wystarczyły mi w zupełności.

— Aha! — z wściekłością mruknął Nęcki i powędrował w swoją stronę. Przypomniawszy sobie, że często Niemcy i Francuzi po kilkutygodniowym pobycie w New Yorku zdobywali się na obszerne monografie o Ameryce i Amerykanach, zapominając choćby o tak ważnym fakcie, że New York bynajmniej nie jest wykładnikiem życia amerykańskiego a z mieszkańców jego zaledwie może jedna trzecia jest tutejszego urodzenia. Rodzin dawnego, czysto amerykańskiego pochodzenia, mieszkających w New Yorku, jest zaledwie kilka tysięcy.

Nęckiego myśli szły w inną stronę i nie mogły się w żaden sposób spotkać z nie-

skomplikowanym pakiecikiem w mózgu Wsęckiego narosłym.

Ostatnie wieczorne pisma nowojorskie przyniosły wiadomość o tragicznej śmierci słynnego poety kalifornijskiego, S. Znalezione go nieżywego w pokoju zajmowanym przez niego w „Bohemian” klubie w San Francisco, którego był wybitnym członkiem: otrul się sam, nie zostawiając żadnego wyraźnego śladu przyczyn samobójstwa. Nęcki przypomniał sobie tę ostatnią swoją rozmowę z S. na statku „Paris” i mimowoli skierował się znowu w kierunku drugiej i trzeciej klasy.

— Może wśród bogaczy umarł z nędzy — myśl o pocie kalifornijskim nie dawała mu spokoju.

Olympic jest jednym z największych morskich kolosów i posiada wszelkie luksusowe urządzenia, o których tylko można zamarzyć. W obszernej drugiej klasie spotkał się Nęcki z dwiema bardzo przystojnymi Amerykankami, jedną rzeźbiarką a drugą pisarką, powracającymi do „swojego” Paryża, gdzie od lat kilku mieszkają. Obie pochodziły z bardzo dobrych, ale niebardzo zamężnych rodzin amerykańskich i bez najmniejszej zazdrości spoglądały na wypasionych szczęśliwców z pierwszej klasy. Dzięki uprzejmości kapitana otrzymały pozwolenie na korzystanie z „pool’u”, tej jedynej godnej zazdrości instytucji pierwszej klasy: jest to wspaniały basen z doskonałymi urządzeniami do pływania, gimnastyki i sportów morskich.

Nęcki zeszedł do trzeciej klasy, zapełnionej zaledwie do połowy. Nagle zobaczył jakąś głowę znajomą i włosy rozwiane na wietrze, które już kiedyś widział.

Jaga Świstakowa z domu Strugałówna wracała do kraju. Podszedł do niej i przywitał się ze swoją „znajomą”.

— A to jest mój mąż — pokazała doskonałego przystojnego dragala, który trochę podejrzliwym wzrokiem z początku zmierzył Nęckiego — co go zabieram do nas, do kraju.

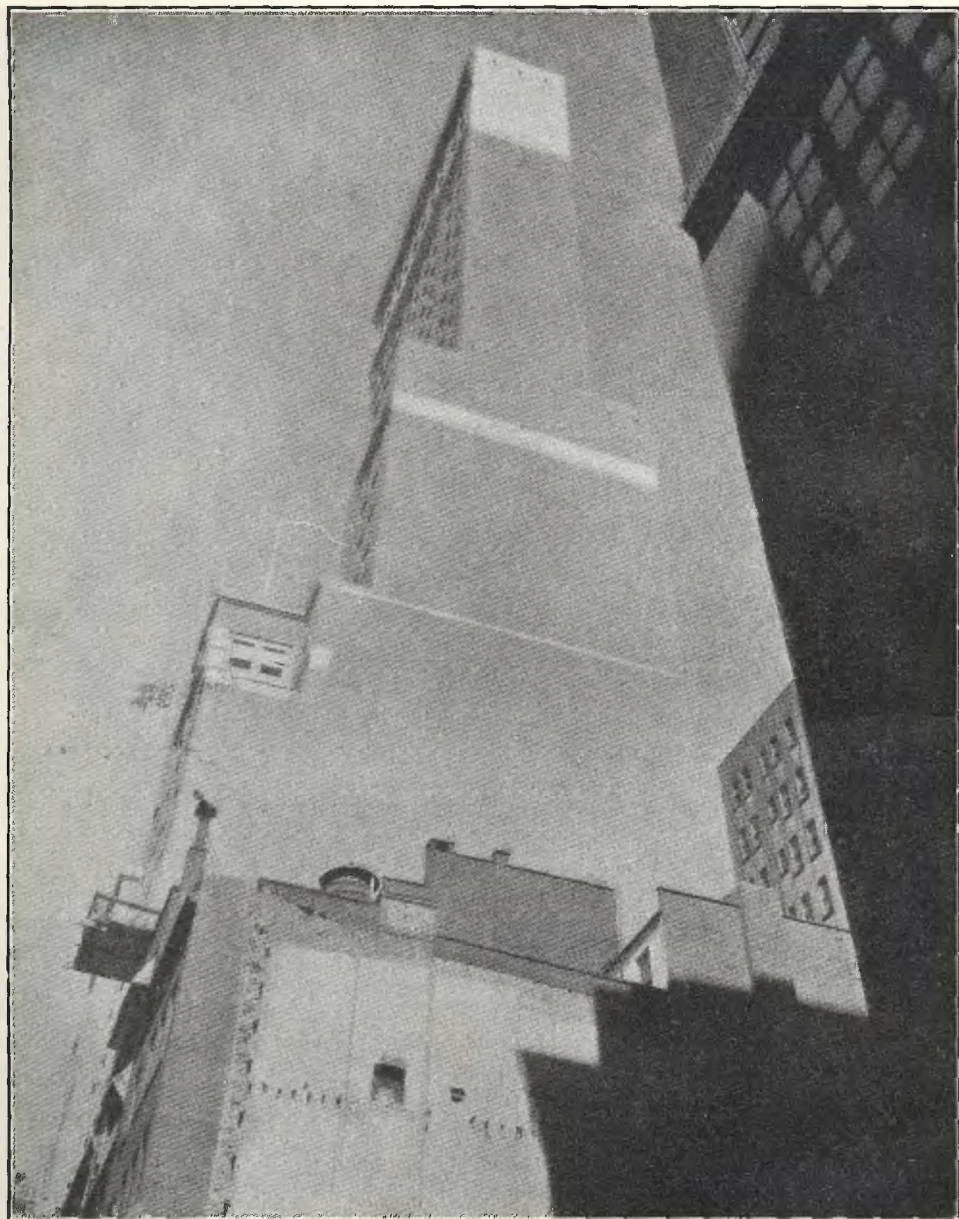
Nęcki wyraził swoje zdziwienie z tak szybkiego powrotu i obawę, że może sprawy nie dobrze się udały. Tymczasem dobry humor obojga państwa Świstaków dowodził przeciwnie, że oboje zakochani w sobie małżonkowie z radością powracają do Polski.





*Hala wspaniałej Grand Central Station w New-Yorku*





*Nowy drapacz nieba w piątej Alei*

— Ckniło mi się strasznie za swoimi, no i płakałam nieraz, choć kocham Pietrka i dobrze nam jest razem ze sobą. Ale potem, panie, jakem mu naczęła opowiadać jak to u nas w Łączku jest sto razy ładniej, jak to u nas i weselej ludziom i ptaszkom,

co świergocą cały boży dzień i jak to lepiej pracować na własnem i, że dolary to i tak nie całe ludzkie szczęście — to, panie, Pietrka samego jęła taka chęćka do naszych stron, że zabieramy dolary, kupimy se grunt od mojego wujka, co i tak chciał na



wiosnę sprzedać połowę swojego i latem wybudujemy sobie chałupę.

Potem dodała:

— Taką trochę amerykańską, bo mi się bardzo widzą niektóre ich wymysły.

Nęcki był zachwycony i ucieszony pożegnał się ze Świstakami. Kiedy już się oddalił, podbiegł do niego Świstak, zapraszając go na kolację do nich tego wieczora, obiecując prawdziwą polską kiełbasę, którą mu polscy towarzysze z Pittsburga ofiarowali na odjeździe i — prawdziwą gorzałkę.

— Widzi pan — dodał ze szczególną dumą w głosie, zlekka zamerykanizowanym akcentem polskim — ja też sobie pomyślałem, że ten mały Świstak lub Świstakówna, to niech się lepiej już urodzą na Polskiej ziemi.

— Brawo, panie Świstak — zawołał Nęcki, przyjmując zaproszenie, i napijemy się za to nowe zdrowie!

W sześć dni z małą tylko, pół dnia trwającą burzą, w czasie której Wszęcki tak się rozchorował, że przeklinał i Amerykę i wszystkie te okrętowe „chic” i „smart”, zgorzkniały, że będzie musiał nędznie skończyć na oceanie, wspinały kolos „olimpijski” zatrzymał się w Cherbourg, zbyt wielki, aby wjechać do portu, wyrzucił swoich pasażerów na tender i wyprowadził do Paryża, skąd na różne strony rozjechały się ludzkie wrażenia o wielkościach świata, ludzkie nadzieje i — zawody.

Paryż, w grudniu 1926.



*Wuj Sam widzi tylko: dolary*

# Portrety pięciu Elżbiet

Kajetana Węgierskiego

Napisał

Antoni Urbański

Wierszem hartownym, często otwartym, cięty Tomasz Kajetan Węgierski opiewał współczesne mu pokolenie. Miał wstęp do dworu króla Stasia, bywał na galach i asambalach, bywał na biesiadach i wypowiadał oracje floresowane, bywał na owych sławnych obiadach czwartkowych i tam szydził z drzemiących gości.

Szydził, lecz serce miał otwarte, i nie zdjął nigdy czapki przed senatorem, dlatego, że jest senatorem, nie wybijał nigdy pokłonów paniom dworskim.

Może tam czasem przeholował. Może niepotrzebnie na balach królewskich mówił, że „wszystkim mężom żony bokiem wylażą”, lecz „satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka, wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka”.

Satyre więc napisał imć pan staroście Węgierski do pięciu Elżbiet — Branickiej, Czartoryskiej, Lubomirskiej, Potockiej, Sapieżyńskiej, im ją dedykował, w dzień imienin podarował, przyjaznym sługą się podpisał i jeszcze zaznaczył, że bezstronnym pendzlem je malował.

Bo też to królowały podówczas w Warszawie owe piękne Elżbiety. Na ich cześć urządzano festyny, szlichtady, iluminacje, na ich cześć tłuczono puhary i własne głowy, na ich cześć układano napuszone madyrały, na ich cześć urządzano nawet w ustroniu wiejskiem walkę byków z niedźwiedziami.

Imć Tomasz Kajetan Węgierski, młodzieniec o dowcipie kaśliwym, a wielbiciel Voltaire'a, zaczyna w swych portretach od pani krakowskiej, Elżbiety Branickiej:

„Przy wielkich oświadczeniach nie służy  
nikomu,  
Grzeczna, ale swarliwie skąpa w swoim  
domu,  
Nie miłości, mało zna przyjaźni jej dusza,  
Nikt prócz braci zimnego serca jej  
nie wzrusza,  
Lubo pozorów nie ma, ma umysł bigotki,  
Nie mówi źle o ludziach, lubi jednak plotki”.

A więc to pani Elżbieta Branicka, siostra króla Stasia jegomości. Czytamy jej portret u Węgierskiego, oglądamy jej portret u Marcela Bacciarelli'ego. Siedzi sobie piękna pani w pięknej tualecie, najwięcej z całej rodziny do króla Stasia podobna. Przyjaciółka ks. de Ligne i ks. de Nassau, gościła w swym cudnym Białymstoku cara Pawła i Ludwika XVIII.

Opisywał jej Białystok sam hr. de Segur. Dwa tam były wówczas teatry, jeden francuski, drugi włoski, a w parku białostockim przecie nie było skromnego wirydarza z szafwą, majerankiem i rzodkiewką, lecz było tam trzydziestu sokołników i trzydziestu rarożników, co na łowy królewskie z ptakiem uczonym szli, i była jeszcze taka fontanna, co pod nią podejdiesz i wnet się odmłodzisz, bo z fontanny tryska woda odmłodzenia.

I jeszcze tam były posągi marmurowe, bluszczem owite. Posągi stanowiły konterfekty francuskich encyklopedystów.

W ogrodzie marmurowi encyklopedyści, w sekretarzyku inkrustowanym pani Branickiej listy żywych encyklopedystów, bo





*Elżbieta z Poniatowskich Branicka*



*Elżbieta z Poniatowskich Branicka*

ci w przyjaźni zażyłej z panią Elżbietą, królewską siostrą, byli.

Taką była pani Elżbieta Branicka, białostocka monarchini. Chciała, by jej mąż był królem, nie udało się, wówczas sama stała się królową przy boku słabego królewskiego brata, bo nim trzęsła dowoli.

Czemu też Węgierski pisze, że nikt jej zimnego serca nie wzrusza? Możebyśmy znaleźli takiego, co wzruszył. Skoro jednak poeta nie znalazł, to i my o wojewodzie Mokronowskim zapomnijmy.

A teraz drugi portret, księżny Generałowej Podolskiej:

„Przyjemności w dowcipie swoim ma tak  
wiele,  
Ile wdzięków w powabnym i kształtnym  
jej ciele,  
Ma dziwactwa, zawziętość i razem jest  
płocha,  
Bez przyczyn nienawidzi i bez przyczyn  
kocha  
Dzieciom wielką, mężowi miłość chowa  
mierną,  
Umie być Penelopą razem i niewierną”.

Generałowa Podolska — to ks. Izabela z Flemingów Czartoryska, pani na Puławach.

O jej wdziękach i powabnym ciele Węgierski dytyramby pisze. Miała jeno cudne oczy. Ogromne, niesamowite, granatowe oczy. Te oczy okrągłe, a marzące, widziały przez lat dziewięćdziesiąt dużo, bardzo dużo.

Granatowe oczy widziały dziesięć wielbłądów, co panią tych dziwnych oczu do ślubu wiozły, widziały różne zamorskie kraje, lecz tęskniły jeno do stron rodzinnych, do niziny nad Wisłą i do Puław.

Sławi jej dowcip kochanek muz — Węgierski. Ba! Chyba miała dowcip pani na Puławach, co znała dobrze Woltera, Russa, panią Pompadour i Metternicha, co w pierwszych salonach świata krzyżowała szpadę dyskursu, co umiała pisać listy sekretne białym likworem, co na gazonach tworzyła pejzaże, godne pendzla Rembrandta.

Czy miała dziwactwa? Może, jeśli przechowywała w Puławach pantofelki pani Maintenon, but Stanisława Augusta i tabakierkę Wierzyńską; lecz z tychże Puław stworzyła ognisko i ośrodek myśli lotnej i straż pamiątek dawnych. Na krawędzi wzgórza nad Wisłą, hen ku przewozowi, wzniosła Panteon i tuż Świątynię Sybilli, a w Domu Gotyckim witała rzewnie, roku insurekcji, samego Naczelnika w białej sukmanie.

Pisała książki, wydawała książki i stworzyła w Puławach towarzystwo, miłujące wiedzę.

Zwie ją Węgierski Penelopą, zwano ją „Matką Spartanką” — to prawie matka Penelopy, zwano ją także „Sybillą” — to prawie babka Penelopy.

Taką była ta druga Węgierskiego Elżbieta.

A czy te granatowe oczy, poza generałem ziem Podolskich, jeszcze kogo oglądały? Było takie lustro z kryształu, kryształ był pudrem przysypany, na pudrze Sybilla o zmiennych oczach kreśliła paluszką rzewne słowa: Stanislaus Augustus, i taką ją kiedyś zastał Augustus. Zastał i usłyszał słowa, co brzmiały matowo, a drgały.

I teraz do trzeciej Węgierskiego Elżbiety przyjdziemy:



„Z grzeczności Czartoryska, znać i z jej  
wejrzenia,  
Ma jednak wykwintnego nadto przymilenia,  
Mówią, że miłosierna, radem wierzyć temu,  
Wyświadczyła niemało Domowi Nowemu,  
Przy znaczniejszych przymiotach ta  
słabość nie wini,  
Owszem, w oczach młodzieży  
szacowniejszą czyni”.

To będzie oczywiście ks. marszałkowa  
Elżbieta z Czartoryskich Lubomirska.

Jak pięknie wygląda na portrecie ta piękna pani z wesołej epoki, gdy pudrowane świeciły głowy i czarowne wabiły oczy i gdy świat był lekki, jako ten motyl. A jak nadąsaną minę miała piękna pani, gdy przeczytała swój portret przez Węgierskiego skreślony. Szczególnie ją ubodło to, że „ma przymilenie”. Co, przymiła się, to znaczy mizdrzy się, to znaczy absztyfikuje się, to znaczy robi oko ta, którą podziwiał Fryderyk W., i Ludwik XV, i Talleyrand, i Wolfgang Goethe. Absztyfikuje się ta, którą malowali Greuze, Raphaël Mens, Vigée Lebrun, Angelica Kaufman, Lampi, Bacciarelli.

I jeszcze ją ubodły te jakieś świadczenia Domowi Nowemu.

Cóż za Dom Nowy miał na myśli imć pan Węgierski? Jeśli to miał być rzeczywisty dom, to nie można przecie nazwać domem nowym jej prastarego zamczyska Szarogrodzkiego na Podolu, gdzie pono jeszcze Adam i Ewa mieszkali. Jeśli zaś tym domem nowym miał być człowiek, nie przymierzając pan szambelan Maisonneuve, to poco to w satyrze nazywać świadczeniem. To nie świadczenie, to szlak barwisty, częstokroć słońcem umajony.

A czwartą Elżbietę tak Węgierski przedstawia:

„Przyjemna, grzeczna, dobra, dowcipna  
i żywa,  
Któż cię w tym Pisarzowa postrzedz nie  
spodziewa.  
Dałbym życie, aby twój mąż Bakałarz  
srogi,  
Mógł na swym łbie uczonym ciężkie  
dźwigać rogi.  
W swojej byś go na koniec stawiała kolei  
Lecz cnota twa nikomu nie czyni nadziei”.

Ją nazywa Węgierski panią Pisarzową Litewską. To będzie Elżbieta z Lubomirskich Ignacowa Potocka, córka przed chwilą opisaną Elżbietę Lubomirską.

Jest tej pięknej pani sylwetka portretowa. Zapatrzona gdzieś w dal, nimbem tajemniczym owiana, wygląda jak cień, jak cień niedopowiedziany, jak zjawą. Tak też przeszła przez życie. Lecz była mężowi zjawą jasną. Jako zjawę ją też sławi Węgierski. Może zgrzytnie jeno o tych rogach na łbie uczonym męża, lecz tu jeno wyrazi swe chęci, nie chęci pani o kameowej sylwecie.

Przeciwnie, życie tylko opromieniło jej sylwetę i cnotę jej uwydatniło.

Bakałarzem nazywa Węgierski jej męża. Rewerendą nazywa go inny satyryk. Bakałarz czy Rewerenda, Ignacy Potocki, mąż uczony, dźwigał myśli szczytne, a nie to, czego by Węgierski chciał.

I wreszcie piątą Węgierskiego Elżbieta.

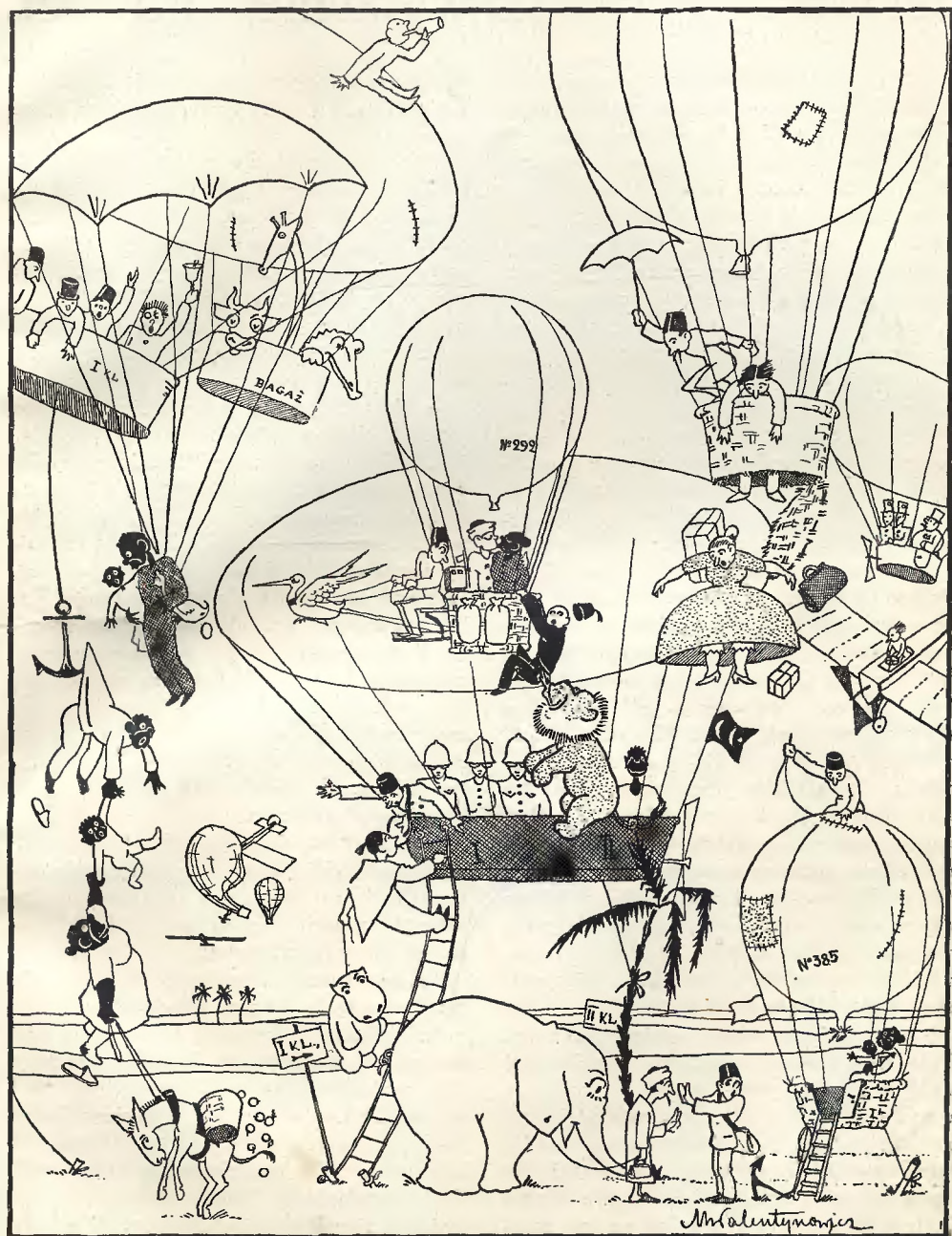
„Związkiem ścisłym spojone chodzą na  
wysięgi  
Rozkosz dla ciała twego, dla duszy  
intrygi,  
Rządzić czasem i sobą umiesz po staremu,



Elżbieta z Flemingów Czartoryska







rys. M. Walentynowicz

Port lotniczy na równiku

# Jaki pracownik najwydajniej pracuje?

Sprawa wydajności tak maszyn, jak i poszczególnych pracowników w różnych gałęziach przemysłu i handlu, jak wiadomo, jest traktowana w Ameryce nader poważnie. Istnieje tam obecnie bogata literatura, na którą składa się szereg dzieł specjalnych i obfita prasa periodyczna, traktująca o warunkach i normach najwyższej wydajności pracy. Ostatnio dr. H. D. Brown, szef rządowego biura normalizacji pracy, ogłasza w długim raporcie swe spostrzeżenia nad wydajnością amerykańskich urzędników państwowych.

Znaczną część swej pracy dr. Brown poświęca elementowi kobiecemu, który w Ameryce, tak samo zresztą jak w innych krajach, wszedł po wojnie w wielkiej liczbie do wszelakiego rodzaju biur i instytucyj.

Za najmniej pożądaną typ pracowniczkę biurową uważana tu jest panna mniej więcej przystojna i młoda, dbająca o swą powierzchowność, albowiem głównym jej celem jest wynalezienie sobie męża, który zjawi się jako wybawiciel jej od nudnej i słabo opłacanej pracy. Podobna istota traktuje swe zajęcie jako zło konieczne, jako źródło zarobku, obracanego często na zakup gałganków, perfum, pudru i t. p. Praca jej, pozbawiona podstawy ideowej i bez nadziei na pozostanie na miejscu, jest naogół mało wydajna, i wykładnikiem jej, że tak powiemy, słuchowym, jest częste przerywanie klekotu maszyny do pisania, odpowiadające chwilom przeglądania się pracowniczką w lusterko, poprawiania włosów i innych zabiegów około własnej piękności. Plusem jednakże tej kategorii kobiet jest szybkość, jaką mogą nadać swej pracy w pewnych momentach, przy należytej kontroli, a to dzięki ich młodym siłom i świeżości umysłu... Za bardziej odpowiednie do pracy biurowej autor uważa starsze panny. Są to osoby, które miały już pewne przeżycia, często przykre. Przeszły już one przez okres wybujałych marzeń i przez sny różowe, zyskując zdrowe zrozumienie twardej konieczności życiowych. Praca staje się dla nich szacowną ostoją, a często je-

dynym celem życia. Przywiązują się zatem do miejsca, i starają się osiągnąć najlepsze rezultaty.

Wdowy również nie należą do kategorii pracowników wymarzonych. Większość ich żyje bowiem przeszłością, a takie życie prowadzi do smutnych myśli, męczących równowagę ducha, i przeszkadzających pracy. Naogół osoby tego rodzaju znajdują każdą pracę zbyt trudną dla siebie, albowiem nie patrzą z ufnością w przyszłość. Pracownice, które wstąpiły świeżo w związki małżeńskie, dają narazie pracę wydajną. Jest to rezultat ich poważnie sformułowanego światopoglądu i, zapewne, podświadoma troska o zapewnienie należytej egzystencji ewentualnemu potomstwu. Później, gdy przyjdą na świat dzieci, wydajność matki-pracownicy zmniejsza się. Troski domowe i zabiegi rodzinne pochłaniają zbyt wiele jej uwagi. Kobiety zamężne, lecz nie posiadające dzieci, dr. Brown uważa naogół za najlepsze pracowniczki biurowe. Największą przeszkodą do awansowania kobiet na kierownicze stanowiska jest obawa ich, gdy chodzi o wzięcie na siebie odpowiedzialności. Znakomita też większość kobiet woli pracować pod kierunkiem mężczyzny.

Natomiast mężczyzna rzadko kiedy może dorównać kobiecie na stanowisku sekretarza. Chodzi tu bowiem o porządek i akuracjonalność w spełnianiu czynności, bez przejawów własnej inicjatywy.

Kobiety szczupłe są lepszymi pracownicami od swych tęższych koleżanek.

Jeśli chodzi o mężczyzn, to autor za najbardziej odpowiedni typ fizyczny uważa tu albo osobników wysokich, szczupłych, nerwowych, albo też ludzi niewielkiego wzrostu. Tędyż natomiast, naturalnie skłonni do lenistwa, rzadko są dobrymi pracownikami. Ludzi żonatych dr. Brown woli, niż kawalerów, dla tych samych przyczyn, jakie były wyłuszczone w stosunku do kobiet.

Wreszcie na zakończenie dodaje, iż na podstawie swych spostrzeżeń za najlepsze pracownice uważa kobiety... o rudym kolorze włosów.





*Owalny szalas Kirgizów*

# Jak ludzkość mieszka

## CZĘŚĆ I.

### Budownictwo ludów pierwotnych,

W czasach dzisiejszych zainteresowanie się krajami nieznanymi jest tak żywe, jak w żadnej chyba epoce. Nawet w okresie wielkich odkryć geograficznych człowiek egzotyczny nie budził tyle ciekawości co obecnie. Ogromne ułatwienia komunikacyjne łącznie z udoskonaloną techniką reprodukcji w wysokim stopniu umożliwiają poznanie dalekich plemion i wiedza o nich postępuje olbrzymimi krokami naprzód,

W związku z tem zaniechano obecnie przestarzałych metod podziału, określających stan kulturalny ludów jako: dzikość, barbarzyństwo i cywilizację. Okazało się, że podobnie jak we wszystkich innych dziedzinach życia, nie istnieje ścisła granica między ludami cywilizowanymi i pozbawionymi cy-

wilazacji, a już mowy niema o tem, żeby umysłowość plemienia, żywiącego się np. chlebą — różniła się rażąco od intelektu plemienia, żywiącego się befsztykami.

Żeby uniknąć nieporozumień, zaznaczam na wstępie, że termin „ludy pierwotne”, którego używam dla wygody, jest haniebnie nieścisły. Bynajmniej bowiem nie ograniczam go do jakichś tam Australczyków — do których, od biedy, dałby się zastosować — przeciwnie wiele z tych ludów, o których wspominam, zna pismo i metale, ma wysoko rozwiniętą filozofję i systemy religijne. O tem jednak mówić nie będziemy. Nas interesuje ich budownictwo — a przynajmniej te rodzaje ich budownictwa, których bardzo prosta konstrukcja każe je zaliczać do pierwotnych wytworów kultury.

Tych kilka zasadniczych typów mieszkania — spotykanych u szczepów żyjących we

wszystkich możliwych klimatach — postaram się omówić w szkicu niniejszym.

Najprostsze schronienie dzikusa \*) jest kilka kawałków kory i gałęzi, które ustawione odpowiednio dają mu pewną zasłonę przed podmuchami wiatru. Zasłony takie lub tym podobne używane są nietylko w Australji, ale i we wszystkich innych częściach świata często jako schronienie przygodne np. dla myśliwych na wyprawie łowieckiej.

W wielu okolicach plotą z chrustu i trzciny bardzo zręczne zasłony przenośne. Indianie Ameryki północnej rozpinają w tym celu skóry zwierzęce. Takie zasłony są o tyle wygodniejsze, że można je przestawiać zależnie od kierunku wiatru, lub słońca.

O wiele doskonalszym rodzajem schronienia są szałas. Odróżniamy ich wiele typów, z których najważniejszymi są: szałas ulowaty, stożkowaty i dwuspadowy.

Szałas ulowaty, podobny z kształtu do kopy siana, jest charakterystycznym mieszkaniem ludów karlich (pigmejów), składa się on z kilku pałkowato wbitych w ziemię prętów, okrytych wiechą palmowych liści. Ognisko mieści się wewnątrz. Pokrewną formą są szałas owalne, jakie spotykamy często na Syberji. Oczywiście w braku wielkich liści robione są one z innych materjałów zwykle z mat trzcinowych, zastępowanych niekiedy wielkimi płacami, zszywanymi ze skór rybich. Wejście zasłaniane jest matą, związaną w razie potrzeby w rolkę i uwiązaną u góry otworu.

Najbardziej znaną formą szałasów stożkowatych jest „tipi” indyjski (niewłaściwie zwany wigwamem). Na kilku tykach rozpięte są skóry, pozszywane odpowiednio. Skóry te umieją oni wyprawiać tak, że stają się na pół przezroczyste. Jeżeli wewnątrz płonie ogień,



Zasłona od wiatru. Australja



Zasłona przenośna.



Szałas ulowaty. Afryka



Szałas stożkowaty. Ameryka

\*) To malownicze określenie muszą mi czytelnicy wybaczyć, nauka bowiem nie zna ludów naprawdę dzikich. Każde najpierwotniejsze nawet plemię ma swoją kulturę. Chyba szumowiny wielkich miast dałoby się pod pojęcie dzikości podciągnąć.

Przy sposobności warto byłoby się rozprawić z pokutującą w książkach dla młodzieży bajeczką, że przodek człowieka wsiadł sobie gniazda na drzewach. Nic podobnego. Co najwyżej gąszcz mógł być dlań naturalną zasłoną — która stopniowo zastąpiona została przez sztuczne — o jakich mowa poniżej,

ska, to szałas taki wygląda w nocy cudownie, jak olbrzymi czarodziejski lampjon.

Jakuci do pokrywania swych wielkich stożkowatych „ułasów” obdzierają korę z pni brzoźowych. Potem ją gotują w mleku i przyrządzają w jakiś tajemniczy sposób, dzięki czemu jest miękka, nie rwie się, nie łamie, i można ją zwinąć dla przenoszenia szałasów z miejsca na miejsce. Srebrne ułasy bielejące na ciemno zielonem tle tajgi tworzą niezwykle malarskie efekty. Prześliczne to



pokrycie z kory brzozej rozpowszechnione jest wśród wielu syberyjskich plemion.

Szałas dwuspadowy jest dobrze znany w Europie, gdzie używany jest jako schronienie drwali, juhasów, węglarzy — a niekiedy jako szopy na narzędzia, lub budy dla ogrodników. Ciekawą odmianą tego typu są szałas Aino — żyjących na Jesso, Sachalinie i wyspach Kurylskich. Dla lepszego wykorzystania przestrzeni wnętrza, dach na nich jest załamany.

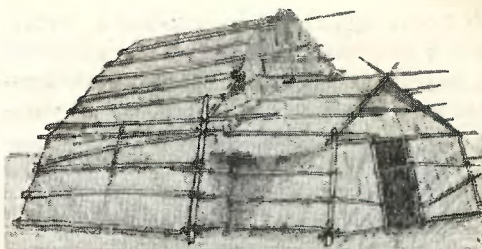
Stanowią one jakby przejście od szałasu do formy, którą można już nazwać chatą, posiada ona bowiem ściany, wątle co prawda — bo z chrustu tylko plecione — niziutkie, ale zawsze ściany. W ciepłych krajach takie przewiewne chałupy są często w użyciu. Drzwi umieszczone są w ścianie szczytowej — jak i w szałasie, od którego ród swój wywodzą. Okien oczywiście nie ma. Zato kalenica (belka środkowa, podtrzymująca dach) przedłużona w obie strony ozdobiona jest zwykle czaszką zwierzęcą rzeźbą — lub conajmniej wiechą trawiastą, jak na rysunku.

Ktoś, choć trochę znający swój kraj, przypomni odrazu, że w wielu okolicach Polski wznoszą chaty, a jeszcze częściej stodoły, w których ściany są tak niskie, że strzechy dostanie ramieniem. Na tego rodzaju budynkach dachy bywają wyniosłe, rozłożyste i nadają całości majestatyczny wygląd.

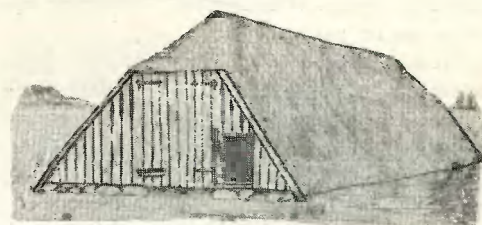
Na całym terytorjum Afryki, zamieszkanem przez murzynów, występuje niemal wyłącznie odrębny, i stosunkowo rzadko w innych częściach świata spotykany rodzaj budownictwa. Są to chatki okrągłe o dachu stożkowatym jakie zależnie od okolicy ulegają dość licznym modyfikacjom — w gruncie jednak są do siebie bardzo podobne i stanowią charakterystyczną ozdobę krajobrazu. Niektóre plemiona murzyńskie Sudanu odznaczają się niezwykłą starannością w budowaniu swoich chat. Ściany ich obrzucane są gliną, niekiedy dookoła chaty wiedzie kryte obejście z daszkiem wspartym na zgrabnych słupkach.

Pokrycie strzech często układane jest w przesłiczne wzory. Chaty takie, zwykle otoczone płotkami, mają bardzo miły i schludny wygląd.

U Papuasów występuje też typ chaty okrągłej. Dach wsparty jest na słupie, stojącym



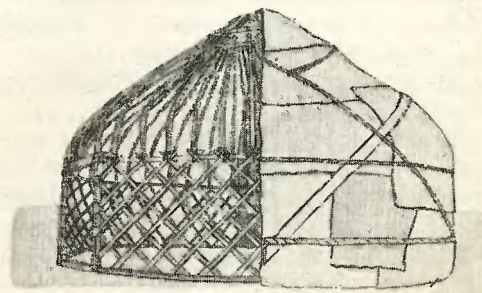
Szałas z daszem Tama-rym.



Szałas dwuspadowy jako roszewu Niemcy



Chata okrągła o daszu stożkowatym



Kibitka okrągła namot pustostok.

w środku izby, a koniec tego słupa, wychodzący nazewnątrz, ozdabiany jest glinianymi nasadami, strojnemi w pióra. Te zakończenia mają na celu nie tylko ozdobę, ale zarazem obronę przeciw urokom i złym duchom.

Chata okrągła, w Ameryce półn. spotykana u Indian preryj, przetrzymała się najzupełniej. Dach ze ścianą zlał się w jedno — tworząc kopułową strzechę bardzo zgrabną w proporcjach. Trawiaste pokrycie jej ma niezwykle dekoracyjny układ. Gdyby nie wielkie rozmiary i złożona więźba, można by odnaleźć zewnętrzne podobieństwo tej budowli do szałasów ulowatych, o których była mowa na początku.

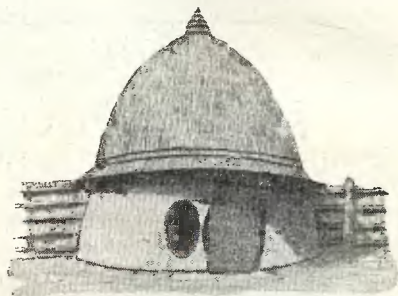
Przechodząc do następnej formy domu mieszkalnego, wkraczamy w zupełnie inny świat. Na Saharze i w Arabii, wśród koźowniczej ludności są w użyciu szatry czyli namioty, składające się z rozpiętej na trzech rzędach palików tkaniny. Wszystko wzmocnione jest silnie naciągniętymi powrozami, umocowanymi do niskich, wbitych w ziemię, kołków. Ściany boczne są prawie stale, dla przewiewu uniesione do góry. Zabójczy żar słońca jest bowiem największym wrogiem człowieka tych krain.

Podobny typ mieszkania spotyka się także dalej na wschód — w Tybecie, ale tam używany jest tylko w gorącej porze roku, zimą zaś rozpinają go wyłącznie jako schronienie dla nieboszczyków. Jeszcze rzadziej zdarza się taki rodzaj namiotu w Mongolji. Gwałtowne skoki temperatury w ciągu doby surowy klimat, jaki panuje w całej Azji Środkowej, zmusiły mieszkańca tych stepowych stron do wytworzenia solidniejszej formy mieszkania. Namiot ludów mongolskich, czyli t. zw. „kibitka” jest to okrągła w planie klatka z prętów pokryta warstwą grubszych wołoków. Mieszkanie takie jest łatwo rozbieralne i łatwo przenośne. Ze względu na swą praktyczność używane jest przez wszystkie ludy pasterskie od Mongolji po Wołgę.

W zimie ściany okładają sówicie, od zewnątrz i od wewnątrz wołokami i opalają przy pomocy metalowych piecyków. Dawniej jednak spędzano zimę wyłącznie w ziemiankach. I dzisiaj ziemianki są rodzajem mieszkania niesłychanie rozpowszechnionym wśród ludów, żyjących w mroźnych okolicach ziemi.



Prymitywna chata dacotahowa.



Lepsza chata Syllukow.



Wzrostła strzechy chaty Dink.



Mongolskie ozdoby dachowe.

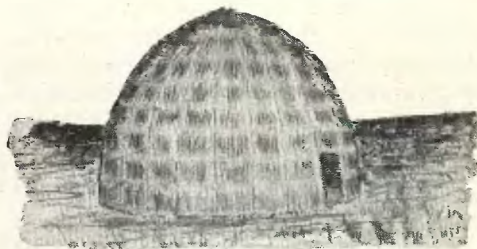




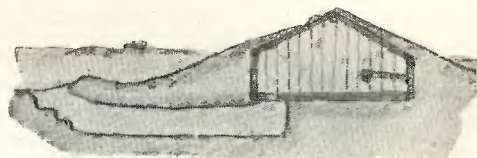
Pokryj ziemianki z wejściem  
przebiegającym przez dach.



Ziemianki Koryjoków z wejściem



Chata Indian prerji.



Rzekroj ziemianki Eskimosów

Ta forma budownictwa narodziła się w krajinach stepowych, gdzie drzewo jest rzeczą niesłychanie cenną i nawet na ogień nieużywaną (pali się gnojem suszonym). Dla tego ziemianka, która jest dołem wykopany w ziemi i która tylko do pokrycia dachu wymaga niewielkiej liczby kołków — jest w takich warunkach najpraktyczniejszym schronieniem. Ściany ziemne trzymają dobrze ciepło, — idące od ognia, który pali się na trzonie ubitym z ziemi. Szerokie ławy ziemne idą pod ścianami. Wchodzi się przez korytarzyk opatrzonej z obu stron drzwiami. Okien niema. Światło bije od góry, otworem do wypuszczania dymu. Ponieważ jednak zadymki śnieżne często zasypują wejście doszczętnie, więc w otwór dymowy wstawiają kłodę nacinaną, po której wygramolić się można na świat boży. Tak powstało wyjście dachowe. Otwór w dachu otaczano jeszcze lejem z kołków, aby zamieć nie wpędzała dymu z powrotem. \*)

Ten typ ziemianki zachował się u plemion północno-wschodniej Azji. U Eskimosów Alaski i Indian Kalifornii istnieje ziemianka

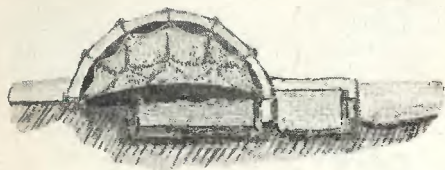
bez leja wejściowego i o tyle zmieniona, że nie wchodzi w głąb ziemi, ale przeciwnie usypiana jest jak pagórek.

Wśród Eskimosów spotyka się poza tem jeszcze dwa inne rodzaje mieszkań. Jedno z nich jest ziemianką, do której wiodzie korytarzyk bardzo długi (nieraz z dodatkowymi izbami) umieszczony poniżej poziomu podłogi w izbie mieszkalnej. Urządzenie to ma na celu zabezpieczenie przed idącym ze zwykłego korytarza zimnym przeciągiem. Ten typ jest już bardzo udoskonalony, ale ziemianki wyżej opisane wznoszą się wyłącznie w okolicach lesistych, gdyż, jak to widać na rysunku — wykonana jest ona całkowicie z osypanych ziemią grubych kłód drewnianych.

Drugim rodzajem jest „chata śnieżna”, jaką popularnie uważa się za jedyne Eskimosów mieszkanie. Nie jest ona ziemianką w ścisłym znaczeniu, bo ani grudki ziemi do niej się nie zużywa. Budują ją ze śniegu, w bezleśnych tundrowatych okolicach. Złodowaciele ściany wymoszczone są bardzo dowcipnie umocowanymi futrami. Służy wyłącznie w zimie, z wiosną bowiem topnieje i z zalanej wodą chaty muszą mieszkańcy pośpiesznie uciekać.

\*) Na rysunku widać białe na pal psy, poświęcone duchom opiekuńczym siedziły.

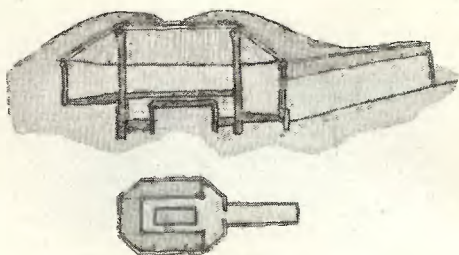
Ze wszystkich wyżej omówionych typów budownictwa, ziemianki miały największy wpływ na powstanie złożonych form domu. Miało to miejsce dzięki ogromnej roli histo-



Przekrój chaty śnieżnej.



Ziemianka indyjska z wejściem tylko przez dach.



Plan i przekrój ziemianki z wejściem konstantynowskim.

rycznej, jaką odgrywały używające ziemianek ludy pasterskie, w stosunku do mieszkańców Europy, oraz Wschodu i Południa Azji. Dlatego właśnie poświęcamy jej tak dużo stosunkowo uwagi.

W następnych artykułach spodziewam się dać zarys tych nieznanych nam jeszcze typów mieszkania, które, łącznie z ziemianką, były punktem wyjścia dla powstania budownictwa krajów cywilizowanych Starego i Nowego Świata.

*Stefan Niewiadomski.*



# Niebezpieczeństwo pożarów na morzu

Ze wszystkich niebezpieczeństw, jakie obecnie mogą zagrażać okrętom podczas długich podróży morskich, jednym z największych i, niestety, najczęściej zdarzających się, jest bez wątpienia pożar. Podczas gdy obawy, istniejące przedtem, a dotyczące głównie pewności okrętu, jako środka lokomocji wodnej, zostały w najnowszych czasach sprowadzone do minimum, dzięki samej konstrukcji okrętów, potęgze ich maszyn, telegrafii iskrowej i t. p., niebezpieczeństwo zniszczenia okrętu przez pożar istnieje zawsze w całej swej groźbie, bez względu na jego rozmiary i sprawność załogi. Idzie bowiem o to, że kiedy ogień ukazuje się na okręcie, to prawie zawsze jest zapóźno, aby go można opanować. Statystyki dowodzą, że w siedemdziesięciu wypadkach na sto źródło ognia znajduje się w najgłębszych zakamarkach okrętu, gdzie niszczycielski żywioł przez pewien czas pozostaje stłumiony przez masy ładunku, dopóki nie znajdzie ujścia nazewnątrż, wybuchając już z niepohamowaną siłą.

Zazwyczaj taki ukryty ogień daje znać o sobie po pewnym czasie — za pomocą małego obłoczka dymu, wydostającego się z pod pokładu, jak również charakterystycznego zapachu spalenizny, wyczuwalnego pod wiatr. Laik nie przywiązuje do tych objawów wielkiej wagi, ale dla zawodowego marynarza są one zapowiedzią niemal pewnej katastrofy. W istocie pożar na okręcie może być opanowany tylko wtedy, gdy uda się wykryć dokładne miejsce jego zapoczątkowania, i zastosuje się niezwłocznie heroiczne środki obrony.

Cała jednak trudność polega właśnie na określeniu owego ogniska zniszczenia, gdyż w większości wypadków niższe piętra okrętu są wypełnione wtedy gryzącym dymem, który czyni pomieszczenia, znajdujące się tam, wprost niedostępnymi do oględzin. W tym wypadku kapitanowi nie pozostaje nic innego, jak ustawić okręt w takiej pozycji pod wiatr, aby płomienie oszczędzały masztów, i wzywać pomocy drogą sygnałów iskrowych.

Okręt posiada cóprawda potężne pompy parowe, wyrzucające strumienie wody w razie potrzeby, ale środek ten jest przeważnie uważany raczej za paljatyw, mający na celu opóźnienie katastrofy, niż za radykalne lekarstwo, nie mówiąc już o tem, iż duże masy wody, wlanej do wnętrza okrętu, niszczą ostatecznie ładunek, nieknięty jeszcze pożarem.

Z tego względu zamiast wody lepiej jest używać strumieni pary.

Lecz i w tej dziedzinie myśl i wiedza nasza, stojące na straży zdrowia i życia ludzkiego, pozwoliły już wynaleźć pomysłowe urządzenia sygnalizacyjne, które powinno zredukować do minimum niebezpieczeństwo pożarów na morzu. Chodzi mianowicie o przyrząd, wynaleziony w Ameryce, który automatycznie zawiadamia załogę okrętu o najmniejszym obłoczku dymu, wydostającym się w najskrytszych zakątkach okrętu, choćby ten dym pochodził z tak nieznacznego źródła, jak papieros. Zasadniczo aparat ten składa się z szeregu rur, łączących różne pomieszczenia okrętowe ze skrzynką oszkloną, znajdującą się na mostku kapitańskim, czyli będącą ciągle na oku oficera dyżurnego. Wyloty wszystkich rur są ponumerowane, odpowiadając wiadomym częściom okrętu. Oddzielna pompa pneumatyczna wyciąga ustawicznie powietrze ze skrzynki, wciągając jednocześnie najbliższy dymek, o ile takowy wyszedłby przez jedną z rur. W tym ostatnim wypadku, dzięki dowcipnemu urządzeniu, opartemu na prawie załamywania się światła, u wylotu danej rury wyskakuje ognisty stożek — sygnał alarmujący.

Pomieszczenie, dotknięte pożarem, zostaje natychmiast określone. Dalsza akcja polega na prostem przekręceniu zaworu ratunkowego, który teraz wylacza rurę ze skrzynki, włączając ją do pompy, wyrzucającej strumienie pary w miejsce, zagrożone ogniem. W ten sposób ogień może być zlokalizowany i opanowany natychmiast.



*First National girls na plaży*

# F i l m y   s e z o n u

Napisał

Jerzy Borycki

W ciągu ostatnich paru lat żyjemy pod znakiem filmu amerykańskiego, aczkolwiek i Niemcy nie dają za wygraną i dokładają wszelkich starań, aby podtrzymać swe, do niedawna jeszcze dominujące, stanowisko na rynku europejskim. Jednakże poza szeregiem bezwartościowych przeróbek znanych operetek, dostarczają wytwórnie niemieckie zaledwie kilku naprawdę pierwszorzędných obrazów rocznie, jak „Świętoszek“, „Faust“, „Manon Lescaut“, „Variété“ i „Student z Pragi“.

Natomiast film amerykański, nawet w swej najbardziej typowej formie dramatu oby-

czajowego i lekkiej komedji, jest zawsze uczcą artystyczną dla smakoszków filmowych. Wprawdzie scenariusze filmów amerykańskich często szwankują i niekiedy rażą widza europejskiego swą naiwnością, tłumaczy się to jednak tem, że przy masowej produkcji niema czasu na wybór tylko pierwszorzędných scenarjuszy, to też przerabia się na ekran wszystko, co się nadaje do przeróbki, i okrasza się słabszy scenarjusz doskonałą grą aktorską i reżyserją. Pod względem techniki, bogactwa wystawy, doboru typów, gry całego zespołu i reżyserji film amerykański jest bez konkuren-





*Lia de Putti i Ben Lyon w filmie „Troska szatana”*

cji. Stwierdzili to napewno ci wszyscy, którzy mieli możność podziwiać ostatnio „Ben-Hura”. Dla zobrazowania tych wysiłków i kosztów, jakie były włożone w odtworzenie tego dzieła, wystarczy przytoczyć garść ciekawych szczegółów, dotyczących jego wykonania.

Reżyser Fred Niblo, zajmwszy 100 morgów gruntu, wyrównał go i zbudował cyrk starożytnej Antiochji. Robota nad konstrukcją tej inscenizacji obok Culwer City trwała od czerwca do października.

Wielki „Circus Maximus” posiadał 1500 stóp długości toru i wznosił się stopniowo aż do 150 stóp ponad tor. Olbrzymie figury gladiatorów, wysokości 35 stóp, ważące po kilka tonn, ustawione były na podjach przy zakręcie toru. Dwunastu woźniców kwadryg, z których każda miała zaprzęg z czterech koni, ćwiczyło się całemi dniami przez miesiąc, zanim przystąpiono do zdjęć wyścigów, których widok na filmie zapierał wprost oddech w piersiach widzów.

Gdy wreszcie przed wielotysięcznym tłumem statystów, którzy zamienili się w zachwyconą publiczność, stanęli do wyścigów, wszystkie ateliery w Hollywood urządziły święto i Los Angeles stało pustką.

Reżyser Fred Niblo kierował grą z 30-metrowej wieży, przy pomocy megafonu, semaforów sygnałowych i 120 stacyj telefonicznych, dla których rozciągnięto druty na długości przeszło 3½ klm. 48 aparatów do zdjęć fotografowało jednocześnie. Niektóre z nich były wmurowane w ziemię i zdejmowały od dołu przebiegające zaprzęgi. Efekt był taki, że widz doznawał wrażenia, iż rozhukane konie pędziły wprost na niego. W ciągu paru godzin zużyto 20,000 metrów negatywu.

Dokoła areny krążył aeroplan, aby umożliwić zdjęcie z lotu ptaka. W niezwykle zręcznie kierowanych autach pędziło kilku operatorów przed uciekającym wozem, aby wspaniały obraz rozbrykanych koni i kierowcę zdjąć zbliska. Zadanie ich było nie-



*Georgee Hale*

bywale trudne, gdyż przy tym biegu nie można było utrzymać spokoju, jak przy zwykłym zdjęciu. I kiedy zmierzono uzyskany czas, okazało się, że tutaj, przy zdjęciu filmowem, otrzymano rekord biegu:

trzecią część mili angielskiej przebyto w  $37\frac{2}{5}$  sekundy. Dzień wyścigów z wszystkimi przygotowaniem pochłonął 500,000 dolarów.

Mając u siebie cały sztab zdolnych i do-



świadczonych reżyserów i artystów, wytwórnice amerykańskie, nigdy nienasycone, nie poprzestają na tem, lecz wciąż sięgają do rezerwoaru europejskiego, skąd czerpią najwybitniejsze siły, które zdołały już zdobyć należyty rozgłos i uznanie. Ten napływ bogatego intelektualnie elementu europejskiego dodaje wytwórczości amerykańskiej soków odżywczych i zapobiega zmechanizowaniu produkcji. W roku ubiegłym odbywał się właśnie taki polów talentów na większą skalę, który przybrał rozmiary prawdziwej wędrówki najwybitniejszych sił europejskich do krainy dolarów. Rezultatem tego jest skoncentrowanie prawie całej wytwórczości światowej w Stanach Zjednoczonych (80%).

I tak już od paru lat pracują tam znakomici reżyserzy wytwórni szwedzkich — Wiktor Sjöström i Maurycy Stiller. Również został w roku ub. zaangażowany twórca „Variété”, reżyser wytwórni „Ufa” — Dupont, który jednak po wykonaniu jednego filmu dla wytwórni „Uniwersal” p. t. „Kochaj mnie, a świat będzie moim”, opuścił Amerykę; wreszcie znany reżyser rosyjski Turżański, twórca „Kurjera carskiego”, wraz ze swą uroczą małżonką, Natalją Kowanko. Wciąż szukający nowych form w spotęgowaniu wrażeń wzrokowych, realizator „Fausta” — Murnau, udaje się wkrótce do Ameryki, gdzie będzie kierował produkcją Foxa.

Ten sam los spotyka najwybitniejszych artystów starego świata. Najpiękniejsza artystka niemiecka, z pochodzenia Węgierka, o cudownych kształtach i przepięknej twarzyczce, bohaterka „Variété” i „Manon Lescaut” — Lia de Putti, już wkrótce we wspaniałej oprawie filmów amerykańskich zabłyśnie pełnym blaskiem. Jej pierwsze filmy amerykańskie noszą tytuły: „Troski szatana”, reż. Griffitha, oraz „Bóg mi dał 20 centów”. Jej koleżanka niemiecka, stylowa Lil Dagover, która cały czar swego wdzięku i urody roztoczyła w roku ub. przed nami w filmie „Świętoszek”, występuje również w wytwórni „Paramount”.

Bohaterka filmu „Władczyni Libanu”, piękna Francuzka Arlette Marchal, oraz gwiazdy skandynawskie — Greta Nissen i Greta Garbo, występują już od roku w wytwórniach amerykańskich. Gretę Nissen podziwialiśmy już w przepięknym filmie „Syn



*Bebe Daniels*

marnotrawny”, Greta Garbo zachwyciła nas w „Kusicielce” i ukaże się znów w „Słowiku hiszpańskim” wg scenarjusza Blasco Ibaneza, mając za partnera Ricardo Corteza.

Niezapomniany „Kean” — genialny aktor rosyjski Iwan Mozzuchin, którego świeżo mamy w pamięci, jako „Kurjera carskiego”, doczekał się również przyjęcia do tego „Uniwersytetu filmowego”, jak Mozzuchin nazywa wytwórnice amerykańskie. Zabłyśnie on jeszcze dwa razy w swych ostatnich filmach europejskich — „Mateusz Pascal” i „Casanova”, następnie już w filmach amerykańskich. Na pierwszy ogień idą obrazy: „Moskwa” oraz „Tajemnica dworu królewskiego”.

Charakterystyczny aktor niemiecki, Emil Jannings, na wiele obiecujące propozycje, płynące z Ameryki, przez dłuższy czas odpowiadał odmownie. Gdy go zapytano, co jest powodem tego — odpowiadał jednym słowem tylko: „Prohibition”. Lecz i on



*Clara Bon*

wreszcie nie oparł się magnetycznej sile dolara, to też w końcu roku ub., wraz ze swym kolegą — niesamowitym tragikiem niemieckim, Conradem Veidtem, udali się do Ameryki. Pierwszemi filmami Janningsa będą: „Złodziej snów” z Betty Bronson —

cudowną Madonną z „Ben-Hura” — i Ricardo Cortezem, oraz „Człowiek, który zapomniał Boga”.

Pamiętny jako „Student z Pragi” — Conrad Veidt, po wykonaniu jednego filmu dla „Zjednoczonych Artystów”, podpisał trzy-



letni kontrakt z wytwórnią „Uniwersal”, gdzie wystąpi w przeróbce filmowej „Człowieka śmiechu” Wiktora Hugo, następnie w filmach: „Papuga chińska” (reż. Paul Leni) oraz w obrazie z życia żydów galicyjskich p. t. „Lea Lyon” (reż. Brody).

Konstelacje gwiazd na firmamencie filmowym są tak zmienne, jak gusta i upodobania dzisiejszej publiczności. Rok rocznie ukazują się coraz to nowe gwiazdy, które blaskiem swego talentu zaćmiewają dawne renomowane gwiazdy. Poza „Panną w dobie shimmy”, rozkoszną „Sally” i figlarną „Ireną” — przemiał Colleen Moore, która ukaże się w sezonie bieżącym w filmie „Twinkletots” (tytuł polski nieustalony), oraz „Dziewczynką pierwszej klasy” — niebieskooką Corinne Griffith, które niewysłowionym czarem swego talentu wstępnym bojem podbiły nasze serca i ugruntowały już swą popularność, w sezonie bieżącym poznamy cały szereg dotąd mało jeszcze znanych, przemiałych i pięknych aktorek amerykańskich, do których w pierwszym rzędzie należą: posiadaczka pary cudnych, przepaścistych oczu, znana z filmów „Sandy” i „Ognisty potwór” — Madge Bellamy, którą ujrzymy jako „Kwiaciarkę Neapolu”;



*Lia de Putti*



*Luiza Broochs*

rasowa Clara Bow — aktorka o niezwykle szerokiej skali talentu, która ukaże się w filmach „Czerwone serce” oraz „Mantrap” („Pułapka na mężczyzn” — reż. Allana Dwana). Również będziemy podziwiali w szeregu filmów precudną Billie Dowe, piękną Normę Shearer, znaną z filmów: „Sekretarka pana szefa”, „Jedynaczka króla miedzi” oraz „Djabelski cyrk”, kusząco piękną Carmel Mayers, egzotyczną Georgee Hale, która zadebiutuje w „Szatanie prerji”, oraz cały szereg innych aktorek, które wkrótce staną się znane i lubiane. Gdybyśmy mogli zamieścić tu podobizny wszystkich nowych gwiazdek ekranu, mielibyśmy istny przegląd piękności, pocieszamy się jednak, że wyręczą nas w tym względzie płaszczyzny srebrnych ekranów, które są obszerniejsze, niż ramy naszego pisma.

Poza temi nowemi gwiazdami, będziemy podziwiali dobrze już nam znane nazwiska w szeregu pierwszorzędných filmów amerykańskich. Otóż Douglas Fairbanks, którego w lecie roku ub. gościła w swych murach Warszawa, pamiętny z niedawnych sukcesów w „Złodzieju z Bagdadu” i „Znaku Zorry”, ukaże się, jako „Don X-syn Zorra” oraz „Czarny pirat”. Film ostatni jest wy-



*Collen Moor, gwiazda First-Nationale*

konany w kolorach naturalnych; partnerką Douga jest prześliczna Billie Dowe.

Pełna kobiecości, subtelna Alice Terry, wraz z Antonio Moreno, ukaza się w filmie reż. Rexa Ingrama p. t. „Mare Nostrum”, który, ze względu na swą tendencję, jakoby zwróconą przeciwko Niemcom, został zakazany do wyświetlania w Niemczech przez syndykat filmowy. Zaznaczyć należy, iż Niemcy w ostatnich czasach w swych filmach zaczynają prowadzić propagandę polityczną, czego wyrazem jest wielki film, wykonany ostatnio w Niemczech, zwrócony przeciwko Polsce, którego akcja rozgrywa się na wschodniej granicy Niemiec i który bezwzględnie powinien być przez nasze władze zakazany do wyświetlania na polskich ekranach.

Rodaczka nasza, Pola Negri, której filmy, oparte na słabych scenariuszach, w ostatnim roku nie cieszyły się zbyt wielkiem powodzeniem, napewno znów zwróci na siebie powszechną uwagę w swym ostatnim wspólnym filmie p. t. „Hotel miasta Lwów”, który robi obecnie furorę w całej Europie;

poza tem ukaze się jeszcze w obrazie reż. Buchowieckiego p. t. „Korona kłamstwa” oraz w filmie „Confession”.

Glorja Swanson zaprezentuje się w filmach „Precz z aktorkami” i „Fine Manners” (polski tytuł nieustalony); Constanca Talmagde, jako „Polcia Flirciarka”, bohaterka „Wesołej wdówki”, ekscentryczna Maë Murray, będzie znów tańczyć w „Walencji”; Bebe Daniels przypomni się swym wielbiicielom w filmach „Rozbitek życiowy” („Stranded in Paris”) oraz „The College Flirt”, a Betty Compson wraz z Ricardo Cortezem — w „Sztafecie”. Młodzianka i prześliczna Betty Bronson oprócz „Złodzieja snów” gra jeszcze główną rolę w „Złotej księżniczce”, a subtelna królowa piękności Corinne Griffith — w filmie „Asches”.

Bohater pełnych humoru i ruchu komedij salonowo-sportowych, Reginald Denny, którego od roku już nie widziała Warszawa, wystąpi znów w komedjach „W przedślubną noc” i „Kiedy mężczyźni szaleją”; „arbitr elegantiarum” filmu amerykańskiego, lew salonowy, Adolf Menjou — w fil-



mach „The ace of Cads” oraz „The Head waiter”.

Jeżeli chodzi o filmy wystawowe, zakrojone na większą skalę, to ujrzymy w sezonie bieżącym: potężne dzieło reż. Cecil B. de Mille'a p. t. „Król królów”, monumentalny film morski z życia piratów, reż. Jamesa Cruse, „Old Ironsides”, oraz prawdopodobnie „Amerykę” reż. Griffitha.

Pierwiastek humoru w tegorocznej pro-

dukcji będą reprezentowali: przedewszystkiem Charlie Chaplin, którego skandal rozwodowy odbił się głośnym echem w całym świecie filmowym, a który wystąpi w filmie „Król cyrku”; Harold Lloyd w filmach „Żółtodzióbek” i „Kochana teściowa”; amerykański Max Linder — Raymond Griffith w obrazach „Precz z ziemi!” oraz „Bądź sobą!”; wreszcie nowa sława, Harry Longdon, w „The yes man”.





## Na podstawie dostępnych źródeł

Opracował

January Kołodziejczyk

Illustrowała Janina Bobińska-Paszkowska

„Ilekoć zdarzało mi się pokazywać pięknym Paniom owo „ziele miłości”, *lubczyk*, spotykałem się zawsze naprzód z niedowierzaniem, później z rozczarowaniem. — „Myślałam, że *lubczyk* ma kwiaty o barwach płomiennych, purpurowych...” — „Wyobrażałam sobie *lubczyk* o kwiatach tęsknych, jak niezapominajka...” — „Śniłam o kwiatach *lubczyku*, mających zadumę lotosu”. Oto krótka ankietą, zebrana wśród pań, stojących wobec niepozornego *lubczyka*; jest to bowiem roślina zielna, wysokości ponad metr, o wonnych, aromatycznych liściach, podobna, niestety, do takich prozaicznych roślin, jak *koper*, *pietruszka* lub *kminek*. To bowiem, co „oficjalnie” nazywamy „*lubczykiem*”, jest rośliną kwiatową z rodziny baldaszkowych, a więc istotnie pokrewną *pietruszcze* lub *kminkowi*. Po łacinie według nomenklatury *Linneusza* została nazwana *Levisticum officinale*. Jest to roślina o pędzie zielnym wyższym niż metr, o dużych pierzastych liściach i o drobnych żółtawych kwiatach, zebranych w kwiatostan baldachowy.

Jak o niektórych roślinach hodowanych — trudno jest powiedzieć dokładnie, gdzie jest rodzinny kraj *lubczyka*. Wprawdzie znany rzymski ziołopisarz *Dioscorides* opisał jakąś roślinę baldaszkową z Apenin liguryjskich i nazwał ją *Ligystikon*, ale trudno określić, czy to był właśnie nasz „*lubczyk*”, tem bardziej, że go dziko dziś tam nie spotykamy; natomiast w ostatnich czasach znaleziono go dziko rosnącym na Uralu, a ponieważ w Persji również opisano pokrewny mu bliski gatunek, więc, najprawdopodobniej, ojczyzny *lubczyka* należy szukać na

wschodzie. Do Europy *lubczyk* zawędrował dość wcześnie, skoro spotykamy go wymienionego, jako roślinę hodowaną, w spisach królewskich ogrodów Karola Wielkiego (IX wiek), pod nazwami: *leusticum*, *libestucum* i *livesticum*; stąd powstały staroniemieckie nazwy: *lubesteche*, *lubistechel*, *levestock*, a później *liebstock*. Z Niemiec najprawdopodobniej we wczesnym średniowieczu przyjechała ta roślina do nas i była sadzona w wirydarykach dla swych właściwości lekarskich. Pod pierwotną nazwą *lubszczka* spotykamy ją w najstarszych dziełach botanicznych lekarskich polskich w wieku XV. Rozpowszechniła się u nas szybko, skoro w XVI wieku *Syreniusz* pisze: „Kochaia się iakmiarz wszyscy gospodarze niepomalu w tym Zielu, dla rozmaitych skutków iego do wielu chorób. Przeto y w nanędznieszych Ogródkach nie trudno o nie, gdyż też korzeń iego y do dwanaście lat w ziemi nie wyniszczeie”.

Czy *lubczykowi* jednak już wtedy przypisywano jakoweś czarowne fizjologiczne właściwości, któreby usprawiedliwiały jego tak ponętną i obiecującą nazwę? Najlepszym źródłem, w którym znajdziemy odpowiedź na to zagadnienie, będą dzieła XVI wieku, przedewszystkiem, tak zwany, Herbarz *Marcina Siennika i Szymona Syreńskiego*.

Zagłębmy się na chwilę w te dzieła; najpierw w czcigodny „HERBARZ to iest ZIOŁ TUTE CZNYCH, POSTRONNYCH, y zamorskich opisanie”, które to dzieło wyszło w Krakowie, „w Wigilję Ciała Bożego, roku Pańskiego w 1568”. Pełne guseł, zabobonów, czarów i rad magicznych to dzieło, znane pod nazwą Herbarza *Siennika*, jest



przeróbką t. zw. Unglerowskiego Ogrodu Zdrowia. Czytamy tam np.: „...też gdyby sobie kto namazał sokiem ręce nostrzęgowym, może nosić rospalone żelazo przez żadnego obrażenia w rękach”, albo „serce sówki gdy kto przyłoży niewieście śpiącej do boku lewego, tedy sama na się powie cokolwiek uczyniła”.

Z roślin, któreby były obdarzone ewentualnymi właściwościami *łubczyka*, w sensie mniej platonicznym, notujemy sporą ilość. Czytamy więc, że „domowa gorczyca, często iedzona od ludzi, czyni skłonność ku iurności”, albo: „też ziele samo gorczyczne w winie uwarzone, a na krzyż przyłożone ciepło, czyni buyność cielesną, takżeż y nasienie stłuczone na proch a z miodem zmieszane przasnym, przyłożże na krzyż, abo na nyrki, czyni skłonność ku rzeczom cielesnym”. Podobnie ku „iurności” lub „ręczom cielesnym” pobudzają: ptaszy ięzyk, gwoździki kramne, mikołajek, rzeżucha ogrodna, łuk (czosnek), pasternak, lisie iayka, szafran, wódka rzodkwiana („pobudza chęć cielesną małżonkom ku krotofil”), krew Wielbłądowa i inne.

Nietylko zioła, ale i magnes może służyć, jako swojego rodzaju *łubczyk*. Czytamy w Herbarzu *Siennika*: „Też then kamień magnes ma tę moc iże barzo wiele żon, które opuszczały dla swarów męże swoje y zasię k nim przywracały się, abowiem ten kamień od męża noszony, czyni go żenie lubieżnego y barzo miłego, tak iż bez niego być nie może, takżeż też y żone mężowi czyni wdzięczną”. O magnecie zresztą jeszcze czytamy: „w górach nad morzem roście ten Kamień mágnes, zwłascza w Indyey u wielkiego morza Oceana...”

Okrety gdy przychodzą nad ową górę w której jest ten kamień Magnes, tedy cokolwiek żelaza będzie miał w sobie on okręt, a zwłaszcza gwoździe żelazne, któremi okręt zabijają, wyskakują z niego, a iakoby z kusze do oney góry lecą, w której jest ten kamień magnes, bowiem ma dziwną y niesłychaną moc żelazo k sobie ciągnąć. Ale ludzie wiedząc o takich rzeczach, zwłaszcza którzy tam po morzu jeżdżą, drewnianymi gwoźdźmi okrety zbijają”.

Przejrzymy teraz drugie na swe czasy (XVII wiek) znakomite dzieło słynnego Doktora filozofii i medycyny, wychowawca

Akademii Krakowskiej i Padewskiej i Profesora Akademii Krakowskiej, *Simona Syreniusa* z Oświęcimia (1540—1611 r.). „W nauce lekarskiej około trzydziestu lat strawiwszy na pożytek pospolity”, pisał dzieło, którego, niestety, nie skończył, a które dopiero w dwa lata po jego śmierci (w 1613 roku) zostało wydane. Tytuł tego dużego dzieła, proporcjonalnie dość przydługi, podajemy w skróceniu:

„ZIELNIK Herbarzem z języka łacińskiego zowią to jest: opisanie własne imion, kształtu, przyrodzenia, skutków y mocy ziół wszelakich, drzew, krzewin y korzenia ich, kwiatu, owoców, soków, miazg, żywicy y korzenia do potraw zaprawowania; także truneków, syropów, wódek, lekwarzów, konfektów, win rozmaitych, prochów, soli, z ziół czynionej maści, plastrów... Księga lekarzom, aptekarzom, cyrulikom, barbirzom, rostrucharzom, końskim lekarzom, masztelearzom, ogrodnikom, kuchmistrzom, kucharzom, synkarzom, gospodarzom, mamkom, paniom, pannom y tym wszystkim, którzy się kochają i obierają w lekarstwach”.

Jak więc już z tytułu widzimy, jest to raczej podręcznik lekarsko-gospodarski, nie wolny również od magji i zabobonów, może tylko bardziej zmodernizowany i na swój sposób krytyczniejszy, aniżeli Herbarz *Marcina Siennika*. Pośród najrozmaitszych może z kilkudziesięciu tysięcy leków i rad spotykamy i takie, któreby odpowiadały mniej więcej ewentualnej działalności *łubczyka*, a które *Syrenjusz* dość zresztą plastycznie określa: że „mężę gnuśne do Wenusa pobudza”. Taką np. zapaliczka, roślina niepozorna, również z rodziny baldaszkowych, jest nadzwyczajna w swych skutkach: „na wiosnę, gdy się z ziemie pokazują z innymi ziółkami, używając, iako Chmielu młodego, albo Szparagów, w chędogo chusteczkę, albo w Paczosi mokre, uwinąwszy, w Popiele gorącym uparzyć, albo w chlebie upiec, a tego używać z trochę Pieprzu a solą; abowiem osobliwego smaku jest potrawa, która potężnie do Wenusa pobudza”; a dalej po pewnej ilości rad autor jeszcze raz zachwala, że „Oboje płeć tak do Wenusa wzbudza, że w tey mierze nie może nic być potężniejszego y równiejszego nad to”. Również i podagrycznik „starce y osłabiałe do młodych żon potężne czyni, oziębłość w nich



### Ostrzeżenie przed lubczykiem

rozgrzewiając. Doświadczone lekarstwo" (1). Podobnymi skutkami jest jeszcze obdarzony szereg roślin, jak mieczyk, kopr włoski, Oman Egypcki, Syryjczyk, Rzeżucha („do namiętności cielesnych jest podniecał”), ryż, a nawet i „piwo pszeniczne przystoynie uczynione”. Nasz zacny autor nie tylko jednak ludziom udziela pięknych i błogosławionych rad, ale nie zaniedbuje i zwierząt: oto pasorzyt wilk zielny (dziś nazywamy go *zarazą*) „zowią... Bykowym zieleń, dlatego, iż krowy skoro go zakuszą, Byka szukaia”. Nie brak i rad o skutkach wręcz przeciwnych; tak więc biedrzeniec czarny „czary dla nierządnej miłości odpędza”; dzięgiel zaś „chęć y wzbudzenie do Wenusa tłómi y odeymuie na czczo używając”; „tym, — zaś, — którzy niefczyście sny mają” pomaga odpowiednio przyrządzona kapusta, „komuby dla miłości był czarowny trunek do picia dany, takim sok ziela — korzysczko (Verbena) — trunkiem często dawać”. Któżby się jednak spodziewał, że nasza przepiękna lilja biała; „sny także plugawe o nierządnych miłościach oddala. Przeto, którzy czystość żywota zachować chcą, iako księżey, Zakonnikom, y Zakonnikom, osobliwie Prałatom, którzy z roskoszniejszych potraw, y trunków, do iurności cielesney

bywają częstokroć wzbudzeni, używać go dobrze, by tylko zasługa boiu u P. Boga nie zgineła”. I jeszcze jedna rada podobna, którą przytaczamy bez komentarzy: „Tym jest użyteczne używanie sałaty, którzy posłubiwszy się na ustawiczną służbę Panu Bogu, ślub czystości uczynili: Jako są wszystkie osoby Duchowne oboiey płci, którym ieśli powściągliwości, w różnieniu ognia namiętności cielesnych niedostaie, tym samym używaniem sałaty a częstym, iako za pewnym lekarstwem mogą swą czystość zachować”. Takich rad o ewentualnych właściwościach, jak widzimy, mocno nie platońskich, lubczyka i kontra-lubczyka autor rozsypał dużo hojną dłonią; wybrane i przytoczone są jednak dość niewinne, w stosunku do tych, które, ze zrozumiałych względów, trzeba było pominąć. Mimo tych licznych rad, wśród których, jak widzieliśmy, są i „doświadczone lekarstwa”, *Syreniusz* jest niekiedy dość sceptycznie usposobiony do ich skutków; w zakresie *lubczyka* przynajmniej na to wskazywałby następujący bardzo charakterystyczny ustęp: opowiedziawszy historję o „Mahomecie, wtórym Cesarzu Tureckim”, który w dowód tego, że „namiętnościom swym może rozkazywać, y od nich może się zawciągnąć”, ściał szyję



swej przepięknej kochance „Greckiey Pan-  
nie na imię Irene”, w „którey tak barzo  
zakochany będąc, żadney godziny bez niey  
być nie mógł”. *Syrenjusz* dodaje: „Więsze-  
by był męstwo y zwycięstwo po sobie ten  
okrutnik pokazał, by ią był opuścił, albo,  
według zwyczaju Mahometskiego, z nią  
wteyże miłości trwał, a niżliby takowe nie-  
zwyczajne okrucieństwo uczynić miał. Ale  
o tem szyrzey mówić, nie naszego iest  
przedsięwzięcia. To tylko ta historia po-  
kazać chce, że takowe czary miłości są  
znośne: które nie z ziół, nie z obmywania  
od Bab, nie z Karakterów, ani Czarowni-  
ków, ale z szlachetnego przyrodzenia, y o-  
byczaiów ozdobnych pochodzą. Nima się  
tedy żaden w takowe nieprzystoynne Gusta  
y czary wdawać, które są sprawą szatań-  
ską, y naczynia iego. Mamy, y każdy mieć  
może, wiele takowych przymiotów, byśmy  
się ieno sami o to starali, y w tym się pil-  
nie ćwiczyli, które nas mogą każdemu w mi-  
łości zalecić, nie szukając po lesiech, po  
górach y skałach, ziela miłości, rząsy wietrz-  
ney, albo nocnego cieniu”.

Jeżeli teraz otworzymy rozdziały, oma-  
wiające w tych obu dziełach *lubszczyk* lub  
*lubczyk*, to, przedewszystkiem, nas uderzy,  
że nie przypisują mu prawie żadnych skut-  
ków, któreby podług *Siennika* „ku jurności”,  
a podług *Syrenjusza* „do Wenusa” pobu-  
dzały. Więc *Siennik* w swym „Herbarzu”  
wyróżnia dwa, że tak powiemy, przenosząc  
rzecz na stosunki współczesne, gatunki  
*lubszczka: lubszczek swojski (Leuisticus)*  
i włoski *Lubszczek (Lugusticum)*; działanie  
więc *lubszczka swojskiego* jest według *Siennika*  
następujące: „wino w którymby wrza-  
ło korzenie *Lubszczykowe* z nasieniem iego,  
iesth dobre ku piciu naprzeciwno zatłaniu  
śledziony i też wątroby z zimney przyczy-  
ny, a gdy ie uwarzysz w prostey wodzie  
tedy ona woda będzie dobra tym człon-  
kam naprzeciwno tym chorobom, które po-  
chodzą z zimney przyczyny...”

Też proch z nasienia *lubszczykowego*  
zmieszany z prochem cynamonowym, z pro-  
chem gałganowym, y też *Reupontici*, a z tych  
prochów a z cukru uczyni troiā, a przymie-  
szay iey w karmiach swoich, abowiem bo-  
leść żołądkowe y inszych wnetności y śle-  
dziony oddala y wypędza, *Platearyusz* po-  
wiada. „Własność korzenia y nasienia —



*Magnes wyciągający gwoździe z okrętu*  
(Z *Herbarza Siennika*)

zaś *lubszczeka włoskiego* — iest zagrze-  
wająca, cirpnąca, boleść wątroby leczy.  
Też naprzeciwno ukąszeniu gadowemu ma  
moc... żołądek zagrzewa y wiatry w nim  
trawi y rozpędza. Wiele ludzi w dalekich  
stronach nasienia tego *lubszczyku* miasto  
pieprzu używają, a zwłaszcza w *Liguryey*”.

Więc tylko przeciw śledzionie, ukąszeniu  
gadowemu, wiatrom żołądkowym i innym,  
które z rozmaitych względów trzeba było  
zamienić kropkami, a o pobudzeniu chociaż  
ku „jurności” nic, ani słowa. Podobnie nie-  
winnie przedstawiają się zastosowania le-  
karskie u *Syreniusza*. Najrozmaiciej przy-  
rządzony w postaci wina, wódki, soku, ma-  
ści, oleju z nasienia, soli, konfektu zale-  
ca on *Lubczyk* w przeszło stu dwudziestu  
„mocach y skutkach” dla takich chorób, jak  
zamulenie i zatłkanie śledziony i wątroby,  
przeciw truciznom i iadom, sercu młdemu,  
żółtacze, morowemu powietrzu z górach  
*Kruszcowych* dla „kopaczów *kruszców*”,  
„artretyce”, „zmazom na ciele”, wrzodom,  
krostom, kaduku, róży piekielney y innym  
mniey przystojnym. A choć na końcu już  
poza radami, *Syreniusz* nazwę *lubczyk* wy-  
prowadza „od *Lubości*, do której cielesność  
wzbudza”, to daje zastosowanie w tej mie-  
rze tylko jedno i to choć ważne, niemniej  
niewinne. Pod nagłówkiem bowiem „*Ma-  
gia*” czytamy: „To ziele gdyby wcale było

ze wszystkim, to jest: z nacią, z korzeniem, z nasieniem, y z kwieciami kopane, pierwsze-go dnia Października, o szóstey godzinie na dzień, zwłaszcza gdyby Wenus w dziewiątym stopniu Panny, znaku niebieskiego, Merkuryusz w pierwszym a dwudziestym stopniu; Mars w dwudziestym ósmym stopniu; w domu dwunastym byli, żeby ieno Niedźwiadek niebył w ognie smoczym, albo blisko niego. Wielkie y znamienite skutki czyni: w małżeństwie roztyrki y niezgody w nim równayac".

Więc znów tylko przeciw zamuleniu śledziony i wątroby, przeciw „roztyrkom małżeńskim” a o „Wenusie” nic ani słowa. Tak *włoski koperek* ma więcej mocy niż *lubczyk*. Również znajdujemy u *Syrenjusza* nazwą *lubczyk* obdarzoną jeszcze *dzięgielnicę* „od lubczyku, do którego ieszczepodobniejsza, albo radniey od lubości, którą białęgłowy za używaniem korzenia tego mają do mężczyzny”; *lubczykiem* również nazywano *dzięgiel włoski* albo *arabski*.

*Syrenjusz* jest niejako ostatnim naszym autorem przyrodniczym epoki odrodzenia. Zapanował później w nauce chaos, a właściwie mówiąc, brak było przez jakieś półtora wieku poważnej literatury przyrodniczej, która byłaby odbiciem rozwijających się na Zachodzie nauk XVII i XVIII stulecia. Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, spotykamy się ze znakomitemi pracami najwybitniejszego przyrodnika tych czasów, Proboszcza Ciechanowickiego *X. Kluka*; w jego słynnym „Dykcjonarzu roślinnym” (1786 rok) znajdujemy oprócz opisów roślin, odpowiadających zresztą ówczesnym opisom na Zachodzie, również i rady lekarskie; o *lubczyku* *X. Kluk* pisze: „dawniey — roślina ta — wchodziła w lekarstwa, terazniejsi zaś Lekarze rzadko iey zażywają” Że jednak *lubczyk* był używany i później, dowodzi następujący ustęp z raportu (1838 r.) Dyrektora Ogrodu botanicznego i Profesora Uniwersytetu Królewskiego w Warszawie, *Szuberta*: „na użytek domowy lekarski dostarczono w tym roku bardzo często nawet dla osób dystygnowanych ziela z *Lubczyka*”. W lekach zaś ludowych jeszcze w zeszłym stuleciu, a może i dzisiaj, był używany jako środek na ból zębów, ból gardła, na zawalnicę (nabrzmienia i wrzody na szyi); prócz tego: „poświęcony

na Matkę Boską Zielną, dają jeść chorym gęsiom”. Używano go i do gusień w Zakopanem, co przytaczamy podług *Gustawicza*: „dobry na odpędzenie uroków. Ukrusza się go kawałek z innem zielem święconem i kadzi człowieka, który winien dym w sobie polknąć. Najlepiej kadzić z stępki, co w niej sól tłuka, a po kadzeniu rzucić ją, aby się przewiertła”.

W medycynie współczesnej używa się, jako *Radix Levisici* na opuchlinę wodną.

W południowej Europie służy *lubczyk* jako przyprawa do zup lub pieczeni; młode pędy w Piemontie są używane jako jarzyna. Prócz tego *lubczyk* jest głównym składnikiem t. zw. „*Maggi*”. Że jednak i tu *lubczyk* nie odpowiada swej nazwie, dowodzi fakt, że mimo tego, że „*Maggi*” jest w powszechnym użyciu — miłość nie może zapanować wszechwładnie na świecie.

Legenda o „zielu miłości” jest prawdopodobnie odwieczną, jak odwieczną jest miłość. Ze względu jednak na pewną zrozumiałość drażliwość sprawy nie wiele o tej legendzie możemy powiedzieć; któraż bowiem dziewczica przyznałaby się do tego, że zyskała sobie kochanka nie siłą swych wdzięków przyrodzonych, lecz użyciem czarów albo napoju miłosnego. Żadna z naszych rodzimych roślin nie została w tym względzie tak uwieczniona legendą, aby przeszła z tem do tradycji i do historii. Mógłby do tego pretendować *lubczyk*, gdyby nie to, że jest rośliną nie naszą, lecz do nas sprowadzoną gdzieś między XII i XV wiekiem w celach leczniczych, a być może dla swej legendy. Nietylko nie naszą jest ta roślina, ale i jej nazwa według, nieubłaganego twierdzenia lingwistów, pochodzi od staro-niemieckiej *lubesteca* albo *liebsteche*; ta zaś, jak mówiliśmy, powstała od pierwotnych nazw łacińskich *Leuisticum*, *Lubisticum* lub z greckiego *ligystikon*; nasz *Syrenjusz* wywodzi go od *Leuisticum*, pisząc: „naszy też Polacy od tegoż słowa łacińskiego nazwisko mu dali, niektóre tylko litery odmieniwszy, *Lubczyk*”. Nazwa ta, zresztą rozpowszechniła się po całej słowiańszczyźnie: na Ukrainie nazywają go *lubistek* lub *lubystoczek*, w Rosji *lubistok*, w Czechach *lubička*; wszystkie te nazwy mają więc te wspólne źródło z Zachodu lub Południa. Również



francuskie *Livèche* angielskie *Lovage* pochodzą od łacińskiego *Leusticum*. Z tak powstałymi nazwami powędrował *lubszczyk* albo *lubczyk* do herbarzów XVI i XVII wieku. Mimo to, że te dzieła są przeważnie kompilacjami lub jak herbarz *Siennika* wprost tłumaczeniami, to jednak gdyby *lubczyk* był wtedy używany dla wzniecenia ognia miłosnych, niewątpliwie byłoby w tych dziełach, a przedewszystkiem u *Syrenjusza*, który nazwy i rady brał i od ludu, przytoczone. Jak już jednak widzieliśmy, *Syrenjusz* zupełnie nie poleca *lubczyka* dla spraw „Wenus”, a zdanie, że nazwa „lubczyk” pochodzi od lubości do której cielesność wzbudza” jest raczej próbą ligwistycznego rozwiązania” nie odpowiadającego rzeczywistości; równać zaś w małżeństwie „niezgody i roztyrki” znowu tak bardzo z *lubczykiem*, jako ewentualnem „zielem miłości” nie ma związku. Z drugiej zaś strony herbarze nasze wieku XVI i XVII były bardzo rozpowszechnione i popularne; bowiem „właśnie w tych czasach, kiedy bez doktorów i aptek ratowano się prostymi i domowymi środkami” herbarze po domach szlacheckich były używane jako jedyne przewodniki lekarskie. Najprawdopodobniej więc najrozmaitsze rady, czary, gusła przyswojone z obcych dzieł, szły z domów szlacheckich do chat wieśniaczych, a tam o ich przyjęcie w tych czasach nie było przecież tak trudno; szedł więc, był sadzony, tam gdzie przedtem o nim nie wiadano, i *lubczyk* dla swych właściwości lekarskich, a kto wie, może dla innych, bardziej pojętych, związanych z nazwą. Czy więc odwieczna legenda o „zieldu miłości” przeniosła się u nas na oficjalny *lubczyk*, czy były jakieś w tym kierunku czynione próby, czarów, napojów miłosnych, amuletów trudno powiedzieć; z dostępnych mi herbarzów i literatury raczej mogłem wywnioskować, że *lubczyk* nie odpowiadał swej pojętej nazwie i legenda o „zieldu miłości” do niego przylgnęła w słabym stopniu. Jest wysoce prawdopodobne, że mianem *lubczyka* i to stworzonym od słowa lubić, tu i owdzie obdarzano rośliny inne, swojskie, polskie, może bardziej efektowne i poetyczne, aniżeli nasz hodowany w ogródkach *lubczyk*, pokrewny *kminkowi* lub *pietrusce*. Obok bowiem *lubczyka*, jako zioła „uży-



*Lubczyk w małżeństwie „roztyrki y niezgody” równa*

wane w miłosnych stosunkach” wymieniają (według *Gustawicza*): *bratki*, których sokiem w okolicach Kołomyi „dziewczęta chcące się przypodobać i rozkochać kogo, smarują sobie brwi... pewne, że ulubiony je pokocha” <sup>1)</sup> dalej wymieniają naszą *leszczynę*, *przestęp*, *paprociowy kwiat*, *nasieźrzał* i inne.

Zbyt poetyczna a zbyt może nawet życiowa jest legenda o „zieldu miłości”, aby nie przeszła do tradycji i pieśni ludowej. Mam to jednak wrażenie, że w pieśni ludowej owe „ziele miłości” jest traktowane raczej jako symbol, aniżeli jako konkretna roślina. Przepiękna zwłaszcza i pouczająca jest zwrotka pieśni ukraińskiej:

<sup>1)</sup> Podobną legendę spotykamy w *Szekspira* „Śnie nocy letniej”:

„A jam (Oberon) uważał gdzie padł grot  
kupida,  
Padł na kwiat drobny, wprzód jak mleko  
biały,

Teraz miłości raną purpurowy —  
Dziewice zowią te kwiatki bratkami.  
Znajdź że mi taki, jam ci go raz wskazał,  
Sok zeń spuszczone na śpiące powieki  
Mężczyzn czy niewiast, każe im miłować  
Twór, który najpierw ujrzą po ocknieniu”  
(Akt II, scena II).

„Czy w lubystku ty kupausia,  
Szczu ty meni spodobausia!

Na co młodzian odpowiada:

„Ni w lubystku, ni w liszczyni  
Spodobausia jak diwczyni!“.

A więc nie wyrafinowanie, ale pewne niedowierzanie, niepokój w pierwszych chwilach budzenia się świętych ogni. I zbudzi się żywiołowa, niespokojna, nieubłagana jak fale morskie toczące się naprzód, miłość i to drogą uroku przyrodzonych przymiotów, drogą wyzwających się gdzieś z za światów czarów, a nie „szukając po lesie, po górach i skałach ziela miłości, rzęsy wiecznej albo nocnego cieniu“! Lecz jeśli ukochany zawiedzie, zwróci się w inną, bardziej nęcącą stronę, to czyż warto odwracać jego „Wenusa“ drogą czarów i upojnych ziół?

Wymieniona piosnka wskazuje, że owo „ziele miłości“ miało raczej zastosowanie w pierwszych chwilach budzącego się uczu-

cia. Później, rzecz oczywiście, szła sama przez się i *lubczyk* był zbyt czyny. Być może, że to charakteryzuje moralność dawnych czasów; dzisiaj bowiem należałoby stworzyć prawdopodobnie oddzielne kategorie *lubczyków*, a więc *lubczyk* dla dziewic, półdziewic, rozwódek i separatek. Jednak w danym wypadku obecnie *lubczyk* został zastąpiony rzeczą bardziej skuteczną, jaką jest dancing.

Wśród dumnych malw, złocistych tarcz słonecznika na tle bielonych chat wędnie tu i owdzie w sadach samotny *lubczyk*. Dziś rzadko kto użyje go bezpośrednio na zamuloną wątrobę, śledzionę albo na wiatry w żołądku. Między *lubczykiem* i cierpiącym stanęła apteka i doktor; najwyżej jakiś lekarz starszej jeszcze daty zapisze cierpiącemu na opuchlinę wodną pigułkę *Radix Levistici*. Nie użyją go również do innych, cudownych, celów. Wraz z epoką dancingu kończy się cudna legenda o „ziele miłości“.







Szanowna Pani!

Proszę mi wspaniałomyślnie wybaczyć sposób, w jaki się do Pani zwracam. Nie posiadam jednak ani jednej z tych danych, które umożliwiłyby mi zwrócenie się do Pani imiennie i pod właściwym adresem. Innymi słowy: nie wiem ani jak się Pani nazywa, ani jak Pani na imię, ani gdzie Pani mieszka. Korzystam więc z łam niniejszego najpoczytniejszego w Polsce miesięcznika w tej błogiej nadziei, że tych moich słów kilka dojdzie rąk Szanownej Pani.

Nie ryzykuję wszakże nic. Trochę czasu i jeszcze mniej papieru. Głupstwo!

Za to co za niewypowiedziane zadowolenie odczuwam, przypominając Pani to małe nieporozumienie, które się Jej w mojej obecności kiedyś przytrafiło.

Zaprawdę powiadam Pani: niema nic przyjemniejszego nad śmiech z małych nieporodzeń ludzkich. Wszak to nikomu krzywdy nie przynosi, a temu samozwańczemu Satyrowi daję taką niewypowiedzianą rozkosz. Czemuż więc jej nie zaznać?!

Zasmuca mnie wszakże jedna myśl.

Poznaawszy siebie w moim liście, rzuconym tak na łaskę Opatrzności, zada sobie Pani może pytanie, czym się ja właściwie powoduję, że ni stąd, ni zowąd piszę do Pani list? Czy nie jest w tem ukryty jakiś podstęp, jakiś szantaż, jakaś naprzykład chęć nawiązania bliższych nieokreślonych stosunków drogą zagrożenia wykrycia czegoś, co gdzieś, jakoś się stało?

Otóż żeby z góry tym krzywdzącym mnie niecnym przypuszczeniem zapobiec, oznajmiam Pani wprost, że nie.

Nie kieruje mną ani chęć zysku, ani chęć nawiązania bliższych stosunków, ani (proszę mi wybaczyć szczerze) afekt.

Ot poprostu chcę Pani powiedzieć, że to, co kiedyś między nami zaszło, nie uszło bez śladu z mojej pamięci i pozostało w niej ze wszystkimi najmniejszymi szczegółami.

A prócz tego chcę się pośmiać z Pani zakłopotania, bo, jak rzekłem, lubię rolę podpatrującego Satyra.

Może Pani wzruszy ramionami i uzna, że mam dziwne upodobania.

Cóż zrobić! Co dla Pani może być dziwne i śmieszne, to dla mnie właśnie może być ciekawe i podniecające. Wszak ludzie tak się różnią swojemi upodobaniami!

Pozwoli więc Pani, że nie zwrócę na Jej wzruszenie ramionami uwagi i poproszę Jej o zgodzenie się z losem no i... z istnieniem takich dziwaków, jak ja.

Żeby zaś dać Pani możność łatwego zorientowania się w sytuacji i odnalezienia wśród wielu faktów, które się Pani od owego czasu zdarzyły, wątku treści, opowieść moją zacznę od samego początku tj. od chwili, kiedy Panią ujrzał po raz pierwszy.

Tak więc... rozpoczynamy.

\*

Proszę się łaskawie przenieść myślą w lato roku Pańskiego 1923-go do Lwowa.

Jeżeli się nie mylę, lata owego, korzystając z wakacji, robiła Pani krajoznawczą wycieczkę po Polsce, no i naturalnie zawiadziła Pani o „semper fidelis” Leopoldis.

Spędziła Pani w tym pięknym grodzie kilka dni i już miała Pani zamiar kupić sobie powrotny bilet kolejowy, gdy raptem opromieniła Panią genialna myśl.

— Wyłamać się z pod szablonu, zrobić coś nadzwyczajnego, zadziwić świat i zaznać wrażeń. Zamiastjechać, jak Pan Bóg przykazał, koleją — polecieć aeroplanem. Stare ciotki się zbudują, starym wujom pospadają z nosów okulary, wśród sąsiadów rozejdzie się tajemnicza wieść: „puściła się z lotnikiem”, ale co to może kogo obchodzić wobec tak nęcącej eskapady.

To też, niewiele zastanawiając się nad skutkami swojego przedsięwzięcia, kupiła Pani bilet bezpośredniej komunikacji powietrznej Lwów — Warszawa i pewnego pięknego poranka znalazła się Pani w holu Hotelu George’a tj. w punkcie zbornym wszystkich lotniczych pasażerów.

[Mam w tem miejscu nieprzepartą chęć przypomnienia Pani daty owego dnia. Nie czynię jednak tego z tego względu, że osoby, otaczające Panią, zestawivszy daty, mogłyby się łatwo domyślić, że tu właśnie o Panią chodzi i wówczas Pani alibi byłoby skompromitowane. Datę tę jednak dokładnie pamiętam].

Było nas wówczas w holu ogółem trzy osoby: Pani, jakiś pan, który jak się

później okazało był Holendrem i leciał przez Warszawę do Gdańska, i ja.

Muszę się Pani przyznać, że podczas naszego oczekiwania na samochód, który miał nas zawieźć na lotnisko, uważnie się Pani przyglądałem. Ponieważ zaś byłem wówczas młody i pełen wigoru, więc też interesowały mnie nie tyle Pani wartości intelektualne, co Pani wygląd zewnętrzny. Innemi słowy zadałem sobie fachowe pytanie: ładna, czy brzydka? Koczkonon, czy cukierek?

Przyznać muszę, choć boję się wybuchu Pani namiętnej wściekłości, że obserwacje nie wypadły zbyt na Pani korzyść. Słowem, zaliczyłem Panią do kategorii koczkononików. Powiedziałem sobie jednak, że „w braku laku dobry i oplatek”, a „na bezrybiu i rak ryba” i zważywszy, że w naszej podróży na Pani zaczynał się i jednocześnie się kończył cały wybór podróży poci pięknej, postanowiłem Panią obrać za ofiarę mojej napastliwości i w tym celu zawrzeć z Panią znajomość.

Że los złośliwie ze mnie zadrwi, o tem nie myślałem, gdyż zwykle w moich m. w. towarzyskich stosunkach z niewiastami rzadko miałem do czynienia z losem, częściej zaś z przypadkiem.

Obserwacje moje nie trwały zbyt długo, gdyż wkrótce zajeżdżał samochód i po kilku minutach podróży znaleźliśmy się koło samolotów.

Tu przyłączył się do nas czwarty pasażer, jakiś pan wyznania wybitnie mojżeszowego, ubrany w skórzane palto, skórzany hełm i duże szklane okulary tj. według wszelkich wymagań sportu lotniczego, albowiem narażając swoje cenne życie w podróży pod obłokami, chciał zaznać maximum wrażeń lotniczych i w razie (nie daj Boże) czego w odpowiednim stroju stanąć przed obliczem potężnego Jehowy.

Miejsc w naszym samolocie było pięć, nie licząc pilota.

Pani, jako przedstawicielka poci pięknej, lecz słabej, przysługiwało pierwszeństwo przy wyborze miejsca, z czego też Pani nie omieszkła skorzystać, zachowując sobie prawą stronę tylnej kanapki.

Ja, jako wojskowy lotnik, podróżujący z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych, czułem się na lotnisku panem i, nie



robiąc sobie wiele z reszty pasażerów, zająłem drugie miejsce na tej samej kanapie, tj. po Pani lewicy.

Holendrowi zostawiliśmy fotel naprzeciwko nas.

Żydowin w skórzanym palcie zajął miejsce koło pilota, gdyż tam właśnie mógł zaznać najwięcej wrażeń lotniczych.

Czwarte miejsce w kabinie pozostało wolne i na niem złożono nasze bagaże.

Tak więc byliśmy rozlokowani w samolocie i połączeni przez los na kilka godzin wspólnej podróży.

O g. 9-ej rano nastąpił odlot.

Samolot był bardzo obciążony, gdyż ładunek jego stanowiło czterech dużych mężczyzn (z pilotem) i jedna niewiasta tj. Pani, która mimo przynależności do płci pięknej nie sprawiała wrażenia zbyt eterycznej. (Trudno! I takie się zdarzają). To też mimo, że motor działał zupełnie dobrze, samolot długo nie chciał oderwać się od ziemi i z zatrważającą szybkością toczył się ku granicy lotniska, którą stanowiły: głęboki rów i druciane zasieki, pozostałe jeszcze z wojny 1920-go roku. Był więc pewien moment, że groziło nam prawdopodobieństwo podróży do Nieba, a w najlepszym wypadku do szpitala, zamiast podróży do Warszawy, albowiem w razie, gdyby samolot nie zdążył oderwać się od ziemi i zaczęłyby się kołami o te druty, nastąpiłoby wywrócenie się do góry nogami, czyli t. zw. kapotaż, a my pasażerowie znaleźlibyśmy się pod szczątkami samolotu.

Przypominam sobie dokładnie, że moment ten jaknajśreżerzej wykorzystałem, żeby spotęować Pani wrażenie niebezpieczeństwa podróży powietrznej. Schwyciłem Panią za rękę i nerwowo ją ścisnąłem, utkwivszy jednocześnie oczy w pędzący na nas rów.

Przy tej sposobności „ubiłem jednocześnie dwa zajace”. Po pierwsze: pokazałem Pani, że ja, jako lotnik, lepiej się znam na lotnictwie niż Pani i wiem czego i kiedy należy się obawiać, po drugie: trzymałem Pani rękę w swojej ręce i w ten sposób zdobyłem pierwszą pozycję w mojej akcji zaczepnej, w której Pani była urojona twierdzą.

Do tych moich ówczesnych myśli mogą się dziś śmiało przyznać, gdyż należą one

do przeszłości, od której dzieli nas trzy długie lata.

Mój prawdziwy czy też robiony strach wkrótce minął i po kilku chwilach znaleźliśmy się w powietrzu.

Dzień był ładny, słoneczny i podróż zapowiadała się bardzo dobrze.

Siedzieliśmy wygodnie rozparci na naszej kanapie.

Huk motoru, przygłuszony ściankami zamkniętej kabiny, nie przeszkadzał rozmowie.

Pani, jako lecąca po raz pierwszy, napawała się wrażeniami, ja, wziąłem na siebie obowiązki opiekuna i przewodnika, wprowadzającego Panią w nieznany dla Niej świat lotniczy.

(Nawiasem mówiąc, rola ta była mi bardzo na rękę).

Holender wyjął gazetę „Amsterdamske Tidende” (z niej to dowiedziałem się, że był to Holender) i zaczął ją czytać.

Powietrze było ciche i samolot leciał tak mgły i samolot zaczęło, wyrażając się określeniem lotniczym; „rzucać”.

Dla mnie, starego lotnika, było to zabawką. Ileż to razy rzucało mnie o wiele silniej, zawsze jednak sprawiało mi tylko przyjemność. Nie przypuszczałem więc, żeby na Państwa tj. na Panią i na Holendra mogło to rzucanie podzielać ujemnie.

A jednak! Inną jest widocznie natura lotnika, a inną natura cywila. Cóż zrobić! Widać i tacy (cywile) są na coś potrzebni.

Rzucanie to polegało, jak Pani sobie prawdopodobnie przypomina, na tem, że samolot raptownie opadał całym swoim korpusem prostopadłe w dół, jakby tracąc wszelkie powietrze pod skrzydłami. W tym momencie serce w człowieku zamiera, żołądek podchodzi pod serce i chce je wypchnąć przez gardło. Uczucie to jest nadzwyczaj miłe i emocjonujące, o ile powtarza się raz jeden. Jeżeli zaś takich zapadnięć się w próżnię zdarzy się raz po raz kilka lub kilkanaście, wówczas zachwyty dziwnie prędko znika i ustępuje miejsca spokojnie, jakgdyby się toczył po najrówniejszym asfalcie.

Po kilkunastu jednak minutach lotu, gdyśmy się podnieśli na jakie dziewięćset — tysiąc metrów, sytuacja atmosferyczna zaczęła się zmieniać. Pojawiły się oddzielne



*niespodziewanym ruchem sięgnął do kieszeni*

obłoczki, ziemia oblokła się tumanem szarej wielkiej niedyspozycji żołądkowej zwanej delikatnie po francusku „mal de mer” a po prostu po polsku podróżą do Rygi (dlaczego nie do Helsingforsu albo Rewla — nie wiem).

Tak więc początkowa przyjemność rzucania mogła być w skutkach oplakana, co się też, jak to Pani zaraz przypomnę, stało wkrótce z Holendrem.

Pani i ja siedzieliśmy spokojnie na kanapie i napawaliśmy się wrażeniami: Pani — widoku i rzucania, ja — obserwowania Pani. Holender czytał gazetę.

W pewnym momencie obejrzał się ku mnie i spojrzał porozumiewawczem i pełnym rezygnacji wzrokiem. Był bardzo błady. Szukał w moich oczach współczucia i pomocy.

Wtem, niespodziewanym ruchem sięgnął do kieszeni i wyszarpnął z niej chustkę.

— Oho! pomyślałem sobie. — Zaczyna się.

Zamknąłem na chwilę oczy, a gdym je otworzył, głowy Holendra już nie zobaczyłem, gdyż była wtulona w sam róg kabiny i tworzyła wraz z kolanami jeden bardzo wykrzywiony znak zapytania. Usłyszałem natomiast przytłumiony kaszel.

— Mój Boże! — pomyślałem sobie. — Cóżby to był za bogaty kraj ta Łotwa, gdyż

by wszyscy ci, co jadą do niej symbolicznie, jechali na prawdę!

Spojrzałem na Panią. Obserwowała Pani pilnie okolicę i udawała, że nic nie widzi, co się dzieje w kabinie.

A okolica rzeczywiście warta była oglądania: płaska, jednostajna, szara, bez ani jednego strumyka, ani jeziora, a w dodatku ledwie widoczna przez popielatą mgłę.

Dla laików lotniczych był to cudowny widok. Laikom nie dużo potrzeba do zachwyty. Ja — byłem odmiennego zdania, choć, rzecz prosta, nie zdradzałem tego wobec Pani i głośno podzielałem Jej zachwyty.

Zaproponowałem Pani sfotografowanie tej pięknej okolicy.

Chętnie Pani przystała.

Zaczęliśmy więc fotografować.

Ciekaw jestem czy wyszły te zdjęcia? Zrobiliśmy ich zdaje się trzy: jedno okolicy, drugie Pani na tle kabiny samolotowej, i trzecie mnie. Ma więc Pani możność przypomnienia sobie jak wyglądał Jej ówczesny towarzysz podróży, a obecnie autor niniejszego listu. Jest to dowód rzeczowy, na którym, jeśli wola, może Pani wyrzucić swoją złość.

Czas płynął nam szybko jak lot naszego wehikułu. Siedzieliśmy nachyleni ku sobie tak blisko, że wewnętrzne boki naszych ciał wzdłuż całej linii od góry do dołu szczelnie do siebie przylegały.

Jak mi było dobrze i słodko! Ja — na tysiąc metrów nad ziemią na wygodnej kanapie, wokół mnie mgliste opary grzesznej ziemi, a obok mnie sam grzech, czyli kobieta, choć nie piękna, ale zawsze kobieta.

Rzucało jednak coraz bardziej.

Holender wyjmował z kieszeni dwunastą chustkę. (Zaprawdę ten człowiek miał cały magazyn chustek). My nachyleni ku sobie rozmawialiśmy o wrażeniach lotu, wyrażając głos, żeby zagłuszyć huk motoru.

W pewnym momencie Pani raptem urwała zdanie i szybko odwróciła głowę do otwartego okienka.

— Aha, — pomyślałem sobie — i ona też! Szlagby cię babo trącił. Ładnych mam towarzyszy podróży.

Zrozumiała Pani widać moje myśli, gdyż



wymownie machnęła mi Pani ręką jakby mówiąc: „Pogódź się pan z Iosem”.

Sytuacja stawała się groźną. Nie było arcy przyjemnie być otoczonym pasażerami, lecącymi do Rygi, kiedy się samemu leciało do Warszawy. Między ludzi, których nie łączy wspólność celu, wkrada się zawsze niechęć. Wpadało mi więc we własnym interesie jakoś na też okoliczność zareagować albo biernie — odwróciwszy głowę do drugiego okienka, albo czynnie...

Wybrałem to ostatnie.

W tym celu postanowiłem oddziaływać na Pani ambicję.

— Jak można być tak słabą — rzekłem. — Wszak ma Pani wolę, która jest właśnie po to, by w miarę potrzeby powstrzymać naturalne popędy. Wszak Indusi panują nad swoim sercem, powstrzymując jego bicie, więc Pani może zapanować nad swoim żołądkiem, powstrzymując jego tendencje wybuchowe. Wszak Pani, przyzwyczajona do panowania nad hałasem szkolnej młodzieży, może zapanować nad sobą samą. (Zapomniałem dodać, że zwierzyła mi się Pani przedtem o swojej przynależności do świata pedagogicznego). Trzeba wziąć się w karby i nie dać się niemocy. Trzeba powiedzieć sobie, że jest się panią wszystkich bez wyjątku swoich czynów, więc też żadna moc odśrodkowa nie może zmusić Panią do podróży do Rygi, kiedy Pani zamierza jechać do Warszawy. Trzeba...

W tem miejscu przerwała Pani potok mojego krasomówstwa i spojrzała na mnie bardzo wymownie. Twarz Pani zbłądła, oczy wykazały chęć wydostania się ze swoich orbit, dolna warga wyduła się i opadła na dół. Nie wyglądała Pani zbyt pociągająco! Nie! Wręcz przeciwnie! Okropnie...

Wtem podskoczyła Pani na swoim miejscu i jednym raptownym ruchem wpadła Pani głową i górną częścią swojego niewieskiego tułowia w otwarte okno.

Zrozumiałem, co ten ruch miał znaczyć.

Zrozumiałem również, że wszystkie moje przemowy na nic się nie zdały, gdyż były za słabe wobec Pani potężnej natury.

Zrozumiałem całą bezcelowość mojej taktyki. Stosowałem perswazję tam, gdzie należało stosować środki radykalne, natychmiastowe.

Ale co ja biedny chłopiec mogłem po-

cząć? Nie miałem ani jednego z uznanych środków medycznych, ani cytryny, ani koniaku. Jakże więc mogłem zapobiec katastrofie?

Bóg mi świadkiem, że robiłem wszystko, co było w mojej mocy. Dziś nawet żaluję mnie ogarnia na samo wspomnienie moich wysiłków.

Wszystko jednak było na próżno. Nieuniknione rozwiązanie zbliżało się z zatrważającą szybkością.

Raptem genialna myśl oświeciła mój ciemny i zmęczony mózg.

— Eureka! — krzyknąłem w duchu, żeby Pani nie przerazić. — Znalazłem. Jeśli i to na tę babę (t. j. niby na Panią, bo „eureka” to nie znaczy baba) nie podziała, to niech się dzieje Wola Boża.

Natychmiast wziąłem się do czynu.

Jak wspomniałem, całą swoją główkę, szyjkę i wydekoltowany karczek wsunęła Pani, w przystępie wewnętrznej tragedji, w otwarte okno. Główkę Pani schyliła i lada chwila miało nastąpić to, czego się tak obawiałem. Dla mnie siedzącego we wnętrzu kabiny widocznym pozostawał tylko ów wydekoltowany, gładki i pociągający karczek.

On to natchnął mnie genialną i zbawczą myślą. Na niego też skierowałem całą moją uwagę.

A był już najwyższy czas. Trzeba było działać błyskawicznie.

Zerwałem się więc z mojego siedzenia, wezwałem na pomoc całe moje minione doświadczenie, przeżegnałem się na wszelki wypadek i z całym impetem... pocałowałem Panią w ów pikantny karczek.

Przewidywania moje nie zawiodły mnie. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwania. Pani jakby rozpalonem żelazem tknięta, z piśkiem, wobec którego huk motoru wydawał się szeptem, wnet zapomniała o swoich wybuchowych zamiarach i jak tygrysica rzuciła się na mnie. Twarz nabiegła Pani krwią, oczy złowieszczo się przymrużyły, wargi wykrzywił jakiś wściekły skurcz.

— Jest pan, jest pan, jest pan beczcelny — zasyczała Pani, ledwie dysząc. — Jak pan śmiał!

Jak ja śmiałem? Mój Boże! Czegóż człowiek nie robi z musu!!

Nie przelekły mnie jednak te straszne słowa.

Podjąłem się ciężkiego zadania, więc musiałem je doprowadzić do końca. Prócz tego miałem doświadczenie, które mnie uczyło, że aby środek był pewny — należy go powtórzyć. Niestety, nie mogłem skutecznie tego w sposób poprzedni, gdyż odwróciła się już Pani do mnie twarzą i karczek stał się dla mnie niedostępnym. Miałem więc o wiele trudniejszy orzech do zgryzienia, albowiem obiektem medyczno - pocałunkowym przestał być ślepy kark, zaś stała się błyskająca wścieklemi źrenicami twarz.

Niewiele jednak myśląc, postanowiłem działać od przodu.

— Bogowie, dopomóżcie mi! — krzyknąłem w duchu.

Nieoczekiwanym dla Pani ruchem schwyliłem rękami Pani głowę i ustami moimi wpiłem się w Pani usta.

Zadrżałem przytem. Przez głowę przeleciała mi myśl:

— Jak możesz, człowieku, popełniać taki nieczny czyn. Ty, któryś pocałunkami swemi tylko najpiękniejsze darzył usta, jak możesz czynić coś podobnego? Jak możesz świętość twoich warg kalać takim eskulapskim procederem, i to w jakiej chorobie?! Jakżeś upadł nisko, ty... esteto!

Tak myślałem, ale jednak nie odrywałem ust moich od Pani ust i piłem z nich ich zatrutą słodycz, mimo Pani konwulsyjnych drgawek i wymachiwania rękami.

Pośredniem stosowałem mój środek aż do samego końca.

\*

Długo trwaliśmy w tym leczniczym uścisku.

Powoli, stopniowo ucichał Pani pisk, a rozlatane na wszystkie strony Pani członki stopniowo pogrążały się w erotycznej zadumie.

Ucichła Pani wreszcie i bezwładnie opadła na moje ramię.

Spojrzałem na Panią i zacząłem obserwować skutki mojej kuracji. Były zadziwiające. Niemoc żołądkowa znikła bez śladu, a na twarzy wystąpił błogi uśmiech niewypowiedzianego zadowolenia.

Złakłem się.

— Za duża dawka — pomyślałem. — Jeszcze mi kobietę krew zaleje od nadmiaru

rozkoszy. Lepiej już było, żeby się była rozchorowała, niż żeby ją szał miłosny ogarnął. Co wtedy — biedny i niedoświadczony młodzian — pocznę? gdzie się ukryję, gdzie ucieknę od jej rozszalałych zmysłów?

Szczęściem jednak nie zdradzała Pani w stosunku do mnie agresywnych zamiarów. Siedziała Pani spokojna, uśmiechnięta, w zadumie przeżywając wrażenia młodzieńczego uścisku.

Oburzenie, wywołane moim pierwszym pocałunkiem w karczek, znikło bez śladu, a na obliczu Pani rozlała się niewypowiedziana słodycz błęgiego zapomnienia.

Było mi jakoś nieswojo. Czułem się tak, jak człowiek, który przesadzi w staranności.

Skruszony odwróciłem od Pani oczy i spojrzałem na Holendra. Siedział wtulony w kąt kabiny z głową opartą na obydwóch dłoniach i ciężko oddychał. Nie patrzył na nas i nie widział na szczęście moich zabiegów, gdyż napewno inaczejby je zrozumiał.

Samolot tymczasem opadał z jednej fali powietrznej na drugą i bujał się, jak rybacka łódź. Na Panią jednak już to nie działało, i tylko Holender od czasu do czasu wydobywał z siebie przytłumiony kaszel.

Przysunąłem się do Pani, ująłem Panią



*Złakłem się... za duża dawka...*





*Od czasu do czasu w oczach błyskał ogień nienawiści*

za rękę i szepnąłem tak, żeby nikt nie słyszał:

— Ja już więcej nie będę. Proszę mi wierzyć, że już więcej nie będę. Niech się Pani na mnie nie gniewa. Ja to przecież tylko dla Pani dobra zrobiłem, nie dla siebie.

Wtem zachnęła się Pani. Rozkoszny uśmiech znikł z Pani twarzy i ustąpił miejsca nieopisanemu zdziwieniu. Czyż Pani zamieniły się w dwa znaki zapytania.

— Co? — wycodziła Pani. — Jak pan powiedział? Jest pan śmieszny. Poczóż pan zaczynał, jeśli pan do końca wytrwać nie może? Dzieciak!... Pfy! — wzruszyła Pani ramionami, — też coś!

Mój Boże! Ona to tak rozumiała!

Zgębiły mnie te wyrazy do reszty. Siadłem w rogu mojej kanapy i w milczeniu patrzyłem na skuloną postać Holendra.

W oddali zamajaczyła Warszawa. W kilka minut mieliśmy być na miejscu.

Wstyd mi było za siebie. Żał mi było Pani.

— Kobieto! Ja chciałem ci być lekarzem, a tyś szukała we mnie amanta. O naiwności niewieścia! Choćbyś w najobszerniejszym przebywała ciele, zawsze się łudzisz, żeś piękna, słodka i powabna. Żał mi Cię, o Pani!

Ze współczuciem spojrzałem Pani w oczy. Nie wyczytałem w nich zrozumienia. Patrzyła Pani na mnie chłodno i z politowaniem. Od czasu do czasu w oczach błyskał ogień nienawiści.

— Gapa! — wycodziła Pani przez zaciśnięte zęby.

Nie... Tego było już za wiele.

— Ona mnie będzie obrażać za moje dobre intencje. Wszak dla Ciebie tylko zro-

biłem to, kobieto. Wszak w żadnym innym razie nie byłbym tego uczynił. A Ty mi taką czarną niewdzięcznością płacisz. Poczekaj-że! Klin klinem.

W tym samym momencie pociągnąłem Panią raptownie ku sobie i rozszalałem z chęci zemsty ustami wpiłem się w Pani wargi.

Co przytem czułem — Bóg jeden raczy wiedzieć. Chęć zemsty panowała nad wszystkimi innemi uczuciami.

Nie wiem, ile czasu trzymałbym Panią w moim wściekłym uścisku, gdyby raptowny wstrząs samolotu nie był nas przewrócił na zgarbione plecy Holendra.

Właśnieśmy wyładowali!

\* .

Uciekłem, nie pożegnawszy się z Panią, i od tej chwili jużem Pani więcej nie spotkał. Pozostała Pani w mojej myśli tylko jako wspomnienie nieopatrzonego pocałunku.

Ponieważ jednak na naturze nic nie ginie bez celu, więc i nasze spotkanie przyczyniło się do wielkiego odkrycia. Dzięki niemu bowiem wynalazłem środek, nad którym od wieków bez skutku głowiło się tysiące mistrzów eskulapij — środek na niemoc ryską.

Nie słyszałem, żeby ktokolwiek stosował go przede mną. Więc sobie przypisuję jego odkrycie i, dbając o dobro powszechne, podaję go do ogólnej wiadomości.

Działa, jak kataplazm — tylko o wiele radykalniej i pewniej. Stosowany może być tylko przez dorosłych. Małżonkowie wyłączeni. Aby jednak środek działał pewnie i skutecznie — wymagane jest zachowanie niektórych warunków, które wyliczę ku ogólnemu dobru:

1-o. Obiekty, biorące udział w kuracji, muszą być odmiennie płci.

2-o. Strona, pełniąca funkcje kataplazmu, musi być płci męskiej.

3-o. Strona bierna, t. j. pacjentka, musi być płci niewieściej, wrażliwa i zupełnie nieświadoma fizjologicznego oddziaływania dotyku ust męskich.

Sądzę, że przy pewnym szczęśliwym zbiegu okoliczności tym trzem warunkom można uczynić zadość. Najwięcej trudności sprawi niezawodnie trzeci warunek. Jednak niech chorzy nie tracą nadziei — wszak i Diogenes nie tracił jej, szukając w dzień z latarką.

\*

Tak więc wyłożyłem Szanownej Pani w moim liście całe zdarzenie w chronologicznym porządku. Zdaje mi się, że nie opuściłem żadnego szczegółu. Ufam niezłomnie, że Szanowna Pani nie będzie miała do mnie żalu, iż wyciągnąłem je z pyłu zapomnienia i podałem w formie drukowanej przed oczy Pani oraz tych wszystkich, którzy list mój przeczytają. Uczyniłem to, nie spytawszy się Pani o pozwolenie. Lecz gdzież miałem Pani szukać?

Proszę więc mi wybaczyc.

Kończę małą prośbą. Jeżeli list mój dojdzie ręk Szanownej Pani i jeżeli Pani pozna w nim siebie, to proszę uprzejmie o skreślenie do mnie kilku słów, dowolnej treści i formy, pod adresem redakcji niniejszego pisma i na moje imię.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

*Jerzy Tereszczenko-Podberewski*

(ilustrował Zaruba)





*Seans Cagliostro z gołębicą*

# Saint Germain, Cagliostro i Casanova jako wolnomularze i alchemicy

Napisał

Stanisław Małachowski-Łempicki

Saint-Germain, Cagliostro, Casanova. Kto nie słyszał o półlegendarnym czarodzieju Saint-Germain'ie, o Wielkim Kopcie Cagliostrze i o najniebezpieczniejszym uwodzicielu Casanowie? Sławni byli za życia, a po śmierci pamięć o nich pozostała jeszcze silniejszą, bo otoczoną nimbem tajemniczości. Przetrwła ona niejedno pokolenie.

Choć napozór różni między sobą, mieli jednak wszyscy trzej dużo cech wspólnych. Przede wszystkim wszyscy trzej byli najwybitniejszymi *chevaliers d'industrie*, jeżeli nie wszystkich czasów, to w każdym razie wieku XVIII. Nie siali, ani nie orali, a chodzili w atlasach, jedwabiach i brylantach, a złota mieli wiele chcąc — bo je sami robili. Co prawda, siadywali też w więzieniach, a Cagliostro nawet w niem umarł.

Oprócz wspólnej zdolności zdobywania pieniędzy miała ta trójka wspólną chęć imponowania, i dlatego wszyscy trzej nosili fałszywe, ładnie brzmiące nazwiska i tytuły. Pierwszy, będąc pochodzenia nieznanego, zapewne Portugalczykiem, przybierał nazwiska hr. Saint-Germain'a, ks. Rakoczego, generała ks. Sałtykowa, margr. Monferat'a... Drugi z urodzenia, syn kupca z Palermo, Józef Balsamo, nazywał siebie hrabią Cagliostrem, hr. Feniksem, hr. Herat'em, margr. Anna, margr. Pellegrini, Belmonte... Trzeci dodał do swego właściwego nazwiska Casanova — tytuł i nazwisko *chevalier de Seintgalt*.

Wszyscy trzej byli też — wolnomularzami. Wolnomularstwo przechodziło różne fazy. Miało okres filozoficzny, patriotyczny, dobrotczywny. Wolnomularstwo drugiej połowy

wieku XVIII w swych stopniach wyższych—różokrzyżowców—pogrążone było w naukach tajnych t. j. w alchemii i magii. W Rosji wielki mistrz Jelażyn szukał słodkiego i drogocennego drzewa żywota, zagubionego z utratą Edenu, a poglądy swe czerpał z mglistych i tajemniczych teoryj różokrzyżowców. W Polsce wielki mistrz hr. August Moszyński, stolnik koronny, był zapalonym alchemistą.

Celem alchemii było wynalezienie kamienia filozoficznego, t. j. sposobu robienia z każdego metalu złota i eliksiru młodości, — płynu, zażywane go kroplami i mającego własność odmładzania człowieka. Alchemik poświęcał swe życie i siły pracy w tych dwóch dziedzinach. Poszukiwanie kamienia filozoficznego przyniosło chemii nieocenione zasługi i stało się zapoczątkowaniem tej nauki. Eliksiru młodości szukają obecnie lekarze.

W łóżach różokrzyżowców strona zewnętrzna była ta sama, co i w zwykłych łóżach, te same symbole, obrządk i katechizmy. W łóż stopnia pierwszego mistrzowi zalecano, aby nie obciążał umysłów braci „wyższą mądrością”, ale dawał do czytania tylko książki treści duchowo-moralnej. Lecz już w stopniu drugim kierowano uwagę brata ku rozpoznawaniu przyrody i rozpoczynała się mowa o chemii i fizyce. W stopniu mistrza mówiono już o alchemii i o jej celu — kamieniu filozoficznym. Nie zapomniano też o magii.

Saint-Germain, Cagliostro i Casanova — wszyscy trzej — szukali kamienia filozoficznego i eliksiru młodości; byli pod tym względem wiernymi synami swej epoki. Czuli też pociąg do magii i wróżbiarstwa. Jednym słowem byli alchemikami i magami, a gdyby żyli obecnie, byłiby cudownymi lekarzami i spirytystami. Wiedzieli dobrze, iż mogą się nauczyć tych tajemnic w wyższych stopniach wolnomularskich i zupełnie instyktownie znaleźli się w łóżach.

Saint-Germain i Cagliostro stali się mistrzami w alchemii. Casanova kpił sobie z tych mądrości, jak wogóle ze wszystkiego, lecz jako człowiek bardzo zdolny i wykształcony posiadał i co do tego dużo wiadomości. Korzystał z nich w życiu, to dla rozrywki, to w chwilach, gdy potrzebował pieniędzy, a potrzebował ich często. Recepta jego na wyrób złota chemicznego przechowała się dotychczas.

Poszukiwania kamienia filozoficznego, choć

były może niedoścignioną mrzonką, stanowiły jednak źródła bogactw nieprzebranych. Doszły do nas wiadomości o bogactwach Saint-Germain'a a Cagliostro też słynął za bardzo bogatego. Casanova tylko był to na wozie, to pod wozem, jako karciarz i hulaka. Pierwsi dwaj daleko więcej myśleli o jutrze.

Lecz nie tylko poszukiwanie kamienia filozoficznego i eliksiru młodości sprowadziło naszych bohaterów do łóż. W łóżach ówczesnych było wielu panujących, książąt krwi, magnatów i osób bardzo wpływowych. Należąc do łóży, brat stykał się z temi osobami, a ze znajomości z niemi wypływała karjera i bogactwo. Nie jest więc przypadkiem, a wynika z natury rzeczy, iż wszyscy trzej znaleźli się w szeregach braci łóżowych.

Czytelnik może pomyśleć, iż byli oni nierozłącznymi przyjaciółmi. Omyliłby się jednak bardzo, w rzeczywistości bowiem nigdy we trzech się nie spotkali. Cagliostro znał dobrze Saint-Germain'a i był jego uczniem, jako o pół wieku młodszy. Casanova spotykał Saint-Germain'a dość często, a Cagliostrowa parę razy, i powiedział mu, iż tak oszukiwać ludzi nie można, bo się to musi źle skończyć.

## I.

### HRABIA SAINT-GERMAIN.

„Nie znałem nigdy szarlatana bardziej dowcipnego, zdolnego i uciészego, jak Saint-Germain”.

Casanova (*Pamiętniki*).

Saint-Germain miał się urodzić w ostatnich latach wieku XVII<sup>e</sup> i był z pochodzenia zapewne Portugalczykiem. Wogóle jednak pochodzenie jego, okoliczności życia i źródła olbrzymich bogactw są niedocieczone. Zjawił się na scenie w końcu pierwszej połowy wieku XVIII we Włoszech, Holandji i Anglii jako posiadający sekret kamienia filozoficznego, robienia brylantów i przyrządzania eliksiru młodości. Twierdził, że żyje już wiele stuleci i pamięta pierwsze czasy ery chrześcijańskiej.

Przybywszy do Paryża, umiał sobie zaszkarbić łaski markizy Pompadour, dając jej eliksir młodości. Saint-Germain opowiadał, iż eliksir jego nie odmładza, lecz osoba zażywając go nie starzeje się w ciągu kilku wieków. W rzeczywistości eliksir ten podzielał na markizę, jeżeli nie na jej powierzchow-



ność, to na psychikę. Zapewniła bowiem swego królewskiego kochanka, iż czuje, że się zupełnie nie starzeje. Chcąc się odwdziżyć, zaprotegowała Saint-Germain'a królowi, a król dał mu apartament w Chambord i 5.000 lirów na urządzenie laboratorium. Według twierdzenia Saint-Germain'a, król dzięki produkcjom alchemicznym miał ożywić działalność wszystkich fabryk we Francji. Król pokazał jednemu z królewskich księży, księciu de Deux Ponts brylant pierwszorzędnej wody wagi 12 karatów, sporządzony według wskazówek Saint-Germain'a. Spławiłem — rzekł Ludwik XV — 24 karaty małych brylantów i z nich powstał ten oto brylant zmniejszony do 12 karatów przez rżnięcie. Z czasem czarodziej zaplatał się w Paryżu w intrygę polityczną i zmuszony był opuścić to miasto. Udał się do Anglii, a stamtąd do Rosji, gdzie zaprzyjaźnił się z braćmi Orłowymi i brał udział w spisku pałacowym, mającym na celu wprowadzenie Katarzyny II na tron.

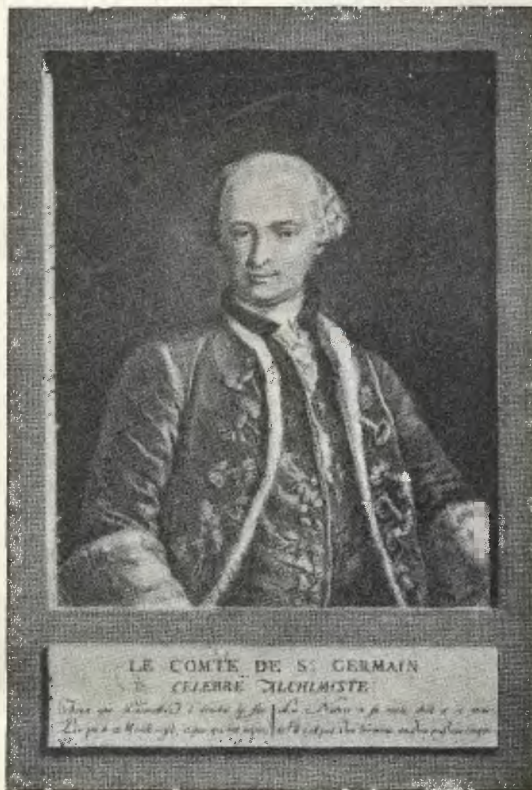
Casanova poznał Saint-Germain'a w Paryżu na obiedzie u markizy d'Urfé i tak opisuje to spotkanie w swych *Pamiętnikach*: „Saint-Germain zamiast jeść mówił bez ustanku od początku do końca obiadu, a ja też zamiast jeść (Casanova lubił dobrze i dużo zjeść i wypić) słuchałem go z wielką uwagą. Był mądrym, mówił doskonale wieloma językami, był wielkim muzykiem i alchemikiem, a nadto miał przyjemną powierzchowność. Mistrzował w podobańcu się kobietom. Dawał im róż i kosmetyki i obiecywał, iż choć ich nie odmłodzi, gdyż miał skromność przyzna-

wać, że tego nie może uczynić, lecz iż zachowa je w stanie terazniejszym za pomocą wody, bardzo drogiej — jak mówił — którą im jednak ofiarowywał. Niezwykły ten człowiek, urodzony na pierwszego oszusta, zapewniał, iż ma trzysta lat, posiada tajemnicę kamienia filozoficznego, czyni wszystko co chce z naturą, a nadto zna sekret przetapiania brylantów i z dziesięciu lub dwunastu

małych tworzy jeden duży tej samej wagi i wody najczystszej. Opowiadał z niewzruszoną pewnością siebie rzeczy niezwykłe i sam jakoby im wierzył, gdyż był zawsze świadkiem naocznym i bohaterem zajścia. Jednakowoż zmuszony byłem wybuchnąć śmiechem, gdy opowiadał o obiedzie z ojcem soboru trydenckiego.

Po latach kilkunastu Casanova spotyka się z Saint-Germain'em w Calais. Zaproszony przez Saint-Germain'a zastaje go w stroju ormiańskim i w czapce śpiczastej. Gęsta i długa broda sięgała mu do pasa, a w rękę

trzymał „małą pałeczkę z kości słoniowej. Obok niego stało około „dwudziestu butelek, ustawionych symetrycznie i wypełnionych przeróżnymi eliksirami. Saint-Germain mówił, iż hr. Cobentzl, minister austriacki dał mu tysiąc florenów i polecił założyć fabrykę kapeluszy. Ofiarował Casanowie buteleczkę eliksiru, zwanego  *powszechnym pierwiastkiem życia*  i powiedział, iż eliksir ten jest wyobrażeniem jadu, zatrującego żyły Casanowy. Kazał mu igłą przekłuć papier, zakrywający buteleczkę, i płyn białawy się ulotnił. Gdy Pan ukuje się w chore miejsce — rzekł



Hrabia St. Germain, słynny alchemik

Saint-Germain — cała choroba się ulotni. Wziął od Casanowy monetę dwunastu sous i, położywszy ją na węgiel rozpalony, przykrył czarnem ziarnkiem. Gdy począł ogień rozżarzać, dmuchając przez rurkę szklaną, moneta zaczęła się czerwienić, zapalać, topić i zamieniła się w złoto. Casanova podarował ją milordowi Keith, gubernatorowi Neufchatel'u, który zachował ją jako osobliwość.

Doszły do nas wiadomości, iż Saint-Germain należał w wolnomularstwie do *łóży ściślej obserwy*. Ksiądz Surowiecki opowiada w r. 1805, że na zamku Hermonville, odległym o dziesięć mil od Paryża, Martyniści (odłam wolnomularstwa, nazwany tak od założyciela margr. Saint-Martin) utworzyli *łożę przy grobie Jana - Jakóba Rousseau*. Celem jej był powrót ludzi do stanu pierwotnego natury. Naczelnikiem tej *łóży* został Saint - Germain.

„Trudno określić — pisze Surowiecki — brzydkość infamji, panującej w tej szkaradnej hordzie plugawców. Każda niewiasta, przyjęta do tajemnic, stawiała się wspólna dla braci. Ta, którą sobie obrał Saint-

Germain, nazywała się *panna*. Ona tylko sama miała przywilej niepodlegania przypadkowemu wyborowi plugawych Adami-tów, wyjąwszy jednak, gdyby się było podobało panu St.-Germain'owi mianować inszą pannę dla siebie. Ten brzydki szarlatan, sprawniejszy nad Cagliostrea, wmówił rzeczywiście w swych uczniów i uczennice, że posiada jakiś Elixir nieśmiertelności, iż poniósł rozmaite odmiany przez Metempsychozę (Metempsychosis. Znaczy przechodzenie duszy ludzkiej z jednego do drugiego ciała, czasem i psiego; głupstwo wymyslane przez Pytagora); że już po trzy razy umierał, ale nie umrze więcej; że od ostatniej swojej odmiany już pięćset lat przeżył”.\*)

W imię sprawiedliwości zaznaczyć tu muszę, iż utwory Ks. Surowieckiego są mocno tendencyjne i cytate powyższą przytoczyłem tylko ze względu na jej charakterystyczność.

Pomysł liczenia wieku swego na całe stulecia opierał się na stopniach wolnomularskich. Podług obrachunku wolnomularskiego uczeń ma trzy lata, czeladnik — pięć, a mistrz — siedem. Lata te tak wzrastają w stopniach wyższych, iż brat stopnia piątego — kawaler szkocki — liczy sobie już pięćset lat. Gdy więc wolnomularz powiada „mam pięćset lat”, oznacza to, iż jest w stopniu piątym i t. d. Stąd powstał pomysł Saint-Germain'a opowiadania o obecności swej przy zająciach, które się odbyły przed wieloma wiekami.

Pod koniec życia zamieszkał Saint-Germain w Cassel u landgraфа Karola Hesseńskiego i zmarł tam w r. 1795.

## II.

### HRABIA ALEKSANDER CAGLIOSTRO.

„Jestem ten — który jestem”.  
*Cagliostro o sobie.*

W r. 1743 w rodzinie kupieckiej w Palermo urodził się chłopiec Józef Balsamo. Ojciec wcześniej go odumiera, a wujowie oddają chłopca na wychowanie do klasztoru, skąd wkrótce ucieka. Nazwawszy się hr. Cagliostrem, podróżuje po Egipcie i Europie, a w r.

\*) Saint-Germain był jednym z najwybitniejszych różokrzyżowców i brał udział w kongresach masońskich r. 1785, odbytych w Wilhelmsbadzie i w Paryżu.



*Hrabia Aleksander Cagliostro  
(Józef Balsamo)  
Czarodziej XVIII wieku*



1770 wstępuje do loży londyńskiej różokrzyżowców. Otrzymując od wolnomularzy olbrzymie sumy, prowadzi w Londynie życie nader wystawne i jest szczodrym dobroczyńcą. Tłumy, nie znając źródeł jego dochodów, wierzą, iż posiada sekret kamienia filozoficznego. Po niedługim czasie wstępuje do loży niemieckiej *ścisłej obserw* i wreszcie otwiera w r. 1779 w Mitawie pierwszą lożę egipską.

Celem wolnomularstwa egipskiego, według kodeksu, opracowanego przez Cagliostro i zabranego przez władze rzymskie podczas areztowania jego autora, jest udoskonalenie człowieka przez odrodzenie fizyczne i moralne. Odrodzenie fizyczne daje kamień filozoficzny wraz z akacją, odmładzającą siły na podobieństwo rajskiego drzewa żywota. Cagliostro, korzystając ze wspomnianego sposobu liczenia lat masonskich, twierdził, że urodził się przed powszechnym potopem. Odrodzenie moralne sprawia pięciogran, przywracający duszy niewinność anielską, skażoną przez grzech pierworodny. Te wielkie tajemnice objawił Enoch i Eljasz, a przechowane zostały przez mędrców egipskich. Najwyższym Koptem czyli Wielkim Mistrzem mędrców egipskich zostaje Cagliostro dla mężczyzn, a dla kobiet Najwyższą Koptą i Wielką Mistrzynią — żoną jego, piękna Lorenza. Ustawy wolnomularstwa egipskiego, dotyczące stopni, przysiąg, znaków i symboli, zarówno jak ustrój łóż były wspólne zwykłym lożom wolnomularskim. Rytuał jednak był zapożyczony z obrządków kościelnych i polegał na adoracjach, kadzeniach, egzorcyzmach i hymnach.

Sposób wtajemniczania do stopnia pierwszego i wyższych jest bardzo charakterystyczny:

Wybiera się dziewczynę w stanie niewinności, tak zwaną gołębicę, a wielebny przewodniczący udziela jej przywileju, któryby miała przed upadkiem Adama. Przywilej ten polega przede wszystkim na prawie rozkazywania duchom czystym, których jest siedem około tronu Boskiego i które rządzą siedmioma planetami niebieskimi.

Imiona ich zostały objawione Cagliostrowi, a mianowicie: Michał, Rafał, Gabrijel, Urjel, Zobiachel i Anachiel. Gołębica staje przed wielebnym, błagając Boga o łaskę, aby mogła wypełnić rozkazy Najwyższego Kopta i stać



Chrystjan Rosencreutz  
Założyciel zakonu Różokrzyżowców

się pośrednikiem między nim a duchami. Członkowie loży również zanoszą modły, aby Bóg pozwolił użyć mocy, udzielonej Najwyższemu Koptcie.

Gołębica, ubrana w długą białą szatę, ozdobioną wstęgami niebieskimi i przepasaną wstęgą czerwoną, idzie do przeznaczonych dla niej izby. Izba ta, odłączona od loży, obita jest na białło, ma w środku ławkę i stolik, a na nim trzy świece zapalone. Przez okienko, łączące izbę tę z lożą, gołębica odmawia modlitwę. Wielebny powtarza i zaczyna wyzywać mocy, udzielonej mu przez Najwyższego Kopta, dając znać siedmiu aniołom, aby ukazali się gołębiccy. Gdy gołębica zawoła, iż aniołowie już się jej ukazali, wielebny rozkazuje jej zapytać się jednego z nich, czy nowoprzyjmowany ma dostateczne przymioty i zasługi. Po odebraniu odpowiedzi twierdzącej wielebny przystępuje do dalszych ceremonij, według rytuału.

Cagliostro pokazuje się swym gołębicom na każde żądanie w obłokach z mieczem w rękę, odpowiada na wszystkie zapytania,

daje instrukcje i błogosławieństwo, choćby był sam w krajach najodleglejszych.

Z Mitawy udaje się Cagliostro do Petersburga, gdzie występuje pod nazwiskiem hr. Feniksa. Poznaje tam wielkiego mistrza wolnomularstwa rosyjskiego, Jelağina. Popisuje się z lalką woskową, wróżącą przyszłość. Lalką tą była, podobno, żona czarodzieja, Lorenza.

Ks. Surowiecki widział w Warszawie za czasów Księstwa podobną lalkę i tak opisywał to zjawisko: „Szarlatan niedawno łodwiedzał Księstwo Warszawskie z osobą woskową, czy papierową, nietylko wróżącą przyszłe, ale też i przeszłe rzeczy wygadującą za pieniądze zbyt ciekawych Polaków. Można naśmiać się z prorocत्व tej automatycznej osoby, jako dependujących od czasu w swych uiszczeniach, ale trudno zwyciężyć podziwienie nad jej historycznym określeniem najskrytszych dzieł i awantur ludzkiej przeszłości. Jestem daleki od lekkowierności, musiałem jednak uznać sprawę, czy genjuszowską, czy djabelską w okolicznościach, które wygadawało pomienione straszdyło. Tem zaś łatwiej wierzę, iż przereczony szarlatan był z bractwa masonów — kabalistów, że podobnych automatów gadających używano we Francji przed rewolucją [na zdurzenie współstwa”.

Wszzechwładny ks. Potemkin zakochuje się w pięknej Lorenzie, a cesarzowa, zazdrosna o swego kochanka, wysyła małżonków ze stolicy Rosji.

Z Petersburga czarodziej udaje się do Warszawy i przybywa do naszej stolicy w pierwszych dniach maja 1780 r. Przedstawiono go księciu podkomorzemu Kazimierzowi Poniatowskiemu i stolnikowi koronnemu hr. Augustowi Moszyńskiemu, byłemu wielkiemu mistrzowi wolnomularstwa polskiego. Niemcewicz w swych *Pamiętnikach* nazywa Moszyńskiego człowiekiem rozwiązłym i alchemikiem, trwoniącym majątek na kobiety i tygielki. Moszyński był rzeczywiście zapalonym alchemikiem i wraz z wolnomularzem Janem Łukaszem de Thoux de Salverte wykonywał próby alchemiczne, a będąc też dyrektorem miennicy warszawskiej, bił w niej dukaty próbne ze złota alchemicznego.

Cagliostro przedstawia się jako Najwyższy Kopt. Książę podkomorzy, zachwycony pięk-

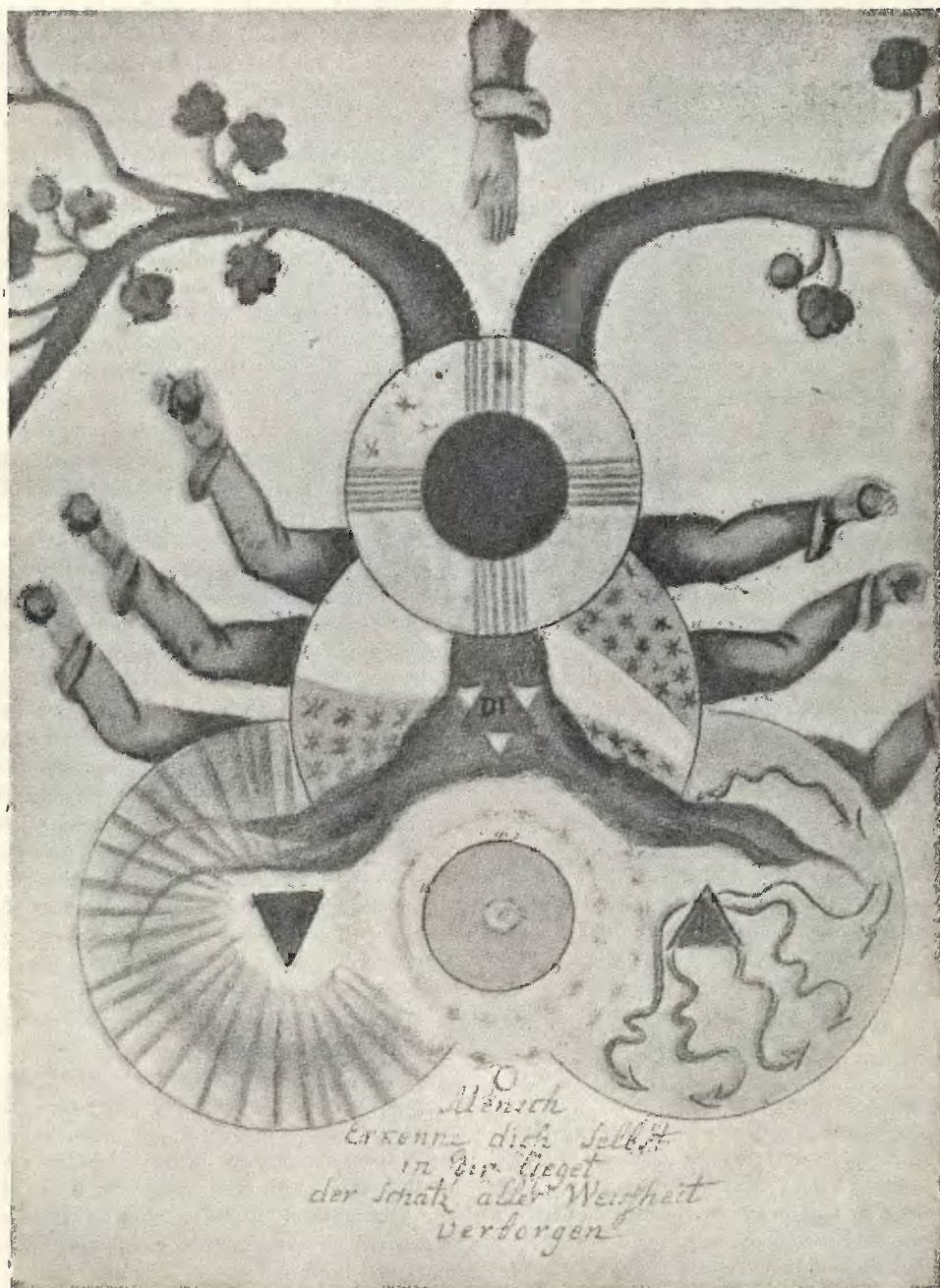
nością Lorenzy, oddaje małżonkom swe apartamenty i w jego pałacu odbywa się pierwszy seans. Cagliostro opowiada o swych podróżach, o kamieniu filozoficznym, o eliksirze młodości i o wywoływaniu duchów za pomocą zaklęć kabalistycznych. Poniatowskiemu, słyszącemu o tylu cudownościach, zachciewa się mieć własnego djabła na usługę i nalega, aby Cagliostro mu go dostarczył.

Cagliostro otwiera niebawem lożę egipską i kurs medycyny dla adeptów, na którym podaje recepty na różne choroby. Uważając, iż w mieście jest zbyt gwarno, Cagliostro wraz z całym towarzystwem przenosi się do pałacyku na Woli i rozpoczyna fabrykację złota. Ze smażeniny merkurjuszu otrzymano trzydziesto pudową bryłę srebra z ziarnkami złota, należało ją spłować na proszek, zalać serwaserem i trzymać nad ogniem, aby wyparowała wilgoć. Był to pasaż pierwszy, a wszystkich pasażów miało być osiem. Pasaż siódmy dawał proszek czerwony, za którego pomocą merkurjusz zamieniał się w srebro. Pasaż ósmy i ostatni zamienia merkurjusz w szczerze złoto. Każdy pasaż miał trwać sześć tygodni.

Moszyński nieufnie zapatruje się na pracę Cagliostra, i istotnie próby wypadają niefortunnie. Cagliostro przypisuje niepowodzenie Moszyńskiemu i nazywa go *sacrilege monstre*. Król Stanisław August nie daje się otumaniać Najwyższemu Kopcie i zleca tylko Moszyńskiemu, aby pilnował Włocha.

Po niefortunnym występie warszawskim Cagliostro zakłada *lotną Prawdę Triumfującą* w Londynie, następnie przenosi się do Paryża, gdzie wydaje książkę o wolnomularstwie egipskim i cieszy się wielkim powodzeniem. Wpłątany w sprawę o naszyjnik Królowej udaje się do Londynu, a stamtąd do Rzymu. W wiecznym mieście dosięga go święta inkwizycja i jako iluminata i farmazona skazuje na śmierć. Papież zamienia mu karę śmierci na dożywotne więzienie. Po kilku latach Cagliostro umiera w więzieniu Santo-Leone w r. 1795. Parę lat po śmierci Cagliostra legja Dąbrowskiego zajmuje zamek Santo Leone. Drzewiecki, jeden z oficerów, pisze w swych pamiętnikach, iż zwiedzał celę więzienną Cagliostra. Ściany jej okryte były rysunkami, „lecz nadzwyczajne postacie — pisze Drzewiecki — „Koła i gwiazdy, napisy nawet, nic mi nie mogły nauczyć“.





Drzewo żywota. Z rękopisów Różokrzyżowców

Przechowała się inna wersja: Cagliostro, znajdując się w więzieniu, oświadczył, że czuje bliską śmierć, chce zmyć swe grzechy i żąda spowiednika. Gdy pozostał w celi

sam ze spowiednikiem, rzucił się na niego, zadusił i, odziewszy trupa w swe ubranie, przebrał się w szaty księdza i wyszedł spokojnie z więzienia. Przedstawiając się za

miasto, począł uciekać. Gonił go odgłos strzałów. To legia Dąbrowskiego zdobywała zamek. Przebyte wrażenia, wyrzuty sumienia po dokonaniem morderstwa, czy też kara niebios, spowodowały śmierć Gagliostro wskutek pęknięcia serca. Wielbiciele Najwyższego Kopty wierzą, że Cagliostro przedostał się do Ameryki i tam się obecnie znajduje.

Jak i Saint-Germain Cagliostro opowiada o swojej nieśmiertelności. Mówi jednym, iż urodził się przed potopem, drugim, że był na godach w Kanie. Opowiada znów, iż urodził się na Malcie jako syn Wielkiego Mistrza maltańskiego i księżniczki Trebizondy. Gdy go się pytano Kim jest, mówił: „Jestem ten, który jestem”, a gdy proszono i nalegano, rysował wężą przebitego strzałą z jabłkiem w pysku i swą cyfrę.

Sława Cagliostro była tak wielka, iż noszono jego portrety na wachlarzach, pierścieniach i tabakierach, bito je też na medalach. Popiersie jego odlewano w bronzie, rżnięto je w marmurze i umieszczano literami złotymi napis *Boski Cagliostro*.

Uczeni czasów ostatnich starają się rehabilitować pamięć Cagliostro. Inkwizycja rzymska bowiem przedstawiała go usilnie jako zwykłego szarlatana.

### III.

#### JAKÓB CASANOVA CHEVALIER DE SEINTGALT.

„Casanova — ten rozum nieporównany — którego każde słowo jest pociskiem, a każda myśl — księgą!”

Ks. de Ligne. *Aventures*.

Przechodzę do Casanovy.

Urodził się w r. 1725 w prowincji weneckiej. Całe życie jego jest pasmem przygód nadzwyczajnych. Podróżuje wciąż po całej Europie, zna ośobiście wszystkich monarchów i najwyższe sfery towarzyskie.

Do loży wolnomularskiej wstępuje w Wenecji, uważając, iż jest to w dobrym tonie. Ma zawsze pociąg do nauk tajemnych, i uważają go za wielkiego maga, o co się wcale nie gniewa. Opinia ta sprowadza do jego mieszkania agentów świętej inkwizycji, którzy znajdują zakazane książki *Clavicule de Salomon*, *Lecor-ben*, *Picatrix* i *Instruction sur les heu-*

*res planetaires, et les conjurations necessaires pour avoir le colloque avec les démons de toutes les classes* i zabierają go do więzienia. Siedziałby Casanova w znanym więzieniu zapewne do śmierci, gdyby nie uciekł po kilkunastu miesiącach.

Niejednokrotnie w życiu swem korzysta z wyczytanych tajemnic alchemiczno-kabalistyczno-magicznych i robi sobie z tego zabawkę, albo stara się imponować otoczeniu swą wiedzą. Przy pomocy zaklęć magicznych próbuje wywoływać duchy, mające wskazać, gdzie ukryty jest skarb, i stawia horoskopy swym sympatom. Wybitna przedstawicielka paryskich sfer towarzyskich markiza d'Urfé myśli, iż Casanova posiada nie tylko sekret kamienia filozoficznego, lecz również możliwość obcowania ze wszystkimi duchami, i z tego wyciąga wniosek, że w jego mocy jest wstrząsnąć światem i uszczęśliwić Francję. Casanova ma przyprowadzić do niej wielkiego mistrza różokrzyżowców Querilinth'a, i rolę tego wielkiego mistrza w rzeczywistości odgrywa przyjaciel Casanovy.

Książę Karol Kurlandzki, syn Augusta III, zwraca się do Casanovy, prosząc go o nauczanie sposobu wyrabiania złota. List Casanowy z przepisem „pomnażania rośliny złota”, przesłany ks. Karolowi, zachował się we własnoręcznym francuskim odpisie Casanowy w zamku Dux około Töplitz, gdzie Casanova był bibliotekarzem u ks. Waldsteinów.

Na początku listu Casanova wymaga od ks. Karola, aby przepisał go sposobem szyfrowanym, a oryginał spalił. Dalej przypomina, że dokonał prób nadzwyczajnych w Paryżu przed Małgorzatą de Poncarré i również przed ks. Anhalt Zerbst.

Fortuna moja byłaby dotąd w najwyższym stopniu bogactwa — pisze Casanova — gdybym był mógł się zwierzyć jakiemu księciu, posiadaczowi mennic. Dzisiaj dopiero mam to szczęście i jestem u celu moich życzeń, bo Wasza dobroć, Mości Książę, zaspokoi sprawiedliwe moje obawy co do mojego życia i mej wolności.

Przytaczam przepis, aby każdy mógł sprawdzić wiadomości Casanovy.

„Trzeba wziąć 4 uncje dobrego srebra, opłókać je w wodzie, osadzić je blaszką miedzianą, dobrze je potem ciepłą wodą omyć, aby oddzielić wszystkie kwasy i osuszyć, osuszone dostatecznie zmieszać z pół



uncją soli amoniackiej i włożyć do retorty, retorta zmienia się na recipient (waza do wlewania płynu). Po tej operacji wziąć funt alunu (*d'alun de plume*), funt kryształu węglerskiego, 4 uncje grünszpanu (*vert de cuivre*), 4 uncje cynobru i 2 uncje siarki. Potrzeba utrzyć i dobrze zmieszać wszystkie te ingredjencje razem i włożyć do części wewnętrznej alembiku, w taki sposób, aby była tylko do połowy napełniona. Postawić trzeba na piecu o czterech miechach, gdyż ogień musi być podniecony do czwartego stopnia. Trzeba zacząć wolnym ogniem, który ma tylko odciągnąć flegmy, czyli części wodniste. Gdy gaz zacznie się pokazywać, potrzeba poddać jego działaniu recipient, w którym znajduje się srebro (księżyc) z salomoniakiem. Potrzeba brzeży sapjentji (stawy) lutować i podczas kiedy gaz przechodzi uregulować ogień do trzeciego stopnia, a gdy się zobaczy, że

sublimacja się zaczyna, potrzeba śmiało otworzyć czwarty miech, lecz trzeba się mieć na ostrożności, by sublimat nie przeszedł do retorty, gdzie się znajduje srebro. Potem zaczekać, aż wszystko ostygnie, zatkać dziób retorty pęcherzem potrójnie złożonym i postawić ją do pieca ruchomego, zwróciwszy dziobem do góry. Ogień cyrkulacyjny otrzymuje się przez 24 godziny, zdejmuje się potem pęcherz, zwracając retortę ku środkowi, by mogła dystylować. Trzeba powiększać ogień, by wyparować gazy, jakie mogą być w masie aż do zupełnego osuszenia. Po trzykrotnem powtórzeniu tej operacji ujrzy się złoto w retorcie.

Wyjawszy, trzeba stopić je z dodatkiem ciał doskonałych, to jest z dwiema uncjami złota, włożyć do wody, a znajdzie się 4 uncje złota zdolnego wytrzymać wszelkie próby, doskonałe w ciężkości, rozplaszczalne, lecz blade".



*Fryderyk-August Moszyński  
stolnik w. kor.  
Alchemik i Różokrzyżowiec*



# ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązania Krzyżówki-wiązadła z II Turnieju zadaniowego wykonane przez prof. Janinę Rączkową z Zawiercia.



## POZATURNIEJOWE ZADANIA KRZYŻYKOWE



### KRZYŻÓWKA 9.

Ułożyl Cieńciała z Kielc.

**Znaczenie wyrazów czytanych dokoło:**

1. Mniejsze zgromadzenie wyłonię z większego dla specjalnych celów. 6. Prawo wyłącznego handlu lub fabrykacji. 11. Opłata na rzecz państwa. 16. Polski laureat Nobla. 21. Chorągiew okrętowa. 26. Linja podziału. 31. Sztuka latania. 36. Niedobór w kasie. 41. Zastłona bojowa. 43. Futro z tchórza. 45. Części ciała ludzkiego. 46. Bożek w postaci zwierzęcia. 48. Ślad. 50. Stan bez wyjścia w szachach. 51. Lekka mgła. 53. Część mieszkania. 55. Spokój, zgoda, harmonia. 56. Sławny teolog krakowski w średniowieczu. 58. Kochanka Nerona. 60. Zaimek osobowy (l. mn.). 61. Rodzaj stowarzyszenia robotników dla wspólnej pracy (w Rosji). 62. Zdrobniałe imię żeńskie. 63. Rzeka w Afryce. 64. Miejsce, w którym się bieg zaczyna. 65. Papuga. 66. Zaimek osobowy. 67. Rodzaj kapelusza. 68. Owad błonkoskrzydły. 69. Zabawa. 70. Pokutnik hinduski. 71. Odmiana dzikiej kaczki. 72. Spójnik i zaimek w l. mn. 73. Zaimek wskazujący. 74. Obawa. 77. Niski głos kobiecy. 78. Rzymska bogini nocnych czarów. 81. Głos zwierząt. 82. Zatycki do butelek. 85. Część twarzy. 86. Rodzaj ogrodzenia żelaznego. 89. Jedno z wcieleń bożka Wisznu. 91. Miasto w Syberji. 94. Okres czasu. 95. Chemicz-

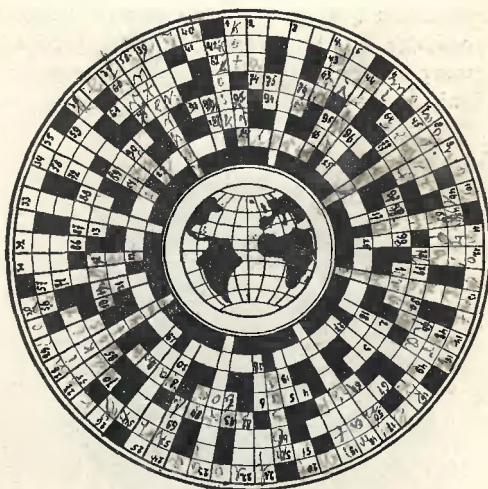
na nazwa mnóstwa związków. 97. Napój z winogrodu. (10)1. Owad nocny. (10)2. Wziątka w grze karcianej. (10)4. Trop. (10)7. Wąz dusiciel. (10)8. Budowa rzeczna, zastawa. (1)10. Rzeka na kresach. (1)13. Przysłówek. (1)14. Litera grecka. (1)15. Miara powierzchni. (1)16. Pierwiastek chemiczny. (1)17. Jezioro w Azji Środkowej. (1)18. Zdrobniałe imię żeńskie. (1)19. Tytuł turecki. (1)20. Napój, piwo. (1)21. Rzeka w Syberji. (1)22. Kwiatostan w l. mn. (1)23. Zwierzęta z gromady skorupiaków. (1)24. Popłoch, wrzawa. (1)25. Klamra żelazna do spajania belek. (1)26. Napis na kopercie listu. (1)27. Targ miejski, plac. (1)28. Pewna przestrzeń (J = I). (1)29. Dawna drobna moneta polska.

**Znaczenie wyrazów czytanych do środka:**

1. Domowe zwierzę drapieżne. 2. Przełożony zakonu. 3. Odległość między tonami, przerwa, pauza. 4. Miasto słynne zwycięstwem Napoleona. 5. Zięć Mahometa. 6. Nuta. 7. Znak dźwięku lub tonu. 8. Służebnica w haremie sułtana. 9. Płótno zgrzebne, pakłak. 10. Nuta. 11. Rodzaj ucztu u starożytnych słowian. 12. Ciało, wydzielające się z roztworu. 13. Pałac maurytańskich kalifów. 14. Największy wulkan europejski. 15. Bryła lodu. 16. Skrót na receptach. 17. Skandynawski bożek, od którego świat



pochodzi. 18. Przedmieście Warszawy. 19. Część czapki wojskowej. 20. Zaimek wskazujący. 21. Najniższy głos męski. 22. Napój z ryżu. 23. Miasto małopolskie nad Wyrwą. 24. Wyrostki kostne na głowach niektórych zwierząt. 25. Miara powierzchni. 26. Zaimek osobowy. 27. Ulubieniec kr. Ahaswera. 28. Alkaloid tytoniowy. 29. Roślina kosaciec. 30. Miara powierzchni. 31. Miasto w Finlandji. 32. Wewnętrzny mechanizm zegarka. 33. Ptak pletwonogi. 34. Stan czuwania. 35. Część sztuki teatralnej. 36. Litera (fonetycznie). 37. Mała warownia, umocnienie bojowe. 38. Zakład naukowy z mieszkaniami. 39. Przestrzeń, pozbawiona światła. 40. Zaimek wskazujący. 42. Altana do sprzedawania gazet. 44. Błazen cyrkowy. 47. Kobieta niezamężna. 49. Wypsa Australijska na Oceanie Wielkim. 52. Wiano. 54. Od tej chwili! 57. Zabytek starożytny. 59. Zdanie, myśl przewodnia, treść utworu. 75. Nuta. 76. Posiada. 80. Masz! 83. Rzeka w Syberji. 84. Litera (fonetycznie). 87. Litera grecka. 88. Zaimek wskazujący. 89. Pisarz polski z XVI w. 90. Roślina polna i ogrodowa. 92. Egzotyczny pisarz angielski. 93. Bryła lodu. 95. Powieść Kiplinga. 96. Zdrobniące imię żeńskie. 98. Gatunek wierzby. 99. Zaimek osobowy. (10)2. Zwierzę ssące drapieżne z rodziny psów. (10)3. Wrzątek, ukrop. (10)5. Stopiona mieszanina żywic. (10)6. Podarunek. (10)8. Dąb garbarski. (10)9. Mieszkaniec kraju, znajdującego się między Asyryją a morzem Kaspijskiem. (1)11. Wyznaczona droga. (1)12. Konstelacja gwiazdna, choroba, skorupiak.



Termin nadsyłania rozwiązań upływa dn. 25 maja r. b. Rozwiązania należy nadsyłać na pocztówkach lub z dołączeniem takowych, na których rozwiązujący winien podać swe nazwisko i adres, ewentualnie gość, i skierować pod adresem: Redakcja „Naokoło Świata” — Warszawa, Zgoda 12 — Rozrywki umysłowe.

Jako nagrody za prawidłowe rozwiązanie **Krzyżówki 9** przeznacza redakcja „Naokoło Świata”, w drodze losowania, odpowiednią do liczby uczestniczących ilość egzemplarzy powieści „Z dnia na dzień” Ferdynanda Götta.

Za najpiękniej wykonane rozwiązania, które zostaną umieszczone na łamach działu, przeznacza wydawnictwo specjalne nagrody, w postaci teje książki z podpisem Autora.



## ZADAŃ II TURNIEJU ZADANIOWEGO

„Naokoło Świata” Nr. 29.

### 11. KRZYŻÓWKA - WIAZADŁO.

Zadanie pana *Mieczysława Chojnowskiego* przypisało wielu turniejowców o najgor-

szy humor, graniczący niemal z czarną melancholją. Jeden z matadorów — znowu małopolanin!... — przysłał niekompletne rozwiązanie na czarnym tle, umieszczając po obu stronach piramidy dwie szubienice; na jednej dynda wymagany portret Autora

zadania, na drugiej — kierownika działu; pomijając wyjątkowe podobieństwa, przebaczymy wspaniałomyślnie, przeznaczając pseudonimowi z Krakowa jeden punkt; nie za



Rozwiązanie wykonane  
przez p. Jana Stratilato z Sosnowca

szubieniczny dowcip, tylko za okruszyny rozwiązania!

## 12. SZARADA.

Mo - gi - ła nie - zna - ne - go żoł - nie - rza.  
*Mogła nieznanego żołnierza.*

Za zasługę należy poczytać rozwojowanym turniejowcom, że Szaradę pokonali z szacunkiem i milczeniem, należnym jej treści. Przy tej okazji odetchnęliśmy wspólnie, zwracając myśli ku kolumnadzie Placu Saskiego.

## 13. REBUS.

*U - bóstwo - ciała - n - i - e - wyka - z - u - je - u - po - śledze - n - iad - uszy.*

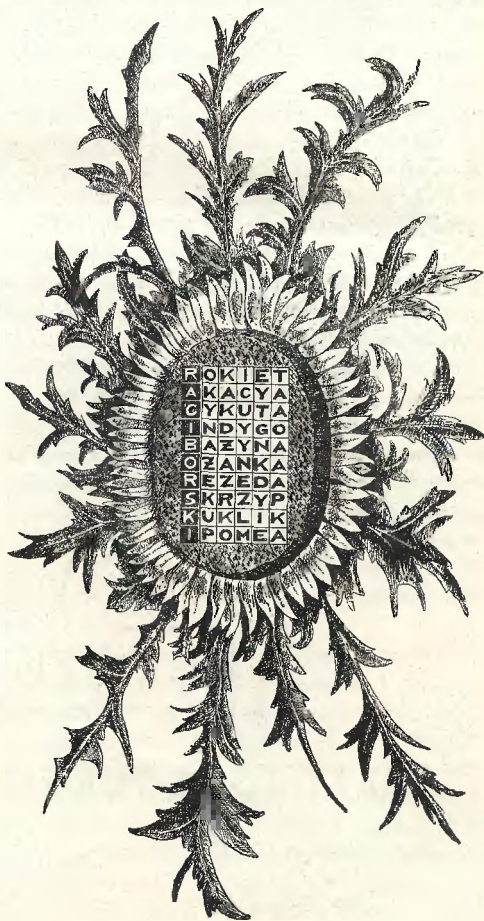
*Ubóstwo ciała nie wykazuje upośledzenia duszy.*

Dobry rebus o pięknej treści znalazł wielu wesołych interpretatorów. Na pierwszym miejscu należy postawić tego tubylca, co miał *bóstwo*, wyczytał *roda* (Roda-Roda?... Czyż podobny?), a *uszy* zastąpił strzępem *ucha*. Wypadło to tak: *Uroda ciała nie wykazuje upośledzenia ducha*. To się nazywa trafić!... Hi-hi!...

„Naokoło Świata” Nr. 31.

## 14. ARYTMOGRAF BOTANICZNY.

Ogromnie nas ucieszyło ogólne uznanie, z jakim się spotkały zadania z nr. 31. Niech nie biorą nam za złe Czytelnicy, że na tem miejscu wypominamy nadzwyczajną ich łatwość. Popuściliśmy cugli, i oto piękny rezultat — jedna z uroczych białogłowych przysłała płomienne wyznanie, że przy filiżance kawy, bez nieznosnych Arctów i Orgelbrandów, niedocieczonych Larousse'ów i Brockhaus'ów, ale zato z pogodną nonszalancją, w ciągu ni mniej, ni więcej, tylko jednego kwadransu mogła załatwić się z trzema zadaniami bieżącymi, za co serdecznie



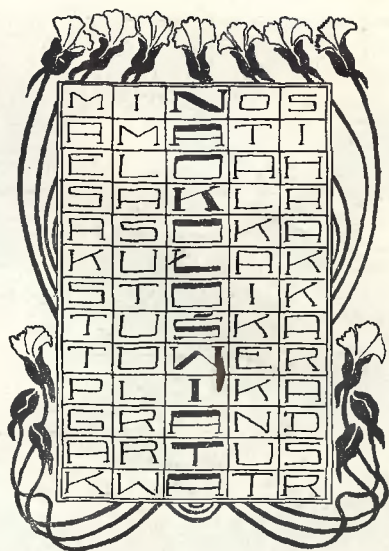
Rozwiązanie wykonane przez p. Jadwigę  
z Kasińskich Gadomską z Warszawy.



dziękuje i zapisuje się „na indeksie wielbicieli Pana Kierownika”. Jeżeli z nami ma Pani zamiar równie łatwo się rozprawić, jak z naszymi rozrywkami, to — dziękujemy serdecznie, ale rezygnujemy z honorowego postumentu, jakim nas Pani raczy. Co do *Arytmografu botanicznego*, rozumiemy doskonale rewerans pod jego adresem, zwłaszcza od strony pięknej połowy.

### 15. ROZDZIELANKA.

*Rozdzielankę*, jak to się jej z tytułu. nie urzędu, należy, podzielono i poćwiartowano rzetelnie, wyładowując pasję, uzbieraną w ciągu turnieju. Drobne niedokładność, wynikłe z tego powodu, wybaczymy z tem większą pobłażliwością. Zwłaszcza dotyczy to sławnego już „Galileusza z Kongresowy” — pseudonima o wisielczym humorze.



Rozwiązanie wykonane przez p. *Jana Straliłto* z Sosnowca.

swoją zupełną rehabilitację, kiedy to nawet odwrócone głowy pochylono w stronę rozbitego i rozwiązanego logogryfu.

„*Naokoło Świata*” Nr. 32.

### 17. KWADRAT MAGICZNY.

*Kwadrat magiczny* rozwiązano z godną podziwu jednomyślnością, naprawdę godną jego Autora, dziś nieżyjącego. Niech nam wolno będzie na tem miejscu złożyć hołd prochom Tego, który był jednym z najszczerzych i najwyrozumialszych naszych zwolenników.

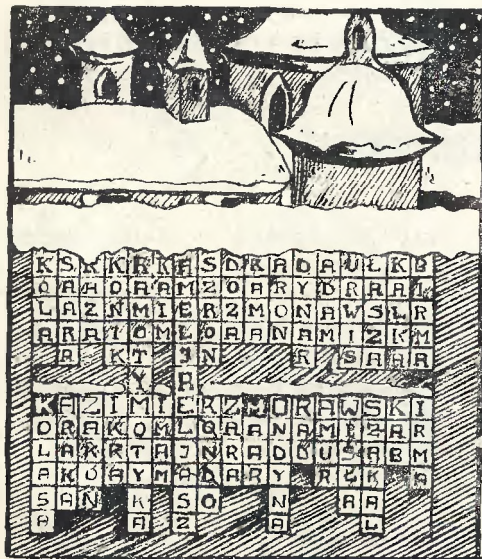
Rozwiązanie pióra p. *Her-man'a* z Wilna zamieszczamy na końcu działu.

### 18. WIELOZNACZNE SŁÓWKA.

a) *Róg*. b) *Zamek*.

### 19. ZADANIE LITERACKIE.

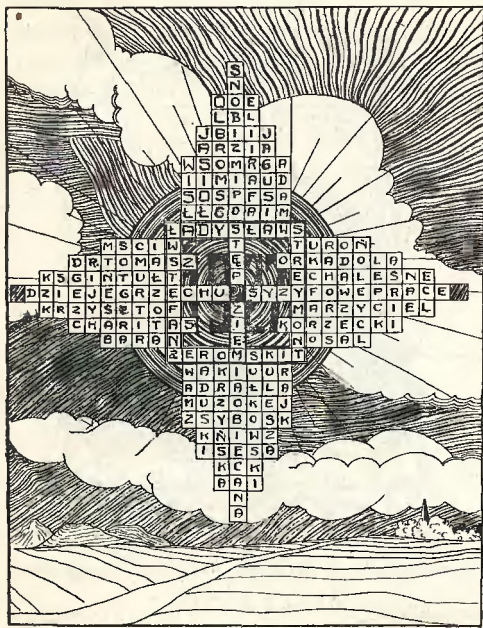
Tym razem przyznajemy rację! Nasza wi-  
na! Jedno z najtrudniejszych zadań, jakie musieliśmy wprowadzić, ze względu na chęć



Rozwiązanie wykonane przez *Bolesława Świderskiego* z Nowego Sącza.

### 16. LOGOGRYF - UKŁADANKA.

Pan M. Chojnowski z Poznania, imaginacją jednego z turniejowców wciągnięty w zaświaty, może z zadowoleniem neapolitańskiego werysty Leoncavallo spoglądać na



Rozwiązanie wykonane przez p. Jana Stratiła z Sosnowca.

(ręcej mus!) rozsegregowania wielkiej liczby pretendentów do pierwszych nagród. Zadanie swe tem zadaniem częściowo osiągnęliśmy.

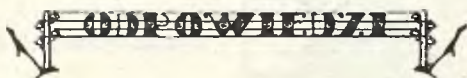
## 20. REBUS - ROZSYPAKA.

*I = ww = Wole = ó - w - k = n - n - i - ku = rebus = i - krzyż - ma - ję - w - i - e - y = l - u - z - za - gad - k = Naokoło Świata.*

Zagadki, krzyżówki, rebusy, mają wielu zwolenników w „Naokoło Świata”.

Małe i skromne zastrzeżenie — jest to indywidualne zdanie Autora zadania, które, niestety, mało zwolenników znalazło, co wnioskujemy z płomiennej ofensywy na unieważnienie rozsypki. Nie możemy! Urwali by nam głowę ci, co i ten rebus przebrnęli.

W jednym z najbliższych zeszytów ogłosimy listę rozwiązujących z rubryką zdobytych punktów oraz resztę wyróżnionych rozwiązań, dla których nie mogliśmy wywalczyć szóstej strony.



(127 — 128). Ciechanowicz W. — Wilno, Delimatoiva S. — Przysieka [Stara. Zamieścimy]

(129). Krig E. — Szadek. Żałujemy mocno, ale nie jesteśmy w stanie pomóc. Niech się pani zwróci do redakcji Kurjera Warszawskiego — Kr. Przedmieście 40.

(130). „Peel” — Gopło. Nadesłane [Szary] wykorzystamy i w odpowiednich przeobrażkach. Rysunki do działu winny być wykonane tuszem na białym papierze lub kalce.

(131). Motylewski M. — Kutno. Specjalnych wad w nadesłanym zadaniu nie było; jednak, ze względu na duży wybór, Pańskie wykonanie musieliśmy pominąć.

(132). Swiderski B. — Nowy Sącz. Rozwiązania dobre. Nadsyłać można „hurtem”.

(133). Te-cz J. — Kraków. Co takiego?! Łapówka!... A jakże! Gdy zobaczysz ciotkę mał...

J. K.





# Z TEKI HUMORYSTY

## Teoria względności czyli względność teorii

Rys. J. Zaruba





STARZYŃSKI ST. ROK 1926 W ŻYCIU GOSPODARCZYM POLSKI  
(WYD. MIN. SKAR.) ZŁ. 3.—  
POSIADAJĄ NA SKŁADZIE KSIĘGARNIE  
GEBETHNERA I WOLFFA